

Agnieszka Stefańska:

Niedzielni poeci:

Agnieszka Stefańska

absolwentka fizyki jądrowej, pracownik Uniwersytetu Łódzkiego, nauczycielka
niemieckiego, a także autorka monodramu Szkoła gejsz
oraz powieści Zadzwoń!

Do Mnie!

i Extra Yergine, która została
uhonorowana nagrodą główną
w konkursie Złote Pióro 2003.
Niedzielni poeci.

Agnieszka Stefańska:

Niedzielni poeci:

Świat Książki.

Projekt graficzny serii Małgorzata Karkowska
Zdjęcena okładce ZEFA
Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska
Redakcja merytoryczna
Elżbieta Jurczyszyn
Redakcja techniczna Lidia Lamparska
Korekta Marianna Filipkowska Grażyna Henel
Copyright by Bertelsmann Media sp.

z o.

o. Warszawa 2004

Świat Książki Warszawa 2004 Bertelsmann Media sp.

z o.

o. ul.

Rosola 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Joanna Duchnawska

Druk i oprawa Łódzka Drukarnia Dziełowa S.

A.

ISBN 83-7391-711-X?

4964

1

Mąż Mileny Fortuny zostawił żonie w spadku dokładnie co następuje: żarłoczne jak piranie bliźniaki (płci męskiej), radziecką obrączkę ze złota i cztery tysiące długu, zrobionego na grze w "trzy karty".

Teraz leżał przedksiędzem z beczelnie wyduętym od piwa brzuchem i miną człowieka, któremu wszystko wisa, bo i tak, jako że onieboszczykach niemówi się źle, wszystko, co schrzanił za życia, ujdzie mu nasucho.

Zgromadzeni na pogrzebie zgodnie uznali, że istnieje niezaprzeczalne podobieństwo zmarłego Mariana Fortuny do ogromnej wielkoszczękiej ryby nieznanego gatunku.

Niektórzy twierdzili, że przypomina na żartego, przerośniętego bożonarodzeniowego karpia, inni upierali się, że podobny jest raczej do piłkowatej ryby-dziwa, które widzieli kiedyś w niedzielnym programie o egzotycznych zwierzętach.

Pozostali z cichym pomrukiem zaskoczenia komplementowali rybi obły kształt i idealne proporcje, jakby zmarły w istocie był jedynym wypchanym eksponatem.

Tymczasem proboszcz, nie bacząc na to, że uwaga publiki skupiona jest na czymś gołym innym, powtarzał swe ulubione kazanie o synu marnotrawnym.

Przywoływał je nakażdy na pogrzebie nałogowego pijaka, licząc po cichu, iż sięgnie do kaplicy perspektywą hucznej stypy pokump.

lu koledzy, wysłuchawszy biblijnych mądrości, nawrócą się któregoś dnia na łono kościoła. Naturalnie, sztuczka ta do tej pory jakoś się księdzu nie udała.

Młoda wdowa, która chyba jako jedyna w kaplicy słuchała kazania, dziwiła się, że wciąż jej próbował.

Często miała okazję widywać Mariana w pozycji horyzontalnej, więc skojarzenia z rybą wcale nie były dla niej godną zainteresowania nowością.

W tej (i nie tylko tej) pozycji widywała też Mariana pośród zgromadzonych pań.

Drugie tyle z tych, co miałyby na temat coś do powiedzenia, wcale nie przyszło, bo zmarła Fortuna nic im nie obchodziła.

Żadna zresztą nigdy przedtem nie miała ochoty przyglądać mu się tak wnikliwie, by dostrzec niepodważalne podobieństwo przygodnego kochanka do ryby.

Zwłaszcza że w łóżku, podobnie jak w innych istotnych życiowych sprawach, bohater dzisiejszego zgromadzenia sprawdzał się nieszczerze.

Nigdy też nie przyszło mu do głowy, by choć raz porwać się na jakikolwiek czyn lub gest, który tę fatalną opinię mógłby choć trochę zmienić.

Teraz, oczywiście, na wszystko było już za późno.

Milena rozejrzała się dyskretnie po żałobnikach, kłaniając się z czystej uprzejmości zalanej łzami teściowej.

Ta odwzajemniła się wściekłym spojrzeniem nieomylnego (w swym przekonaniu) sędziego, ferującego wyłącznie dożywotnie wyroki.

Do Mileny zdążyło już dotrzeć, że teściowa w swym pokręconym umyśle postanowiła nie przyjmować do wiadomości faktu, że jej synalek spadł po pijaku z rusztowania, lecz głośno oskarżać synową o mężobójstwo.

Przez ten krótki moment Milena przestała żałować, że nie potrafiła uronić ani jednej łzy po śmierci Mariana.

- Głowa dogóry!

- głos Bładej poklepującej ją po plecach dodawał otuchy.

Przyjaciółka również nie emocjonowała się rybą i powinięciem zmarłego.

Nieraz pomagała Milenie tachać spitego Mariana na drugie piętro kamienicy przy ul. Wróbla,

więc nie miała teraz najmniejszych wątpliwości co do tego, że Fortuna nie był żadną egzotyczną rybką.

Miała za to stuprocentową pewność, że spośród całego bogactwa morskiej fauny mógł być co najwyżej olbrzymim, stonowym kaszalotem śmierdzącym wódką i kwaszonymi ogórkami teściowej.

Ten obraz jakoś nie pasował do jej wyobrażeń o zwyczajach egzotycznych stworzeń.

W tym momencie co innego jednak przykuło uwagę Bładej.

- Zamiast gapić się na tę jędzę, spójrz w dół - szepnęła ostrzegawczo do ucha towarzyszki.

Przed Mileną w dwóch nierównych rzędkach stały wieńce oparte o okopcony katafalk. Choć nie było w nich nic nadzwyczajnego, idąc z radą przyjaciółki, postanowiła przyjrzeć im się uważnie.

- Nie tu - syknęła Błada znacząco.

- Poń-czo-chy.

Czarna żałobna pończocha na prawej nodze tkwiła posłusznie na posterunku, natomiast na lewej.

O zgrozo, zwinięta w przekrzywiony wachlarz zwisała smętnie z łydki.

Milena Fortuna, która pojęcie szczęścia opierała dotychczas na rygorystycznym pilnowaniu ładu i porządku, błyskawicznie zrozumiała, że nie powinna zakładać niesprawdzonego towaru od handlarzy zza wschodniej granicy.

Świadoma prawoserii, westchnęła z rezygnacją:

- Doszczętnie spieprzony dzień!

Ktoś, kto nie słyszał jej słów, mógł wziąć je za stłumiony okrzyk rozpaczliwej świeżo osamotnionej kobiety.

Tymczasem Błada ofiarnie przesunęła się za plecy przyjaciółki, zabezpieczając jej tyły przed ciekawskim wzrokiem zgromadzonych.

A ponieważ postury były dość solidnej, udawało jej się to znakomicie.

Z przodu zasłaniała Milenę trumna z Marianem.

- Dalej!

- Błada zachęcająco machnęła dłonią.

Bliźniaki znudzone monotonią mszy rozpoczęły zajadłą walkę na szczypanie.

Stwierdziwszy, że żenit z przybyłych.

nie patrzy ani w ich, ani w jej stronę, Milena Fortuna postanowiła ratować honor dobrze trzymającej się wdowyl, wysuwając karykaturalnie w bok prawe biodro, dziarskopochyliła się ku pończosze.

Teraz należało tylko naciągnąć spódnicę i naciągnąć zluźniony ściągacz.

Z wysiłku i zdenerwowania twarz Mileny zaczerwieniła się po nasadę włosów.

Podtrzymując pechową pończochę, szarpnęła spódnicę jeszcze wyżej.

Jeżeli ta dzielna i tolerancyjna kobieta czegoś naprawdę nie widziała, to nieładui dysharmonii, więc dopóty szamotała się imiotła, dopóki się nie upewniła, że jej strój znajduje się w idealnym porządku.

Ksiądz, nie mniej do samej zainteresowanej dzielnie jej sekundującej przyjaciółki Marii Bładej zaabsorbowany czynnościami wdowy, przerwał kazanie.

Gdy Milena usadowiła już ściągacz na właściwej, gwarantującej stabilność wysokości uda, proboszcz próbował jeszcze podjąć przerwany wątek, ale pogubił się tak doszczętnie, że zmieszany zaprzestał prób i zakończył przemowę krótkim, acz treściwym:

- Pomódlmy się, parafianie, za żywych!

Im nasza modlitwa może jeszcze pomóc.

Ksiądz niejedno już widział w swojej duszpasterskiej karierze w parafii św.

Michała, a ponieważ nade wszystkim współczuł żonom pijaków, gotów był im wiele wybaczyć. Uważał kobiety polskie, zbożym błogosławieństwem dźwigające na swoich steranych plecach pokutny krzyż alkoholizmu, głupoty i patriarchy, za współczesne kandydatki do zbiorowej kanonizacji.

Dzień na pogrzeb był fatalny.

Nie przypadało dziś żadne święto, nie patronował mu również żaden godny uwagi święty, na którego żywocie można by wygodnie oprzeć treść kazania, a na dodatek za niecałe czterdzieści minut zaczynał się następny pogrzeb.

Tym razem sprawa będzie nudna i znacznie prostsza, bo ksiądz miał chować wiekową i po bożną parafiankę, która, od kiedy zawiadował św.

Michałem, nie opuściła ani jednej mszy niedzielnej.

W wypadku póżegnania ludzi młodych, i na domiar złego ciesząc się złą reputacją bezbożników, musiał wysilać się w dwójnasób, by nie narazić się ani rodzinie, ani Panu Bogu.

Aż dziw bierze, że ludzie powszechnie wierzą, iż przyobiecane im życie wieczne to życie lepszego gatunku.

Naturalnie szybko zapominają, jakimi doczesnymi wyrzeczeniami było ono obwarowane, przez co księża w Polsce mają wiele do roboty.

Zazdrościł biskupowi, który w tym samym czasie na tym samym cmentarzu chował w alei sław pewnego marynistycznego poetę, którego nazwiska ksiądz w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

Wychował się w centralnej Polsce, więc bardziej od wierszy o rybach i morskiej bryzy w zruszała go poezja o chłopie pracującym na roli czy tkaczu przedającym swą przędzę.

A jednak nie mógł odpędzić myśli, iż nabożeństwo za tamtego szczęściarza odbywało się w katedrze przy udziale organów i chóru złożonego wyłącznie z młodych kleryków.

Na uroczystość zaproszono przedstawicieli władz miasta, elity kultury i biznesu.

Miała przyjechać nawet regionalna telewizja.

Z rozpedu powiedział coś o nierówności ludzi za życia i po śmierci, ale na szczęście nikt nie dostrzegł tej ideologicznej wpadki.

Postulat równego nieba dla wszystkich nigdy księdza nie przekonywał.

W samej idei było coś tak intensywnie socjalistycznego, że istniała denerwująca obawa, iż da się ją obalić równie łatwo jak komunizm w Europie Wschodniej.

Ta myśl nie była przyjemna.

Żałobnicy bez uczucia śpiewali kilkusetletnią pieśń o Duchu Świętym, na dźwięk słów której księdzu przechodziły ciarki po brodzie.

Nucąc podniosła melodię, zastanawiała się, dokąd udała się dusza poety, adokąd dusza Mariana. Czy stały się czymś innym niż za życia oraz czy stały się czymś w ogóle?

Proboszcz miał żal do siebie, że myślni wciąż uciekałkilkaset metrów dalej, gdzie działały się rzeczy, w którychudział nobilitowałby go z pozycji szarego księdza na kapłana (a z czasem może i osobistego spowiednika) kilkumiejscowych sław.

Zamiast wciążpowtarzać pijakom kazania o synumarnotrawnym wygłaszałby przemowy rozpalające serca i otwierające portfele.

Pomyślał o modnym poecie przysypanym białymi kaliami, o rozrzutnym przedsiębiorcy Kaliście, zasłuchanym w tej chwili w pełne mądrościstowa biskupa, i ojego rozwiątej żonie Eleonorze, zapatrzonej lubieżnie w chór czystych jak anioły kleryków.

Jużwidział, jak zagryza uszminkowanąkrwistą czerwieniawargę, dziękując za piękny koncert i zapraszając ich, by zaśpiewali kiedyś dla jej fundacji.

Nieświadomegrożącego imniebezpieczeństwa piękne anioły ufniekiwiają głowami.

- Uchhhh - sapnął przeciągle, zaniepokojony skalą własnych marzeń.

Nawracać podobnych im ludzi to dopierowyzwanie godne jegokapłańskiego powołania.

Nim pobiegł zobaczyć to wszystko na własne oczy, z ulgą zakończył pochówek Mariana Fortuny,złorzecząc sobietrochę w duchu za słabość,jakąokazał, przerywającmodlitwę, żeby poobserwować ekwilibrystyczne zmagania wdowy, próbującej naciągnąć na nogę jakąś niedorzecznie długarzecz, którą omyłkowo brał za skarpetę.

Ksiądz westchnął ciężko.

Tak.

- rozgrzeszył się w myślach.

Pogrzeby ludzi małej wiary są zawsze sprawdzianem dla wewnętrznej siły kapłana.

Pół kwadrans później, kiedy ksiądz pospiesznie opuszczał żałobników,dwóch sześciolatków z zapalem wrzucałogrody czerwonej żelazistej ziemi do połowicznie zasypanego dołu.

Chłopcy robili to z takim impetem,że ściśniętekrawatami pucołowate buźki zaczerwieniły się, przybierającintensywny kolor krzepakich młodychburaczków.

- Piękny pogrzeb!

- głośno i z przekonaniemzapewniałPeppek, chłopak Bladej.

10

Schowaną zaplecami ręką dawał kumplom mało dyskretne znaki, którychzaszyfrowany sens łatwo można byłoodczytać jako gorącąprośbę, byzaczekali nań z opijaniemzmarłego.

Wśród nich stał również IrekBlady, bijącysię myślami, jaknależy się zachować w takniedziennejchwili, by nie wyjść na bałwana.

Ostatecznie odciągnął dzieciaki pastwiące sięnad grobem Mariana,poklepał je poruchliwych łebkach i wciskając każdemupo pięćdziesiątce,rozkazał surowym tonem:

- Tylko oddać mi to matce, łobuzy!

Dzieciaki zgodziły się bezsprzeciwu, a on,usprawiedliwiając się, że kumple to coś najpewniejszegow życiu mężczyzny, usunął się z pola widzenia siostry i jej przyjaciółki.

Nie minęła chwila,jak Milena i Bładawidziały już tylkoznikający za parkanem cmentarza tył bluzy najlepszegodresu Pepka, którą założyłspecjalnie na tę uroczystość.

Wkrótce potem i Irek zniknąłw krzakach dawnoprzekwitniętego buzu.

- Takiefajne dziewczyny jak my nie powinny zadawaćsię z takimi przygłupami jak oni - westchnęłaBłada, rozdzielając bliźniaki,które tocząc ze sobą walkę o przejęciepięćdziesięciotówki brata właśnie próbowaływetrzećsobie nawzajem brunatną glinęw płowe włosy.

- Bo w najlepszym wypadku może się to jedynie tak skończyć - palecMarii Bladej wskazywał na rozdętą kopułkę piachu, podktórą gdzieś głębokospoczywał Marian.

Milena zaszlochałaporaż pierwszy od chwili, kiedydostała telefon o wypadku męża.

Płakała ze złości na Mariana, z samotności i wściekłości na los, który drwił z niej od chwili, gdy w wieku dwudziestu lat zakochała się w kumplu osiedla o wielce obiecującym nazwisku Fortuna.

Teraz, kiedy ani on, ani jego matka, ani nikt z rodziny Fortunów nie mógł jej widzieć, postanowiła wypłakać za jednym zamachem dziesięć lat wspólnego życia, a potem zapomnieć wszystkim na zawsze.

11.

Do domu, z braku gotówki na taksówkę (chłopcy bowiem postanowili przyznać się matce do posiadania pieniędzy w bardziej dogodnym momencie), wracali pieszo.

Droga z cementarza na Dołachna stare Batuty prowadzi wzdłuż jednej z najbardziej zatłoczonych ulic Łodzi - Zachodniej.

Wbrew nazwie prowadziła wcale nie na zachód, tylko dokładnie na północ, w rejony, gdzie do nowo wybudowanych bloków wyprowadzali się wszyscy ci, których stać było na nowe mieszkania i nowe samochody.

Oni szli w kierunku dokładnie przeciwnym.

Sznur pachnących pieniędzmi aut obojętnie mijał przechodniów, nie bacząc na to, iż fortuna kołem się toczy, a ci, którzy dziś zamieszkują ponure bloki i obskurne, brudne kamienice, kiedyś wprowadzą się do lśniących nowości pałaców na Julianowie. Błada wciąż powtarzała te bliskie pobożnych życzeń hasła, wierząc, że pomogą im one przetrwać natrętny hałas klaksonów i smród spalin.

Ponieważ jednak w żaden sposób nie potrafiła wymyślić sposobu, w jaki miałyby się z Mileną przenieść do jednego z tych pałaców, uparcie grywała w toto lotka, wierząc, że los kiedyś po prostu MUSI się doniej uśmiechnąć.

Po kilkuset metrach kobiety poczuły się zmęczone.

Milenę przypiekał nieznośny w tym upale czarny żałobny kostium, natomiast jej przyjaciółce, krzepkiej i słynej z niekobiecej zgoła siły, puchły nogi.

Błada szczyła się swą wracającą wagę, solidnie zbudowaną sylwetką i nigdy nie przysłoby jej do głowy uskarżać się o kilka zbędnych kilogramów, gdyby nie bolesny fakt, że tęgawe stopy z trudem wciskały się w modne, eleganckie pantofle.

- Ściągnę te przekłete buty i będzie po kłopotcie!

- głośno odgrażała się o dziesięć metrów.

Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na sunące obok eleganckie samochody, by zrezygnowała z tego niedorzecznego pomysłu.

- Włeczmy się jak wracające z targu meksykańskie wieśniaczki - warknęła, złośliwie zwracając na tropikalny upał.

12

Nigdy nie chodziła tak daleko, bo po pierwsze: nikt, kto ma choć trochę rozumu w głowie i nie ma pieniędzy, nie zapuszcza się do centrum (za dużo pokus!), a po drugie: przy odrobinie sprytu zawsze można było, korzystając z sieci bezpłatnych autobusów wożących ludzi do hipermarketów, dotrzeć do dowolnego miejsca w Łodzi bez potrzeby kasowania biletów.

Niekiedy zastanawiały się, jak radzili sobie ich rodzice w dobie, gdy nie było ani jednego (czy to w ogóle możliwe?)

) hipermarketu, albo jak rozwiązują kwestię komunikacji ludzie z mniejszych miast, i dochodziły do wniosku, że żyją w całkiem fajnych czasach oraz że nie zamieniłyby się z nikim innym na ziemi.

Pokrzepione na duchutym prostym, acz fenomenalnym odkryciem, ruszyły wprost do mieszkania Mileny.

Niewielka kamieniczka przy Wróbla 6 z daleka mogła sprawiać wrażenie oazy spokoju. Usadowiona między dwoma roslymi orzechami, tonęła w gęstym zielonym cieniu południowego słońca.

Były w niej tylko dwa mieszkania:

na piętrze - Fortunów, a na parterze - starej, samotnej bibliotekarki.

Milena wielokrotnie zamierzała sfotografować kamienicę, której odpadający tynk coraz śmieiej odsłaniał rdzawą czerwień cegieł.

Niestety, nie miała aparatu, bo Marian uważał robienie zdjęć za nudny przeżytek.

Jego marzeniem był cyfrowa kamera wideo marki Sony, o której często z zapalem opowiadał, choć nigdy, nawet przez jedną krótką chwilę ich małżeństwa, ani na krok nie przybliżyli się finansowo do stanu, w którym mogłaby być w zasięgu jego możliwości.

Jeszcze raz z przyjemnością rzuciła okiem na kamienicę.

Z zewnątrz, przy odrobinie dobrej woli, mimo brudnej szarości pozostałego gdzieś w tynku, mogła się wydawać całkiem malownicza.

Czytała czasami, że jej miasto jawiło się przybyszom, po czasie potrzebnym na przywyknięcie

do nigdy nie sprzątanym chodników, jako scenografia dobrze znanego filmu, którego tytuł jakoś trudno było sobie jednak przypomnieć.

Milena słyszała, że szary jest również Paryż i lubiła myśleć, że sporo musi łączyć ją z mieszkańcami miast nad Sekwaną.

Inaczej rzecz miała się z centrum, na które w Łodzi składała się jedna tylko, choć nieludsko długa ulica Piotrkowska.

Tam miasto przybierało kolorowe szatki europejskich miasteczek, jakich bez liku widzieli wszędzie turyści.

Pod każdym numerem stały podobne do siebie różowe i żółte kamieniczki, przed którymi równo ułożone były barwione na szaro i różowo chodniki.

Kamieniczkom oszukańczo pomalowano jedynie fasady, zostawiając zasłonięte młodzieńczym makijażem twarzy nie liftingowane szyje, obwisłe brzuchy i podarte ubrania.

W porównaniu z centrum miasta Batuty wciąż trzymały własny, choć siermiężny fason.

Milena podniosła oczy do góry, bo właśnie duża białachmura przykryła słońce i pierwszy raz od dłuższego czasu można było spojrzeć w niebo bez obawy oślepienia.

Wydęty na kształt balonu cumulus miał wszystko, co odróżniłaby od innych stworzeń - ryb i pyszczyk, skrzela i znajome oczy.

Błada i chłopcy popatrzyli w ślad zajej wzrokiem.

I oni nie mieli pewności, czy słońce przysłoniła im chmura, czy najprawdziwsza latająca ryba.

- Znowu ryba!

Gdzieś w ogródku piwnym na Batutach wzrok Irka, podobnie jak setek ludzi w mieście, spoczął na niebie.

Chmuramachnęła ogonem, wypięła się na niego rybim zadkiem i wywinęła zręczne salto.

Teraz nie miała najmniejszej wątpliwości: duch Mariana udowodnił raz jeszcze, że maich wszystkich w dupie.

14

2

Gdy tylko wielkoszczęka ryba oddaliła się na tyle, by dać święty spokój żyjącym.

Błada ściągnęła buty idrepcząc nabosaka, pomagała koleżance wciągnąć chłopców na pierwsze piętro.

Była wdzięczna losowi, że zmęczeni spacerem przynajmniej teraz nie stawiają czynnego oporu.

Bez sprzeciwu oddali Milenie pieniądze, które ta schowała szybko do pudełko herbacie.

Stwierdziły zgodnie, że w gruncie rzeczy bliźniaki są całkiem miłymi dziećmi.

Bliźniaki Marian wniósł w posagu jako pamiątkę pewnego burzliwego romansu swego starszego brata.

Kiedy dzieci przyszły na świat, Romek, brat Mariana, miał czterdziestkę na karku i młodzieńczą awersję do dzieci.

Instykt macierzyński nie był również mocną stroną jego przyjaciółki, która dziesięć dni po porodzie zniknęła na zawsze z miasta z życia Romka Fortuny.

Ogołociła lodówkę Fortunów, spakowała się w jedną torbę, przeszukała schowki na pieniądze (zupełnie bezskutecznie) i jak samotny jeździec z westernu, nie żegnając się z nikim, ruszyła przed siebie.

Roman, wróciwszy z pracy, poważnie zdenerwował się pustą lodówką, lecz w ogóle nie przejął się utratą konkubiny.

Kiedyś Cyganka wywróżyła mu kłopoty spowodowane znajomością z rudą kobietą, a matka jego dzieci była właśnie ruda.

Pechowe proroctwo (uwzględniając podły podstęp z lodówką) dokładnie się spełniło.

Brat Mariana, próbując zapomnieć o dwójce wrzeszczących potomków, natychmiast rozpił się do tegostopnia, że pewnego dnia prosto z pracy trafił do szpitala dla nerwowo chorych na Kochanówce.

W kularach mówiło się głośno, że śmiertelnie obraził szefa, wymiotując na jego nowiutkie buty.

Buty były prezentem od wieloletniej kochanki i szef miał do nich niezwykle sentymentalny stosunek.

Nic dziwnego, że potraktował to zajście bardzo poważnie.

15.

Roman Fortuna osobiście uważał zaistniały stan rzeczy za zrządzenie losu, a pobyt na oddziale uzależnień osławionego w mieście psychiatryka za miłą odmianę.

W tym czasie w zachowaniu Antosia i Adasia zaczął się ujawniać budzący się w nich temperament.

Nie wszyscy potrafili to jednak zrozumieć.

Pierwsza z bawienia wnuków stanowczo zrezygnowała babcia, potem wszystkie ciotki, aż problem opieki nad dziećmi otarł się o dom dziecka.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie miał ochoty opiekować się "słodkimi" bobasami Romki Fortuny.

I pewnie skończyłyby marnie w owym domu dziecka, gdyby nie bohaterski porywca Mileny.

Mając dwadzieścia pięć lat idealistyczne podejście do świata, gotowa była nie tylko socjalizować ideał męskości w postaci Mariana, ale podążając za kobiecym wzorcem, zmieniać pieluchy jego opuszczonym bratanom.

W rezultacie Marian, przyciśnięty do muru przez świeżo poślubioną małżonkę, obiecał zrobić, co w jego mocy.

I istotnie dotrzymał słowa: w tajemnicy przed Mileną zawarł umowę z bratem, w ramach której ten oddał mu zdezelowanego Peugeot'a i dorzucił skrzynkę najlepszej skandynawskiej wódki w zamian za dozwolone pozbycie się kłopotu.

Nim minął miesiąc.

Marian przegrał samochód, obstawiając fatalnie ligowy mecz Widzew Łódź - Legia Warszawa, a smutki utopił w skandynawskiej wódce.

Do Romki Fortuny szczęście uśmiechnęło się bardziej niż do jego brata, bo w szpitalu dla umysłowo chorych niespodziewanie spotkał kobietę swojego życia i równie nieoczekiwanie wyprowadził się z nią do jakiejś zapadłej górskiej wioski, gdzie wspólnie mieli wyciągać się z nałogu.

Prawdopodobnie bardzo się zaangażowali, bo wszelki ślad z obracie Mariana zginął.

Milena ostała się w słodkim przekonaniu o wielkoduszności męża i takcie szwagra, który dla dobra jej i jej przybranych dzieci usunął się w cień wiecznej niepamięci.

Po sześciu latach burzliwego małżeństwa z Marianem jej młó

16

dzieńczy entuzjazm wyparował jednak bez śladu.

Maryśka Błada ostrzegła, że szukając szlachetnego celu w życiu lepiej zrobiłaby, wyjeżdżając z misją humanitarną do Afryki lub Indii.

Teraz wracałaby w nimbie chwały świętej, trzymając pod rękę szlachetnego amerykańskiego doktora, zakochanego po uszy w pięknej i dobrej ohotniczce z Polski.

W tym momencie ich dyskusja zwykle przybierała niebezpieczny obrót, w którym rzeczywistość przesłaniała coraz to bardziej niesamowite melodramatyczne-erotyczne fantazje.

Na koniec, rozbawione własną naiwnością, pokładały się ze śmiechu nadywając.

Dzisiejszego wieczoru kobiety siedziały bez słowa.

Cztery tysiące złotych długu, który wisiał jak topór katanad głową Mileny, nie były sprawą, o której można było zapomnieć.

- Musisz teraz wydoić od państwa jak najwięcej pieniędzy - Błada odezwała się ostrożnie po dłuższym zastanowieniu.

- Jesteś samotną, nieszczęśliwą wdową opiekującą się dwojgiem dzieci, więc muszą ci pomóc.

Milena popatrzyła na nią tępo.

- Rozumiesz?

Pieniądze?

Wdowa?

- Zwariowałaś!

Odbiję się.

Poproszę szefa wszkoleopodwyżkę, a ledam sobie radę.

Błada uśmiechnęła się niepewnie.

To nie był właściwy moment na informowanie przyjaciółki o likwidacji tej marnej prywatnej szkoły języków obcych, w którą Milena, jako jedyna z całego przypadkowego i niedoświadczonego personelu, wkładała tyle energii i serca.

Gdyby nie ona, interes z uczeniem dzieci angielskiego dawno by się rozpadł, a tak dotrwał resztkami sił do wakacji.

Niestety, niepisane mu było pociągnąć dalej.

Wczoraj Błada przypadkiem widziała, jak zwijają szyld i wynoszą wynajętych pokoi ostatnie ławki, ale nie miała sumienia dzielić się tymi rewelacjami z Mileną.

Próbując ukryć swoje

17.

skonfundowanie, zaczęła szybko poprawiać wiszące w nienagannym porządku, lśniące czystością firanki.

- Powiedziałałam to wyłącznie nawszelki wypadek, bonie wiem, co się robi wtakich sytuacjach.

Ludzie jedzą, piją, niektórzy wspominają.

Ale to chyba zły pomysł.

- poprawiła się szybko.

Błada pomyślała, iż największym plusem odejścia Fortuny był fakt, że teraz nie będą musiały stale o nim rozmawiać.

Milena, która nie zauważyła w jej zachowaniu nic dziwnego, wzruszyła tylko ramionami.

- Masz coś mocniejszego?

- Nie dziś.

Coś mocniejszego za bardzo kojarzyłoby mi się z Marianem.

Tymrazem obie parsknęły śmiechem.

- No, faktycznie, coś w tym jest.

Wypijmy kawę - zaproponowała Błada.

Kawa była jedynym luksusem, jakiego nigdy nie odmawiały sobie w ciągu swojej długoletniej znajomości.

Powtarzały rytuał jej picia dwu-, a nawet czterokrotnie w ciągu dnia.

Tu, na osiedlu, w pobliżu targowiska sprzedawano kawę mocną i gęstą jak zużyty olej silnikowy ze starego ciągnika.

Dziewczyny zgodnie twierdziły, że w życiu nie pijały lepszej.

Nawet po noworocznej podwyżce kawa wciąż byław bardzo przystępnej cenie: niecałe trzy złote za kubek.

W centrum za taką samą trzeba by było zapłacić trzykrotnie więcej, więc ani Milena, ani Błada nie śmiały zwrócić prowadzącej sklepik uwagi, że zwiększanie cen w tak niepewnych czasach jest czystym barbarzyństwem.

W domu wielokrotnie próbowały uzyskać tę samą konsystencję czarnego napoju, lecz nadaremnie.

Nawet wsypanie zmielonej kawy do połowy kubka i długie parzenie jej pod przykryciem nie dawały zadowalającego rezultatu.

Jednak wciąż pozostawała kawą, wystarczająco skutecznym lekiem na monotonię pozbawionego luksusu życia.

18

Błada mieszała łyżeczką brązowe fusy, zastanawiając się, jak dodać otuchy koleżance. Uświadomienie odzyskanej wolności mogło przynieść jakąś pociechę kobiecie bezdzietnej, ale przy takich dwóch wcielonych diabłach jak Adaś i Antoś o żadnej wolności nie mogło być mowy.

Co innego pieniądze.

One mają najlepszą moc terapeutyczną, więc należało zawsze iść za cenę, żeby ani złotówka należna rodzinie z pomocy socjalnej nie została państwu polskiemu oszczędzona.

Porozmawiały chwilę synu kulawego Stanisława z sąsiedniej ulicy, który został grabarzem na Mani i jako taki od razu zaczął świetnie zarabiać.

Był bardzo zadowolony ze swojej pracy, bo pracował w większości na lewoi wcale nie musiał odprowadzać podatków do urzędu skarbowego.

Żaden sklepnie chciał mu w związku z tym przyznać kredytu i grabarz kupował wszystko za gotówkę.

Dzięki temu zarówno syn Stanisława, jak i sam kulawy Stanisław stali się szybko najbardziej pożądanymi klientami w okolicy.

Sprzedawcy, po cichu przed bankami, zachęcali ich do kupowania na nieformalne, nisko oprocentowane raty, przezco młody grabarz w krótkim czasie dorobił się niespłaconego telewizora, kina domowego i mikrofalówki.

- Niestety, z tej ostatniej prawie nie korzysta - skonkludowała Blada - bo ktoś powiedział mu, że od tych fal, co trochę mrażają w środku kurczaki, można dostać raka żołądka.

- I co?

Zwrócił ją?

- Nie.

Nie chcą przyjąć z powrotem.

I choć się uparł, że w życiu niewłączy tego "pieprzonego świństwa", musi jęszpłacać jeszcze przez pół roku.

- To fatalnie - westchnęła refleksyjnie Milena, kończąc temat grabarza.

Przypomniało jej to o bezdusznej nieodwracalności losu.

Skoro dotyczyła ona nawet gównianej mikrofalówki syna kulawego Stanisława, tym bardziej musiała dotyczyć i jej życia.

19.

Niemożliwość zwrotów i konieczność spłacania dożywotnich rat wiązały ją niepisaną umową z Marianem i ichwspólnymi dziećmi na wieki wieków.

A że zamierzała dożyćprzynajmniejosiemdziesiątki, pojawiło się przed niąwidmo prawie pięćdziesięciulat wdowieństwa.

- Ty żołądny dupku!

Ładnie mnieurządziłeś!

- zakląław bliżej nieokreśloną przestrzeń.

Normalnie, rozmawiając z nieboszczykiem, kierowałaabyswe słowa do góry.

Jednak w przypadku Mariana miała poważne wątpliwości, czy niebobyło docelowypunktemwędrówki duszy jejmęża w zaświatach.

Wolaławięc nie narażać sięaniółom i załatwiać własne porachunki po swojemu.

Najprostszym i najpraktyczniejszymznany Mileniesposobem na żalobę było sprzątanie łazienki.

Z namaszczeniem wyszorowała sedes, przepchała syfon i wytarła kurzz lampy nad lustrem. Spojrzała krytycznie na sweodbicie.

Fakt, że wyszykowała sięrano na pogrzeb, korzystnie odbiłsię na jej wyglądzie.

Gdyby nie spuchnięte oczy izniszczone ręce, w rozumieniu ogólnym mogłaby uchodzić za całkiemurodziwą kobietę.

Miałaśmukłe nogi, gęste włosy i -bez wątpienia najmocniejszy atut - rzucający na kolana hollywoodzkiuśmiech.

Zawdzięczałago matce, pracującejjako pomoc dentystyczna w przychodnidla tkaczek.

We wspomnieniach swoje dzieciństwo miała już zawsze łączyć z nerwową atmosferą stomatologicznej przychodni.

Szybko nauczyła się, żełódzkie tkaczki nie przepadają ani zaskądinađmiłą paniądentystką, ani zajej sympatyczną pomocnicą.

Uciezki damw różnymwieku z poczekalniabytytu na porządku dziennym, zdarzało się też, że niektóre panie ewakuowały sięwprostz fotela, ciągnąc za sobą przeróżne narzędzia stomatologiczne zakleszczone w ustach.

Matka Mileny z każdymrokiemswójjej pracy nabierała coraz większej wprawyw sprincie zauciekinierkami.

I mimo iż rzadko udawało się

20

jej skłonić kogośdo powrotu, niemal zawsze odzyskiwańależące dozakładowej przychodni szczypczyki, gaziki, lusterka i wiertła.

Zrozumiaławięc było, że wiekowa już dentystka niezwykle ceniła swoją pomoc, traktującją jako wysokiej klasy specjalistkę od zadań szczególnych.

Sympatia z matki przenosiła się na córkę, a ściśle biorąc,na jej uzębienie.

A ponieważ praca wśród prostych tkaczeksprowadzała się najczęściej do dopasowywania sztucznychszczęk i rwania zaniedbanych zębów,poczciwa pani doktornudziła się niezmiernie.

Czytała sporo o lakierowaniu wyrzynających się trzonowców, prostowaniusiekaczy, zakrywaniu defektów.

Czuła sięna siłach przeprowadzać te wszystkienajbardziej skomplikowane zabiegi, o jakich donosiły naukowe periodyki, i bolała nad fizyczną niemożnością wprowadzania ich w życie. Nawetnajmłodsze pacjentki przychodni dawno miałyjuż bowiem za sobą okres wyrzynania zębów trzonowych.

W takiej sytuacji bawiącą się w poczekalni małą Milenę dentystka skłonna była przyjąć jakoistny dar losu.

Milenka miała nietylko wszystkie zęby do jej dyspozycji,ale część z nichz powodu wrodzonej wadygenetycznejnawet w stanie niewyrzniętym.

Jako nieskażone przesądami dziecko, córka pomocnicy darzyła też dentystkę pełnym zaufaniem.

Efektom współpracy było użebienie, którego w późniejszych latach nieco starszej już Milenie zazdrościł całe miasto.

Dzięki olśniewającemu uśmiechowi owo pozornie słowiańskie "nic specjalnego" w rysach twarzy zniknęło w okamgnieniu.

Uśmiech ten nie podlegał starzeniu się ani efektowi grawitacji, sprawiając, że Milena, niezależnie od wieku, wciąż przypominała niesforne dwunastolatkę.

Mimo niekwestionowanych oznak urody dziewczyna uchodziła za wielce oryginalną, a ta cecha osobowości, jak świat światem, nie rokowała szczęścia w przywoitym mieszczańskim małżeńskim stadle.

Matce Mileny Fortuny rzadko udawało się cokolwiek przewidzieć, ale na strzelni 21.

cy rokowań przyszłości własnej córki oddała strzał życia.

Dziś Milena zrozumiała, iż było strzał fatalny.

Mieszkanie, mimo otwartych okien, wydawało się dziwnie ciche.

W niemalże zupełnie pustej lodówce stało pięć butelek najtańszego z najmocniejszych piw z Leader Price'a.

Jeszcze jeden ślad jej męża.

Gdyby tamtego czwartkowego popołudnia Marian wrócił do domu, wypiłby wszystkie za jednym posiedzeniem, odpiąłby dwa guziki na wciąż rozrastającym się brzuchu, a potem beknąłby donośnie.

Raz, za trzy minuty dwa razy, a następnie jeszcze raz, długo i bardzo głośno.

Milena uśmiechnęła się, przecierając wilgotną szmatką dolną półkę.

Mogła odtworzyć zwyczaj swojego małżonka bez potrzeby przyzymkania oczu.

Przynajmniej w tym jednym swoim zachowaniu Marian był przewidywalny.

Nie wydawał jej się przez to animilszy, ani bardziej znośny.

A jednak fatalny czwartek, w którym Marian, będąc po spożyciu dwóch głębszych, spadł z rusztowania wprost do taczki pełnej cementu, uważała za najbardziej przekłety dzień w swoim życiu.

Dobłą godzinę oskubywano nieboszczyka z resztek stygnącej szarej mazi.

Gdyby nie to, potężna betonowa powłoka Mariana przechowałaby się dla potomnych niczym gigantyczny pomnik Jana III Sobieskiego wracającego spod

Wiednia.

Milena pomyślała smętnie, że śmierć była najbardziej spektakularnym wydarzeniem w prozaicznym życiu jej męża.

Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że pewien ustalony przez lata porządek został brutalnie zburzony.

Z Marianem Fortuną żył się trochę banalnie i smutno, ale był przynajmniej w zasięgu wzroku.

Milena wyjęła jedną butelkę z lodówki.

Była ciężka i zimna.

Przyłożyła ją do czoła.

Poczuła ulgę, bo upał nie ustępował nawet w nocy.

Przesunęła ją po szyi i ramionach, powiodła butelką po dekolcie.

Palącego ją przygnębienia nie neutralizował przyjemny chłód mokrego, schłodzonego

22

szkła.

Odłożyła butelkę na miejsce, a po chwili przesunęła w lewo.

Potem pół centymetra do tyłu.

Po chwili wszystkie pięć piw stało perfekcyjnie równiutkim rzędkiem.

Milena od razu poczuła się lepiej, ponieważ obok mleka i jabłkowego octu prezentowały się bardziej przyjaźnie.

Nauczona oswajając świat przez pedanterię, osiągała w tym wyżyny perfekcjonizmu.

- Prostuj formę!

Prostuj myśl!

- powtarzała każdego ranka dzieciom, podkładając idealnie wyprasowane serwetki pod talerzyki z tostami z dżemem.

Uważała, że za wszelką cenę należy celebrować drobiazgi.

Ten niezrozumiały dla innych zwyczaj stał się jej obowiązkiem, odcinającym niczym teatralna kurtyna od niejaki rzeczywistości.

Z rozpędu, swoim zwykłym, uciążliwym dla otoczenia zwyczajem wysprzątała raz jeszcze śniące czystością mieszkanie.

Wypolerowała najczystsze w mieście szklanki i poustawiała je od najmniejszej do największej.

Kiedy skończyła, była druga w nocy.

Żałowała, że jest zbyt ciemno, abymogła umyć okna.

W zastępstwie zdecydowała się umyć włosy.

W końcu, wciąż naładowana niewyczerpaną energią, Milena położyła się spać.

Wierciła się w śnieżnobiałej pościeli przez dobry kwadrans, dopóki w własnym zaskoczeniu nie zauważyła, że od tej chwili jest wyłączona od swojego ciała.

Zajmowała samą całe łóżko i podobało jej się to.

Czuła się spokojnie i bezpiecznie.

Czasami, gdy jeszcze leżała w nim z Marianem, pytała go o stan jego uczuć, a on odpowiadał (rzadko, bo rzadko, ale jednak!

), że ją kocha.

Milena przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy będzie jej brak tych wymuszonych podstępem deklaracji, przeczuwała jednak, że teraz i to będzie bez znaczenia.

Na początku ich małżeństwa zapewnił ją, że mężczyzna, który kocha kobietę, ma prawo zmuszać ją do seksu lub bić, kiedy uznano za stosowne.

Awszystko to w imię uświęconej miłości, aż po grób.

Ten prawdziwy, choć nie tak do 23.

słowny jak dzisiejszy grób ich małżeństwa nastąpił dobre kilka lat wcześniej, kiedy Milena zdecydowała się za pomocą durszlaka ostatecznie wybić mu z głowy staroświeckie poglądy na "romantyczną" przemoc w miłości.

- Dziwne -zastanawiała się, wyłączając budzik nastawiony na zwykłą porę pobudki Mariana -że w trumnie jakoś nie byłowidać blizny po durszlaku.

Zaraz potem pocieszyła się, iż śmierć najwidoczniej zmienia owiele więcej, niż mogła sądzić itamyśl wydała jej się w tej niewesołej sytuacji niezwykle budująca.

3

Irek Blady, brat Marii Bladej i syn Ireneusza oraz Marii Bladych -seniorów, siedział na schodach baru Leśnix.

Jegor rodzice nie byli zbyt oryginalni w doborze imion dla dzieci, natomiastich sąsiad Leśnik zaskoczył wszystkich kumpli, zmieniając w nazwisku pospolite "k" na egzotyczne "i" otwierając najlepszy pub w okolicy.

Również gest sprowadzenia stu sześćdziesięciu gatunków piw nie uszedł uwagi Irka Bladego. Sam spróbował trzech, co najwyżej czterech najtańszych gatunków za nic miał pomówienia, że hasło "tylko Leśnix ma 160" jest tak samo kłamliwym hasłem reklamowym jak wszystkie inne.

Miał to gdzieś.

Irek potrafił docenić przedsiębiorczość i umiejętność zarabiania pieniędzy.

Nawet wówczas, gdy za zyskiem nie szła prawda słów, przypisywana na przykład literaturze. A tę Irek kochał najbardziej.

Zanajwiększego jej wieszca miał Tomasza Manna.

Swą fascynację niemieckim noblistą tłumaczył faktem, iż jakkolwiek wnikliwie by patrzył, nigdy, przenigdy nie dostrzegł w świecie jego mieszczkańskich powieści żadnych punktów wspólnych z miejskim życiem Ireneusza Bladego.

Były jak dwa rozłączne zbiory, dwa pękate baloniki napełnione in

24

nym powietrzem.

Tagatunkowa niemal odmiennie śrzucała Irka na kolana, pozwalając wierzyć, że wreszcie dotyka czegoś na kształt prawdziwej tajemnicy.

W taką pogodę jak dziś żyjący sto lat temu bohaterowie jego ulubionych dzieł wsłuchiwali się w szum fal na włoskim Lido lub znudzeni wypatrywali powiewu alpejskiego wiatru.

Na ulicy Zachodniej w Łodzi wiatrnie wiał nigdy.

Dziś, wbrew meteorologicznym prognozom, słońce przygrzewało nie miłośniernie, więc Irek Blady musiał opuścić swój doskonały punkt obserwacyjny i udać się w stronę parku.

- Nic nie bierzesz?

- Leśnik wyjrzał przez okno.

- Nie dzisiaj.

- Cholernie gorąco.

Dałbym ci stronga z lodówki.

Irek przełknął ślinę, pokusa była naprawdę silna.

- Nie dzisiaj - powtórzył pochylił wahań i ruszył do ulicy.

Cały jego kapitał to sto złotych, które zarobił na sprzedaży lipnego telefonu komórkowego na giełdzie.

Dzieciaki bezustannie coś kombinowały z niewiadomego pochodzenia sprzętem, a później próbowały wepchnąć go komukolwiek za dwadzieścia procent ceny.

Brał więc od nich telefony i samochodowe radia, a potem zanosił je swoim kumplom z Górniaka i giełdy, żeby upłynili towar.

W ten sposób czuł, że lepki brud przyklejony do kradzionych przedmiotów nie zanieczyszcza zbyt jego sumienia.

A kolejne dwadzieścia procent zostawało w jego kieszeni.

Czasami był to dobry interes, czasami nie.

Ale Irek za tydzień kończył trzydziestkę i nie chciał do końca życia bawić się w coś, co na kilometr śmierdzi paserką.

Czuł, że powinien coś zmienić w swoim popieprzonym życiu.

Adres, pracę, może też znalazłby kobietę.

A właściwie wszystko naraz.

Gruntownie.

Do zrealizowania swoich planów potrzebował pieniędzy, najlepiej mnóstwa pieniędzy.

Nie był jednak aż tak głupi, byłapać pierwszą lepszą robotę.

25.

W rozumieniu własnym i ogółu, skończywszy roczną pomaturalną szkołę administracji, był wykształcony staranniej, niż kiedykolwiek mógł tego potrzebować.

Zdobytego w ten sposób tytułu w żadnym razie nie zamierzał traktować poważnie, bo nade wszystko na świecie nie cierpiał urzędów.

(Niestety, według rodziców praca za biurkiem była najlepszym gwarantem świetlanej przyszłości syna).

Za ich nasyconych partyjnymi prawdami czasów ciepła posadkawk pachnącym kawą i lakierem do paznokci urzędzie państwowym była szczytem marzeń większości pseudointeligentnych nierobów.

Urzędnika mężczyznę zaś, z racji płci, bliżej nieokreślona siła pchała błyskawicznie na coraz to wyższe i wyższe stanowiska.

Matka widziała zatem Irka Bładego jako inspektora, Irka Bładego jako kierownika komórki, a może nawet dyrektora działu.

W gruncie rzeczy starzy Bładego obmyślili wszystko całkiem poprawnie, słusznie ufając, iż biurokracja, niczym niedzielne drożdżowe ciasto, będzie pęcznić i pęcznić bez końca, dając przytulne schronienie tym, którym robota "jakoś się w rękach nie pali".

Nie przewidzieli jednak, że tak pracą będzie kiedyś na wagę złota, a informację planowanym urlopie macierzyńskim sekretarki ludzie powierzać sobie będą nie jakonews towarzyski, ale poufną wiadomość

biznesową.

- Fuu, co za czasy!

- Irek splunął na chodnik.

Zaraz potem przepaszająco uśmiechnął się do świata.

W gruncie rzeczy wcale niemarzył o posadzie w urzędzie.

Nienawidził urzędów tak samo mocno, jak nienawidził policji i wojska.

Przypomniał sobie, jak skutecznie świrował przez miesiąc, żeby go tylko nie zakuli w kamasze, i od razu humor mu się zdecydowanie poprawił.

Jego plany zdobycia pieniędzy wcale nie były takie nierealne, nawet w takiej przeludnionej, biednej dziurze jak jego miasto.

Wystarczyło założyć jakiś biznes.

Dobry biznes.

W ostateczności mógł wygrać konkurs na osobowość srebrnego ekranu i jako sławny człowiek brać pieniądze od

26

zeszy frajerów spragnionych błyskotliwych rad, jak żyć na świeczniku.

Nikt nie mógłby go zastąpić w roli telewizyjnego arbitra.

Wyprostował się i przeglądając się w witrynie sklepu z pasmanterią, przyglądał włosy.

Czoło niczym łacha piasku wcinano się w czerń jego coraz rzadszych włosów.

Pomyślał, że dziesięć lat temu miał ich znacznie więcej.

To nie była budująca myśl, więc postanowił czym prędzej usunąć ją z pamięci.

Dostrzegł w środku sklepu dziewczynę czytającą gazetę.

Była niebrzydka, więc flirtując z nią, miał szansę odprężyć się trochę po niewygodnej refleksji dotyczącej własnego wyglądu.

Facet musi być zawsze w pogotowiu - pomyślał Irek Błady, podciągając pasek od dzinsów.

Dziarskim krokiem wszedł do ciasnego sklepika.

Na półkach leżały wyłącznie tasiemki i guziki, więc Irek nie dostrzegł nic, o co mężczyzna, nie będący krawcem, bez ujmy na honorze mógłby zapytać.

Sprzedawczyni wiedziała to równie dobrze jak on, więc bezbłędnie odczytywała intencje podobnych do niego klientów.

Zamiast grzecznie zapytać go o cel wizyty w sklepie, co zwykła czynić w innych przypadkach, wyduka pogardliwie usta, ostentacyjnie skupiając wzrok na gazecie.

- Ładnie tu.

- rozpoczął Irek Błady.

Wcale nie było ładnie, ale należało powiedzieć coś miłego na początek.

Dziewczyna nie zareagowała.

Irek oparł się o blat lady.

Coraz bardziej mu się podobała.

Lubił wyzwanie, a ta najwidoczniej nie ułatwiała mu osiągnięcia celu.

Głupio zapytał o podtekst tytułu popularnego pisemka młodzieżowego, z którego dawno już powinna wyrosnąć.

Ekspedientka popatrzyła na niego lodowato.

Zrozumiał, że się wygłupił, jednak nie miał zamiaru się poddawać.

Złotowłosa blondynka w żółtawym sweterku, która

27.

w pierwszej chwili skojarzyła mu się ze słońcem, teraz wyglądała jak chmura gradowa.

-Dawno mnienie było w kraju, więc nie wiem, co wtrawiepiszczy.

Polska otwiera się świat, zatemi japończyku i tam - Irek złożył dłonie i naśladowując dźwięk odrzutowca, przeleciał ręką nad głową panienki.

- Kitujesz!

Jakoś nie wyglądasz na podróżnika.

- Dziewczyna po raz pierwszy się uśmiechnęła.

-Pewnie w życiu

nie leciałeś samolotem.

To również była prawda, lecz Irek nie zamierzał wchodzić w szczegóły.

Podrywanie dziewczyn, jak świat światem, rządziło się swoimi prawami.

- Kiedyś byłem na zbieraniu jagód w Szwecji, a teraz wybieram się do pracy w Anglii.

- Naprawdę?

- tym razem w jej głosie nie było śladu

kpiny.

- Naprawdę.

No, w końcu pracę za granicą hipotetycznie też brał pod uwagę, więc tym razem przynajmniej nie łgał jej bezczelnie.

- Fajnie masz.

Liczyłam swojego czasu na to, że teraz,

kiedy jesteśmy na zachodzie, ciz Europy będą stale nas zapraszać, ale jak zwykle okazało się, że nie znają elementarnych zasad przyjaźni.

Irek rozłożył ręce.

Wiedział, że przynęta chwyciła, i choć nie był szczególnie zadowolony, że ich znajomość rozpoczyna się od kłamstwa, postanowił zaryzykować.

Zawsze tak robił i mało kiedy pułdował.

- Będę tu przechodził wieczorem.

Jeśli mógłbym jakoś

naprawić ten błąd nietaktownych Europejczyków, zaprosiłbym cię gdzieś dzisiaj.

Zawahała się.

- Dobra - zgodziła się w końcu bez entuzjazmu.

- I tak

nie mam nic lepszego do roboty.

Pogadali jeszcze chwilę.

28

Kaśka, bo tak było na imię sprzedawczyni, miała około dwudziestu jeden lat i te wszystkie zalety młodej dziewczyny, które dostrzec potrafi tylko ten, co nosi już na karku trzeci krzyż.

Żałował, że nie była bardziej elegancka, bo lubił kobiety o wyrafinowanym guście, ale im dłużej obserwował jej lekko pyzate, dziecienną twarz, tym bardziej

i utwierdzał się w przekonaniu, że mógłby się w Kaśce za' kochać.

Trzeba wiedzieć, że o miłość w życiu Irka Błedego było znacznie łatwiej niż o pieniądze.

Kochał się na zabój w paniach w przedszkolu, nauczycielkach i uczennicach w szkole.

Potrafił zakochać się bez problemu również w kucharkach ze stołówki i wóżnej w szkole podstawowej.

Uważał, że czarne włosy i zarost naklatki piersiowej czyniły z niego kogoś na podobieństwo kochanka w stylu śródziemnomorskim, i to zupełnie go satysfakcjonowało.

Poza tym szczycił się niezawodnym w akcji członkami niezłym temperamentem, więc żadna z jego sympatii nie skarżyła się, że wparzez wieleobiecującym wyglądem południowca nie idzie nicwięcej.

Niestety, Irek Błady mimo bardzo pojemnegoserca miałjedną wadę - kochał krótko. Nim dziewczyna zdążyła zastanowić się, czy jej dusza odpowiedziała naodzew ciała, i dała zarazić się namiętnością kochanka, ten zakochiwał sięna śmierć i życie w następnej pielęgniarce, salowej, policjantce, motorniczej tramwaju.

Przygoda znów trwała rok, miesiąc, tydzień lub jedną noc, a brat Bładej konał z miłości najednej przecznicy, by za moment zmartwychwstawać zanastępnym skrzyżowaniem.

Wszystko to nie służyło zdrowiu Ireneusza Bładego juniora.

Dopóki byłsmarkaczem, zgubionew miłosnym amo^u kilogramy i wypite z żalóscilitry alkoholu odchodziływ niepamięć pierwszym porankiem, wktórym następowała poprawa uczuciowej koniunktury.

Teraz wszystko sięMieniło.

Miał trzydzieści lat, rzednące włosy i burzliwą

29.

przeszłość.

Nie miał natomiast absolutnie nic (prócz wspomnień, oczywiście), co na swoim koncie mógłby zapisać

w rubryce "posiada".

Tak wyglądał bilans życiowy Irka.

Nielicząc dzieci, długu i dyplomu zupełnie nieprzydatnych studiów, niewiele można było znaleźć również na koncie Mileny Fortuny.

Tym bardziej że myśl o bezrobociu wydała jej się nagle gorsza niż nieoczekiwany cios straty pracy, który dosięgnął ją tak nagle.

Fakty, w przeciwieństwie domysły, rzadko bywały fałszywe, za to częściej okazywały się męczące i uwierające jak niewyrobite buty.

Utrata pracy była zjawiskiem wystarczająco powszechnym, aby ludzienauczyli się z nim mierzyć.

Ubrana w najlepszą ciemną sukienkę, jaką znalazła w domu, wpatrywała się tępo w szare mury, w których nie miała już zawrzeć życie wraz z wrześnieowym dzwonkiem.

Zamierało ono powoli już znacznie wcześniej, lecz Milena nie potrafiła odczytywać tych zapowiadających upadek znaków.

Była najbardziej punktualnym i obowiązkowym pracownikiem, o jakim kiedykolwiek ta licha szkółka mogła marzyć, ale i tym razem pancierz życiowego poukładania

przedniczym jej nie uchronił.

Teraz w budynku instalowała się jakaś hurtownia, lecz

Milena nie starała się zapamiętać, co dokładnie będą w niej składować.

W świetle perspektywy braku dochodów nie

miało to przecież najmniejszego znaczenia.

Szarpnięcie rękawa sprowadziło Jana ziemię.

- Co się pani tak gapi?

- Ubrana w krzykliwie kolorowy

strój stara kobieta, przekrzywiając głowę, wpatrywała się ptasim sposobem w Milenę.

Wszystkie znane jej panie po przekroczeniu określonego wieku, o ile nie były zabłąkanymi turystkami z Ameryki, 30 ubierały się w jeden ściśle określony sposób.

Poruszały się lekko szurając nogami, i patrzyły zawsze ciut poniżej ust rozmówcy.

Ten powszechny dyktat stroju, zachowania i mówienia był tak naturalny, iż zdziwiona odmiennością Milena wbrew własnej woli zaczęła mało taktownie gapić się na oryginalną damę.

- Jest pani chora czy co?

- zapytała ją ta.

- Nic mi nie jest.

Dziękuję za troskę.

Do widzenia - wyrecytowała ekspresowo.

Kobieta wydawała jej się intrygująca, alenienie na tyle, byz jej powodu burzyć wieżę, tak troskliwie utworzoną zesmutku i poczucia niesprawiedliwości.

- O?!

- kobieta zrobiła taką minę, jakby szykowała się na wysłuchanie dłuższej opowieści.

- Strasznie dziwnie mówisz, moje dziecko.

Może masz coś z więzadłkiem gardłowym, bo ja, widzisz.

- nabrała tchu, żeby wypuścić siebie brzęczącachmarę słów.

- Powiedziałam już, że jestem zdrowa!

- przerwała.

Rozmówczyni zrobiła obrażoną minę.

Milena poczuła

się zobowiązana udzielić wyjaśnienia.

Wskazała na dawną

szkołę.

- W przeciągu kilku dni dwukrotnie zwrócono mi wolność; za pierwszym razem zrobił to mój mąż, a teraz pracodawca.

I nikogo, dokładnie nikogo nie obchodziło moje zdanie.

Kobieta zdawała się poważnie analizować problemy Mileny.

- Mówisz więc, że jesteś wolna?

Tylko tyle?

- Tak i wcale mi się to nie podoba - westchnęła ciężko.

- To tak jak ja.

Ale ja nie narzekam!

Może dlatego, że jestem odciebie starsza?

Milena przyjrzała się jej uważnie.

W wełnianej narzutce" a plecach i apaszkach z pomponikami wyglądała jak jeden z tych peruwiańskich muzyków, grających na niedzielnych festynach.

Mimo że kiedyś sama uwielbiała się przebierać, gdyby spotkała ją na ulicy w innych okolicznościach, pewnie

li.

nie jak setki innych osób starałaby się uniknąć jej prowokującego spojrzenia.

Teraz patrzyła na nią z wdzięcznością.

Nie mogła oprzeć

się wrażeniu, że gdy człowiek gdzieś na ulicy znajdzie się w kłopotliwej sytuacji, może liczyć tylko na zainteresowanie osiedlowych głupków lub dziwaków, żyjących na marginesie społeczeństwa.

Tylko oni, jak zstępujące z zaświatów, są w stanie czuć solidarność z całą nędzą i kruchością tego świata.

Zadowolona z siebie kobieta zarzuciła na ramię wełnianą

narzutkę i bez pożegnania, mrużąc coś pod nosem, ruszyła przed siebie.

Milena obserwowała przepewien czas, jak zatrzymuje się, by z nieskrępowaną ciekawością zajrzeć do kontenera na śmieci.

Mówiąc swojej wolności, miała pewniaka, że styl życia, który ją wybrał, a który z przypisaną mu

dolą i niedolą, odważnie przyjęła za swój.

Milena Fortuna obawiała się, że ten aspekt pozytywnego myślenia jej nigdy nie będzie dotyczyć.

Fatalny zbieg okoliczności zawsze nim pozostawał, a prześladowający ją pech, zamiast rozśmieszać, budził co najwyżej wolę walki.

Przyglądała odruchowo krwistoczerwonej wełnianej różę wpiętą w pasieciemnej sukienki na ramiączkach.

Po pewnym nieudanym sylwestrze sukienka wylądowała wszafie wraz z spodniami, przypominającymi bardzo odległe czasy jeszcze szczupłego Mariana.

Teraz, wraz ze swą tanią, smętną, mało wyrazistą przeszłością, jak ulał pasowała do jej żałoby.

Bez najmniejszego pomysłu, jak pozbawiona stałej pracy spłacić odziedziczone długi, Milena wciąż stała przed budynkiem, stanowiąc bezimienną przeszkodę dla obojętnie mijającego ją tłumu.

Aha! - przypomniała sobie nagle.

- Ryby.

Whurtowni

będą sprzedawać puszkowane ryby.

Ktoś z urzędujących w dalekich krajach urzędników unijnych inteligentnie skojarzył nazwę miasta z morzem i wielkodusznie postanowił zainwestować trochę grosza

32

w przemysł przetwórstwa rybnego.

Na początku wszyscy się śmiali i pukali w czoło, jako że Łódź nie tylko leży czterysta kilometrów od morza, ale i nie przepływa przez nią żadna rzeka.

W końcu zaczęto wierzyć, że nawet w najgłupszej idei może być ziarno geniuszu, więc zgodzono się na wszystko, co proponowała Europa, pozwalając napływać do miasta maszynom i psującym się w transporcie rybom.

Ostatecznie najwięksi sceptycy, skuszeni nadzieją na pieniądze, zaczęli przekonywać, że warto skorzystać z każdego grosza ratującego to upadające ogromne miasto.

Teraz bankrutujący szef rybnej firmy ochoczo przebrańzawiał szkołę, wyrzucając cały personel na bruk.

Przez moment pomyślała, że ktokolwiek starałby się ją przekonywać, ona, Milena Fortuna, żywi zdecydowaną niechęć do ryb.

Na potwierdzenie swych myśli buńczucznie spojrzęła w niebo.

Nie dostrzegła tam jednak ani śladu ducha Mariana, więc ruszyła przed siebie.

W tym samym czasie, wyszedłszy ze sklepu pasmanteryjnego, Irek Blady spoglądał z zadumąw niebo.

Nieczęsto robił, więc podejrzewał, że to pogrzeb Mariana Fortuny tak go nastroił.

W tym mieście ludzie płakali wyłącznie nad własnymi kłopotami, bo mieli ich wystarczająco wiele, by nie brać sobie dodatkowo na głowę cudzych. Nawet śmierć nie była powodem do przemyśleń.

Irek Blady wolał jej literackie oblicze: subtelne i artystyczne, jak choćby dyskretne odejście Gustawa Aschenbacha w Śmierci w Wenecji.

Sam oświadczył, że nigdy nie spotkał nikogo, kto by mógł ulec kapryśnemu Tadziovi, ale rozumiał, że wielka dwudziestowieczna literatura zwykła kierować się swoimi prawami.

Ci, którzy chodzili wraz z nim po ziemi, bardziej od powieściopisarzy przypominali poetów, bo im, jak Irek zdążył przyswoić w szkole na lekcji polskiego, zawsze było źle,

samotnie lub pod górkę.

W życiu, które znał nie gorzej od książek, albo konało się przypadkiem, albo rozstawało się z tym światem, miotając przekleństwa, w bólach i zniechęceniu.

Zdawał sobie sprawę, że Marian byłby wieszakiem, który bez interwencji swojej żony skończyłby pewnie jeszcze szybciej.

Niemniej Irek żałował faceta, tym bardziej że boleśnie uświadomił mu, jak szybko i niespodziewanie zakończy się małżeństwo.

Śmierć Aschenbacha patrzącego napluskującą się w falach Tadzika była odległa i nierzeczywista, ale koniec przemienionego w rybę Mariana Fortuny niósł ze sobą zupełnie inną naukę.

Tej jednak Irek wciąż nie potrafił odczytać.

Zdecydował, że lepiej dla jego zdrowia będzie, jeśli zamiast do parku przejdzie się do domu, gdzie matka już pewnie czeka z obiadem.

Ruszył dziarskim krokiem, energicznie wciągając tlen do płuc.

Wystarczyło kilkadziesiąt sekund na świeżym powietrzu, a synowipanstwa Bładychudało się zapomnieć nie tylko o przestrożach płynących ze śmierci kumpla, ale i o samym Marianie. Znowu pogrążył się w fantastycznych wizjach swojej przyszłości, z dobrym samochodem, biurem przy Piotrkowskiej i biuściastą sekretarką, gotową na każde skinienie szefa.

Ostatnio, dzięki temu, że udało mu się w tajemnicy przed rodziną podłapać fuchę - nocne sprzątaniew bibliotece - zaczytywał się ukradkiem w opasłych powieściach amerykańskich pisarzy z lat pięćdziesiątych.

Nie stronił nawet od

kryminałów.

Szybko zorientował się, że zazwyczaj wszyscy wielcy bossowie wiedzieli, jak żyć z klasą.

On, Irek Błady, poradziłby sobie z tym nie gorzej od nich.

Przez dobrą chwilę czuł, że zamienia się w wiele bardziej znaczącego obywatela, niż był w rzeczywistości, gdy

z idylli wyrwał go chrapliwy odgłos klaksonu.

Nie mógł dostrzec ze stuprocentową pewnością, lecz wy

dawało mu się, że jakiś zmotoryzowany dupek w srebrnym kombi popędza jego siostrę Marysię, która bezceremonialnie wepchnęła mu się przed maskę i wolnym krokiem defiladowała w poprzek jezdni.

- E, gwiazda!

- gwizdnął kierowca.

- Nie czas nauczyć się przepisów?

- Spadaj!

- odburknęła zamiast przeprosin i Irek nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to jego rodzona siostra.

Kierowca jeszcze próbował napomnieć ją wyzwiskami wyrzucanymi bulgocącym indyckim głosem, ale Błada zignorowała go z dużą wprawą charakteryzującą wszystkie miejscowe dziewczyny.

W końcu, ponaglany przez kierowców z tyłu, właściciel kombi poddał się i odjechał w swoją stronę.

Irek Błady skonstatował nie bez satysfakcji, że siostra wygrała tę uliczną potyczkę w wielkim stylu.

Od razu widać było, że Maria Błada, wracając z rynku, nie dostrzegła młodszego brata.

W przeciwnym razie przeszłaby po pasach, żeby dać mu dobry przykład.

Inaczej też wyraziłaby brak chęci na rozmowę z kierowcą.

Jakkolwiek obłudne wydawałoby się jej zachowanie, odurodzenia miała wpojone, że to od niej Irek powinien uczyć się dobrych manier.

I choć brat okazał się zupełnie w tej (i wielu innych) kwestii niewyuczalny.

Błada wciąż do brzeskiej czuła w roli mentorki rodziny w sferze kultury.

Była silna, więc siatka z warzywami nie ciążyła jej zbyt, choć oprócz kilku kilogramów ziemniaków i dwóch dorodnych główek kapusty udało się Bładej zdobyć maliny i kiwi.

Wszystko oczywiście zagrosze.

Wystarczyło jej jedynie wiedzieć, że narynek należy udawać się wówczas, gdy chłopi pakują już przyczepy i narzekając na kiepski dzień (stały zwyczaj handlarzy), próbują jeszcze opchnąć co bardziej psujące się owoce.

Najlepsze pod tym względem było sobotnie po południu.

Perspektywa dwóch dni bez handlu skłaniała ludzi z targowiska do oddawania płodów rolnych niemalże za darmo.

Obchodziły wówczas z Mileną targ dwu-

a może trzykrotnie i rozmawiały z rolnikami o pogodzie i złej polityce rządu. Ostatnio wypadało narzekać na podatki, Unię Europejską i słabą dopłatę dla rolnictwa, więc narzekały do znudzenia.

W głębi duszy naprawdę współczuły ludziom ze wsi ciężkich czasów i słabych perspektyw.

Tamci natomiast z litością patrzyli na mieszkańców miast, pozbawionych pracy, ziemi i świeżego powietrza.

Wówczas Błada zrozumiała, że skoro nikt nie zamieniłby swojego losu na los tego drugiego, żyje w świecie idealnym.

Odkrycie to ogromnie podniosło ją ducha.

Była dumna, że jest Polką, i szczęśliwa, że może podzielić się bratem, którego właśnie dostrzegła, radością tego niespodziewanego dla niej samej oświecenia.

Irek był jednak zbyt zajęty, by wgłębiać się w zadziwiającą w swej prostocie logikę wyводу Bładej, bo jego myślicałkowicie zaprzętnęła motoryzacja.

Natchnięty scysją właścicielem kombi, zaczął rozważać, jaki wóz najlepiej pasowałby do niego, i nim weszli na czwarte piętro komunalnego bloku przy Pawiej 4, mógł podać dokładnie jego markę, kolor, model, rocznik, rodzaj felg, pojemność silnika i całą serię innych szczegółów dotyczących przyszłego pojazdu.

^

Ród Bładych, który od pięciu pokoleń zamieszkiwał rewirco najwyżej czterech niewielkich ulic na Batutach, słyszał tego, że wszędzie w okolicy miał bliższych lub dalszych krewnych.

Niektórzy z nich nosili zupełnie inne nazwiska lub nazwiska tych nawet urzędnikom z magistratu nie udawało się ustalić - ale jedno było pewne: mają oni coś z Bładych.

Geny przekazywano tu bowiem o wiele chętniej niż nazwiska.

Małoko zaprzętała sobie głowę dopełnianiem wszystkich formalności i ustalaniem imion i nazwisk faktycznych ojców, na podstawie których wścibscy urzędnicy

36

identyfikowali człowieka w banku, na poczcie i w urzędzie meldunkowym.

Przez wiele lat problemnie istniał z powodu braku pieniędzy, które można by zanieść do banku, jak również bliskiego sąsiedztwa krewnych (nikt jakoś nie czuł potrzeby, żeby z nimi korespondować).

Inne urzędowe sprawy załatwiała się zazwyczaj w sposób najprostszy i najnaturalniejszy dla normalnego człowieka, czyli nieoficjalnie.

Niezdrowa ciekawość, skąd pochodzą dzieci, nigdy w nadmiarze nie trawiła klanu Bładych do tego stopnia, iż ojciec Bładej nie śmiał zapytać jej matki, dlaczego Irek wniczym nie przypomina Marysi, a ona sama wcale nie jest podobna do żadnego z rodziców.

Troska o potomstwo zresztą nie spędzała snu z jego powiek, bo Ireneusz Błady senior miał tak naprawdę tylko jedno zainteresowanie.

Dotyczyło ono jego nogi i wszystkiego, co było z nią związane.

Słynna noga zresztą faktycznie nie istniała, ale wirtualnie towarzyszyła mu wiernie na każdym kroku.

Ojciec uczynił ze swojego kalectwa przedmiot dumy i dochodu dla całej rodziny.

Do głowy by mu nie przyszło, że są tacy, którym bycie kulawym kojarzy się z pechem i zafajdanym żywotem inwalidy.

Porównywanie go z kimś, kto nie może samodzielnie podnieść butelki do ust lub po macaku trafić do sedesu, obrażały jego dumę kombatanta.

Wszyscy wiedzieli, że Błady senior, choć stracił nogę od wojskowego pocisku, nie był prawdziwym kombatantem.

Nie był też na żadnej wojnie, bo w czasie, gdy przechodził przez Polskę ostatni (tym razem wyzwolenie) front, miał ledwie sześć lat.

Czterdzieści lat temu jednak wybrał się na grzybobranie w rejon poligonu i tam, wiedziony niezawodnym instynktem wszystkich Bładych, trafił prosto do swojego przeznaczenia przyczajone pod postarą żołnierską miny przeciwpiechotnej.

To był piękny dzień.

Bombą huknęła pod gumakiem ojca seniora tak mocno, że kiedy odzyskał przytomność w szpicu, nie miał najmniejszych wątpliwości, że teraz czeka go tylko dożywotnia inwalidzka renta i cały szereg przywilejów³⁷

II.

jów z pierwszeństwem w kolejkach włącznie.

Kilkadziesiąt lat później, gdy we włókienniczej Łodzi zamknięto wszystkie fabryki, a pracujących w nich ludzi rozpuszczono jak uwolnione ze schroniska bezpańskie, samotne psy, jegowciąż waloryzowana renta dawała utrzymanie całej rodzinie.

Nic dziwnego, że Blady nie miał powodów, aby wstydzić się swojej nogi.

Czas pokazał, że w ciężkich chwilach była mu większą podporą niż niejeden najzdrowszy nawet kulas.

Każdy trzeźwo stąpający po ziemi Polak wie, że jest takie miejsce, w którym ludzie modlą się gorliwiej niż w kościele.

Ich modlitwy najczęściej nie zostają wysłuchane, lecz czasami, częściej może niż w kościele, ktoś udziela im prawdziwego aktu łaski.

Tym miejscem jest Biuro Pomocy Społecznej, a modlitwa warta jest nieraz talonu na obiad, worka używaną żywnością czy kilkuset złotych wypłacanych dodziiesiątego każdego miesiąca.

A wszystkie te dary rozdzielają wciąż te same panie, zmieniające się w zależności od pory dnia i siedzące za niebieskawą grubą szybą nowoczesnego służbowego konfesjonau.

Pani w okienku, od której widzim się zależał zasilek Mileny, popatrzyła na nią dokładnie tak, jak robi to skąpa ciotka przyciskana do muru przez zachłannych bratanków.

- Znowu?

- Co: znowu?

- Znowu pani stoipo zasilek.

Milena zerknęła za siebie.

Duszny korytarzyk wypełniały zazwyczaj te same, dobrze znane jej twarze petentów.

Jedyną dostrzegalną różnicą polegała na tym, że za każdym razem było ich coraz więcej.

Większość ich cierpiała narzeczywistą biedę, ale byli i tacy, którzy z wyciągania od państwa zapomóg zrobili już swoje stałe zajęcie.

Pani z okienka najwidoczniej zaliczyła Milenę do grupy zawodowców.

Milena Fortuna miała w portfelu całe dwie setki, o wiele

38

za mało jak na jej potrzeby.

Splacenie długu Mariana wciąż było poza jej realnymi możliwościami, więc starała się odsunąć jego widmo jak najdalej.

Skoro już została wyzwolona ze wszystkiego, co stanowiło jakikolwiek pewnik w jej młodym życiu, postanowiła korzystać z tej wolności.

Sporo ostatnio myślała o zabraniu chłopaków nad morze, zrobieniu sobie ekstrakurzy i wyjściu do kina.

Wszystkie te rzeczy przez całe burzliwe dziesięciolecie małżeństwa były całkowicie poza jej zasięgiem.

- Jak dostanę jakąkolwiek pracę.

- Słyszac te słowa, urzędniczka, nie tracąc złośliwego wyrazu twarzy, bezradnym gestem melodramatycznie rozpostarła ramiona.

- Albo - Milena poprawiła się - dostanę choćby dotację na przedszkole, to sama poszukam sobie pracy i przestanę panią nachodzić.

- I tak pani nic nie znajdzie!

- zawołał ktoś z kolejki.

Ktoś inny zaproponował, by korzystając z okazji poprosił jeszcze o przystojniaka w mercedesie i szczęśliwy los na loterii.

Parę osób zachichotało.

Urzędniczka znów przyoblekła minę skąpej ciotki i obrzuciła kolejkę wyczekującym spojrzeniem.

Odezwała się dopiero wtedy, gdy głosy umilkły.

- Zgoda, tyle możemy w drodze wyjątku przyznać.

Tudaję pani formularz na zapomogę.

Trzeba wykreślić "na opiekę dla sierot lub poszkodowanych w katastrofach" i wpisać, że chodzi o zapomogę przedszkolną.

Patrzyła teraz na Milenę, oczekując należnych jej hołdów.

Ten element swojej pracy bez wątplenia lubił najbardziej.

Nigdy nie narzekała na tłumy przy okienkach, bo jedynie one mogły dać jej namiastkę prawdziwej publiczności, którą sterowała niczym wytrawny orator głoszący z podium swe słowa lub władca przyjmujący poddanych niewzrastającym zaciśniętym konfesjonalem, lecz w prawdziwej salitronowej.

Rozczarowała się, gdy Milena, zamiast wylewnych podziękowań, chwyciła formularz i zniknęła przy schodach.

39.

Przez moment pożałowała, że tak łatwo pozwoliła jej wyszarpnąć rządowe pieniądze, ale szybko znalazła pocieszenie w następnej sprawie: dziarski emeryt przez dwadzieścia lat walczył z komunizmem, a teraz dostaje grosze, bo lat, które przesiedział w słusznej sprawie w więzieniu, nikt jakoś mu nie chce doliczyć do emerytalnego stażu.

Mężczyzna ochoczo podwijał nogawki i zadzierał koszulę, ukazując co, rzekomo miało być dowodem w sprawie, a zgromadzeni przyglądali się temu z bliska.

- Baaa-rdzo ciekawe - urzędniczka ziewnęła i postukała długopisem w biurko stojące po drugiej stronie okienka.

Wreszcie miała swój show.

Mogła spokojnie zapomnieć tej młodej kobiecie bez przyszłości.

Milena ścisła w łoni decyzję przyznającą bliźniakom darmowe obiady i opiekę do siedemnastej.

Ucieszyła się, że wszystko dziś poszło jej tak łatwo.

Miała trochę pieniędzy, czas i wolną głowę.

Czuła się przez chwilę jak pani świata lub hulający ponad kamienicami wiatr, gdy powitalne gwizdnięcie Pępka przywołało ją do rzeczywistości.

Stał narogu z Irkiem Błędym i nieprzyzwoicie głośno dzwonił pustymi butelkami w plastikowej torebce.

- Cześć Milena!

Ze sklepu wracasz?

- Z socjała.

- Rozumiem, kochanych złotówek nigdy za dużo.

- Pępek rozpromienił się.

- Załatwiłam przedszkole.

Od jutra szukam pracy.

Pępek zaniemówił.

- A! Eee.

Tego.

Zdecydowanie nie czuł się specjalistą w rozmowach o pracy.

Zawsze niebezpiecznie zbaczały w rejony jego własnych planów na przyszłość.

A raczej ich braku.

Milena odwróciła się izęgnając się (z ulgą) z Pępkiem, złowiła kątem oka zaciekawiony wzrok Irka.

Musiał to zauważyć, bo uśmiechnął się zakłopotany, jakby chciał zatuszować swoje wścibstwo.

Podniósł do góry rękę niedbale

W tym pozdrowieniu i przez ułamek sekundy Milena ujrzała wciśniętą za podszewkę kurtki okładkę książki z ogromnym napisem: WOOLF i mniejszym: Wirginia, a dalej całkiem niewidoczny już tytuł.

Ciężko było uwierzyć, że ten osiedlowy macho potrafi czytać, a już zupełnie niewiarygodne wydawało się Milenie, iż wybiera takie lektury, więc nim na dobre zniknęła za rogiem ulicy Limanowskiego, obejrzała się za bratem Błędym dokładnie sześć razy.

Każdy człowiek, który nie pasował do przewidywalnego wizerunku świata, budził jej niepoohamowaną ciekawość.

Fakt niepokojącego zachowania się młodej wdowy nie mógł pozostać niezauważony ani przez Irka, ani przez Pępka.

- Cholernie sfiksowała po śmierci Mariana, nie?

- zadumał się Pępek.

Nie ulegało wątpliwości, że miał na myśli zupełnie niezrozumiały pomysł podjęciapracy.

Irek tylko wzruszył ramionami i pospiesznie pożegnał się z chłopakiem swojej siostry.

- Nie zapomnij o imprezie: sobota, Leśnix -pospiesznie rzucił na odchodnym i zadowolony, że nie musirozmawiać z nim przez następny kwadrans,ruszył wprost do biblioteki.

Na wszelki wypadek, gdyby Pepek zechciał sprawdzić,dokąd się udaje, zmyliłtrop, obierając dłuższą drogę i przechodząc przez bramęprowadzącą do zakładu szewca.

Naszcześnie kumpel był zbyt pochłonięty oddawaniembutelek dosklepu,żeby zmieniać plany z byle powodu.

W głębi podwórka Irek mógł czuć się bezpiecznie, ale wciążtrawił go dziwny niepokój. Nie przepadał za niezidentyfikowanymi uczuciami, głęboko wierząc w rodzinnąmaksymę Bładych, że zdrowy psychicznie człowiekpo prostu nie wnika w niebezpieczne rejony czegoś, co zwą ludzkąduszą, bo to niechybnie prowadzi do wariatkowa.

Byćmoże jego niepokój spowodowany był wrażeniami, jakie wywo41

łała przeczytana książka, a być może jego przyczyną było spotkanie Mileny.

Czyżby Pepek miał rację z tym szaleństwem?

- Weź się dokupy!

- zarządził, z trudem usuwając z pamięci obraz Mileny.

Irek nie pamiętał, skąd wzięło się pierwsze zauroczenie Mileną.

Było to tak dawno, że próby wysilenia pamięci przypominały bardziej nurzanie się na oślep w przypuszczeniach i spekulacjach niż faktyczne wspomnienia.

Jedno nie podlegało wątpliwości: był wówczas dzieckiem.

Szczeniakiem, dla którego Milena była stworzeniem z innego, lepszego świata.

Dwuletnia różnica wieku czyniła z niej kobietę dorosłą i zupełnie dla Irka niedostępną.

Pewne byłoby tylko jedno: od czasu, kiedy jako pięcioletek przekroczył próg miejskiego przedszkola numer 6 i natknął się w nim na kościstą dziewczynkę z zerówki, która ze śmiertelną powagą nosiła czeskie imię, jego sny na zawieszonymi się jej obecnością. To poważne piętno pierwszej miłości rozrastało się w nim niczym tatuaż na męskim bicepsie. Zawsze ukrywał je pod osłoną cynizmu lub przesadnej nonszalancji.

Nigdy nikomu nie przyznałby się, że kocha Milenę, bo to

trwające blisko trzydzieści lat uczucie nie przypominało żadnej z tak często przeżywanych "miłości".

Tak było bezpieczniej.

Młodzieńcze fascynacje pojawiały się i znikwały w tym czasie jak czerwona burza.

Z całą swoją namiętnością, zapalną łatwo jak wysuszona trawa, wypalały się, iskrząc gwałtownie i hałaśliwie.

Z Mileną było inaczej.

Na tyle inaczej, że platonicznego

uczucia, którym ją obdarzał, nigdy nie śmiała nazwać miłością.

Nigdy nie marzył, że ta poukładana w każdym calu dziewczyna mogłaby być z kimś tak zwyczajnym jak on, więc usuwał się w cień.

Irek nie zbliżył się do niej bardziej niż na odległość ramienia, bo bliżej jej było do uwielbianej nietykalnej świętej niż zwykłej kobiety.

Ciągle jednak znajdował

ślad w swoich snach coś zgoła niereeligijnie nieczystego, co sprawiało, że nie wiedział, czy jego miłość bardziej przypisaną jest do rajów, czy piekła.

Przez dobre kilkanaście minut Irek usiłował skupić się na całkiem budującym fakcie, że spotykał się od wczoraj z Kaśką, dziewczyną z pasmanterii, która dawała mu poczucie przyjemnego komfortu przewagi intelektualnej i wiekowej.

Miał nadzieję, że ona również będzie pragnąć od niego niczego więcej ponad jego towarzystwo.

Z książki, którą niósł pod pachą, wynikało, że nie zawsze kobiety zadowolają się tym, co dostają, i że najbardziej pociągające bywają z reguły wymagające i kłopotliwe.

Niektóre chcą być nawet mężczyznami.

Westchnął ciężko.

Mimo niemalże nabożnego stosunku do słowa pisanego literatura pisana przez kobiety niezbyt optymistycznie go nastrajała.

Wyobrażał sobie raczej, że wypożyczając książkę autorki o nazwisku Woolf, natknął się na lekkostrawny, sensacyjny kawałek.

Nie rozczarował się, bo choć pisała głównie o sobie, robiła to tak pięknie i przekonująco, że odniósł wrażenie, jakby o paru sprawach wiedziała równie wiele, co jego mistrz.

Sama historia Orlanda, niczym dzieła Tomasza Manna, wprowadziła go w czarodziejską przestrzeń rzeczy niemożliwych.

Gożej, że dziś odniósł się z niesmakiem do Pępka.

Miał to niewątpliwie jakiś związek z dołem wywołanym faktem, że zbyt wiele czasu poświęca swoim książkowym bohaterom, i to go poważnie zaniepokoiło.

Na przyszłość postanowił rozważnie dobierać lektury.

Próbował kiedyś, co prawda, stosować system alfabetyczny, ale utknął na dobre przy literze D.

Innym razem wybiegł najbardziej zaczytane książki (mając nadzieję, że trafi na najlepsze), lecz tym razem rozczarował się, bo trafiał niemal wyłącznie romanse.

Przeczytawszy dwa czy trzy, zrezygnował z dalszej lektury autorytarnie stwierdzając, że Miłość z książek w blad różowych okładkach nijak się ma

43.

do prawdziwego zewu ciała, którego doświadcza na każdym niemal kroku w swoim życiu. Mierzili go opisywanitami dziedzice fortuny, od rana zasuwanym w nakrochmalonych muszkach, i ciupciając ich żony ogrodnicy, nieodmiennie w śnieżnobiałych podkoszulkach na muskularnych,

opalonych torsach.

Irek Blady nigdy na żywo nie widział takich facetów i na kilometr czuł fałszywych opisów.

Podjeżdżał, że tę szerzącą propagandę nieskazitelnych chciał wymyślili homoseksualiści, którzy w zakamarkach domowych pieleszy pisywali miłośniczki historyjki dla pań, podpisując się pseudonimami (Lola, Daisy czy Nora Cośtam), bardziej pasującymi do najpiękniejszych Queens niż zwykłych kobiet.

To pokrętny tłumaczenie uspokoiło go, dając satysfakcję, że on, Irek Blady, nie tylko nie powinien denerwować się niedociągnięciami urody różniącymi go od powieściowych ideałów, ale wręcz jak prawdziwy samiec musi z honorem tych różnic bronić.

- Dzień dobry wam, panie Ireneuszu!

- zgrzybiała kierowniczka biblioteki powitała go z uśmiechem, który niezorientowani mogli mylnie wziąć za przejaw dobroduszości.

Zwracając się do ludzi, bardzo często mówiła w liczbie mnogiej.

Jak sądzili niektórzy, spowodowane to było niezbyt oczywistym faktem, iż zaraz po wojnie wraz z swoimi liczными ciotkami i wujkami przybyła ze wschodu i z powodu wielkiego do nich szacunku, mówiąc nawet do pojedynczego krewnego, starała się mówić tak, jakby zwracała się do wszystkich naraz.

Niektórzy twierdzą, że jest to dość powszechny nawyk dorosłych, którzy w dzieciństwie doznali urazu na tle braku indywidualnych kontaktów z najbliższymi.

Ci, którzy nie znajdowali równie życzliwych sprawiedliwych zachowań pani Kazimierze, unikali jej, niesłusznie dopatrując się źródeł jej uciążliwego charakteru w rzekomym staropanieństwie.

Bibliotekarka bowiem w latach czterdziestych ubiegłego stulecia była przez dwa miesiące żoną pewnego młodego żołnierza Armii Czerwonej i bardzo sobie ten stan chwaliła.

Rosyjski żołnierz popełnił jednak rzecz całkiem niestosowną, bo zamiast zginąć niczym bohater na froncie, przeziębził się i zmarł na powikłania po śwince.

Nic dziwnego, że bibliotekarka nieczęsto wspominała tę historię.

Gdyby wiedziała, że Irek zna największe sekrety jej życia, pewnie by go zwolniła tak szybko, jak pozbywała się każdego, kto wykazywał stosunek do niej choć cień zrozumienia lub współczucia.

Dzisiaj pani Kazimierze udało się zapomnieć o ludzkim gadaniu, swoim wieku i wiszącym nad nią jak katowski topór zagrożeniu przymusowym przejściem na emeryturę. Słowem: miała całkiem dobry humor.

- Pięknieście nam naprawili tę piekielną inikomu tak naprawdę niepotrzebną maszynę.

Pani Kazimiera wskazała na stojący w najciemniejszym kącie komputer, który jeszcze dwa dni temu kurzył się na plecach, gdzie stał na herbacianym stoliku, przykryty litościwie cepeliowską serwetą w góralskie wzory.

Skinął palcem znak, że nie ma sprawy.

Wiedział doskonale, że w głębiszych strachliwych dusz wszystkie pracujące tu bibliotekarki nie cierpiały komputera od czasu, gdy przeczytały we Wróźnie, że emanuje złą energią.

Zarząd bibliotek publicznych tej opinii zupełnie niepodzielał (najwidoczniej nie czytał poradnika) i nakazał wiekowej kierownicze katalogować wszystkie zbiory natwardym dysku maszyny.

Po długiej i burzliwej dyskusji zdecydowano się zdjąć z komputera serwetę i umyć go płynem do mycia naczyń.

Nazajutrz, czyściuteńki lśniący, bibliotekarki podłączyły do sieci.

Nie zadziałał.

Długo myślały, dlaczego złośliwa maszyna odmówiła współpracy, aż któregoś dnia postanowiły zwierzyć się ze swojego problemu Irkowi.

Ten przytomnie osuszył sprzęt szarką do włosów, rozkręcił obudowę i myszkę, wymienił laną klawiaturę, kilka spalonych oporników i ku widoczności.

nej uldze pań stwierdził, że nie wszystko stracone.

Faktycznie, komputer zaskoczył, a bibliotekarki raz jeszcze utwierdziły się w przekonaniu, że z wprowadzaniem informatyki do ich placówki nic dobrego wiązać się nie może.

Irek Błady natomiast urósł w oczach pań z pozycji czytelnego woźnego do pozycji cudotwórcy.

Jedynie, co mogły ofiarować mu w zamian za oszczędzenie kosztów zakupu nowego peceta, to książki.

Tylko to miały.

Od tej pory mógł więc brać z półek, nowych paczek i dołożonych pod ladą pozycji, co tylko chciał, cała zaś procedura pożyczania kolejnych bibliotecznych skarbów opierała się na jego krótkim

zapewnieniu:

- Biorę Czechowa - albo: - Biorę tę zieloną książkę o hodowli psów.

Oddam jutro.

- Oczywiście, panie Ireneuszu, proszę czuć się jak u siebie -

zapewniały pospiesznie.

I Irek tak właśnie się czuł.

Czytał kolejne tomy grubych i cienkich powieści z tą samą namiętnością, z jaką kochał kobiety.

Niektóre z tych lektur dawały mu pociechę na jedną noc, inne zapadały w pamięć na długie miesiące.

Zawsze jednak robił to szybko i z pasją.

Wybaczał litościwie, że brakuje im stron lub że starość przujął się grzbiety.

I jak prawdziwie szlachetny kochanek nie odrzucał żadnej.

Żałował, że choć czyta o wiele więcej od innych, nie jest

w stanie pamiętać wszystkich wątków, autorów i postaci.

Pogardzał jednak prowadzeniem notatek, które kojarzył mu się z bazgraniną zniechęconych kiedyś szkolnych pracusiów.

W pamięci Bładego zostawały najważniejsze, jego zdaniem, strzępy informacji: imię psa głównego bohatera, fragment tytułu czy kolor łódzki na okładce książki.

I jak w pewnego rodzaju sentymentalnej zależności wierny był od lat Mileniu Fortunie, tak w przypadku książek jego serce zdobył jeden tylko autor: Tomasz Mann.

I mimo że wciąż nie znalazł powieści, która zajęłaby pozycję równą kochanemu niemieckiemu nobliście z początku XX wieku,

46

wciąż szukał.

Wierzył, że kiedyś, w przyszłym życiu milionera, podobnie jak w życiu dobrego kochanka, znajomość tak różnorodnej tematyki będzie niezastąpiona.

- Nie, żeby potrzebowała czyjejś łaski.

- z tła dobiegło głos kierowniczkini, więc Irek uprzejmie wrócił na ziemię.

Uprzejmość nie była natomiast najmocniejszą stroną bibliotekarki, co dla wielu burzyło ideał statecznej pani w okularach.

Jednak Błademu, przywykłemu do dość cichych dyskusji przy każdym rodzinnym obiedzie, zachowanie starszej pani przypominało niemal domowy nastrój.

- Słucham?

- uśmiechnął się zyczliwie.

- Co mówiłam?

- Że nie potrzebuje pani niczyjej łaski.

- A, tak, zgadza się!

- przyznała chętnie.

-Ci na górze straszą, że jesteśmy przedpotopowe, bo jako jedyna placówka nie wprowadziłyśmy komputerowego archiwum, ale, choć wiemy swoje, zmuszone jesteśmy zaproponować, żebyście teraz przychodzili na cały dzień do biblioteki i naszą odpowiedzialność ujarzmiali maszyną.

- Kierownicze nie udało się uchwycić rozbawionego wzroku Irka błędzącego po sali.

-No i jeszcze jedno, niemożemy znacznie podnieść waszej pensji.

Kiedyś propozycja jakiegokolwiek pracy ucieszyłaby go, lecz teraz miał trzydziestkę na karku i zbyt wiele doświadczeń zasobą, żeby pochopnie brać wszystko, co przynosi mu los.

- E, nie wiem.

Nienadaje się do papierkowej roboty - Irek bez przekonania podrapał się po karku.

W gruncie rzeczy czuł, że podejmując się tej pracy, ani krok nie przybliżył się do realizacji swoich marzeń.

Wciąż jednak potrzebował pieniędzy.

Lubił też samą bibliotekę.

- Zastanowię się - zapewnił, widząc zaskoczoną brakiem entuzjazmu twarz przygarbionej kierowniczkę.

- Cośsi?

wymyśli.

W poczekalni uśmiech fortuny pisane mu było najwi47.

doczniej wyprowadzanie na szerokie wody nowego tysiąclecia zakurzonego wraku osiedlowej biblioteki.

Pocieszała się zastysznaną opinią, że działalność charytatywna należy do najbardziej wyrafinowanych zainteresowań milionerów.

I tej teorii postanowił się trzymać.

5

Tego dnia Milena Fortuna odstała swoje w półtorakilometrowej kolejce do pośredniaka i obdzwoniła wszystkie numery podane w ogłoszeniach o pracę.

Niestety, nikt nie poszukiwał mało dyspozycyjnego, punktualnego włókiennika z niezłym angielskim.

Nikt nie poszukiwał kobiet, mężczyzn, dzieci, zwierząt, nikogo.

Miała wrażenie, że żyje w kraju, w którym wszystko kręci się jedynie dzięki jakimś tajemnym machinacjom, wyższym siłom i wierze w cuda.

Kiedy wyczerpała się wszystkie możliwości znalezienia pracy, napisała flamastrem kartkę i powiesiła ją na klepie.

Dwa krótkie zdania: że z chęcią podejmie się pracy przyopieczce nad dziećmi lub starszami, ale weźmie też każdą inną pracę, która się trafi.

Dopisała też, iż sprawajest pilna, a potem patrzyła, jak jej kartka smętnie wisi w towarzystwie innych, równie rozpaczliwych, nikogo nieinteresujących obwieszceń.

Zdziwiła się, gdy ogłoszenie po dwóch godzinach znikło,
bo nie zadzwonił żaden telefon.

Rozpatrywała nawet różne warianty zniknięcia karteluski: począwszy od dostrzeżenia jej przez ambitnego łowcę talentów, a skończywszy na zakochanym w niej księciu, spragnionym bliskości próbki jej doskonale równego pisma.

Mógłby je nosić na sercu, w wypchanym do obrzydliwości portfelu, albo włożyć pod atłasową poduszkę z nadzieją, że kiedyś przemieni się w oddaną mukochankę.

Prawdopodobieństwa, iż kartkę zdmuchnął wiatr, w ogóle nie brała pod uwagę.

48

Milennie nie zależała na konfrontacji z rzeczywistością.

Wszystko, co ściągało ją na twardą skorupę ziemi, bolało jak upadek z komfortowej wieży nieco dziecińczych, ale za to bezwzględnie własnych wyobrażeń o naturze świata.

Zeswojej strony ceniła radość płynącą ze szczegółów, wyłapywania detali.

Lubiła obserwować mężczyzn i kobiety, a następnie na podstawie strzępów informacji wyobrażać sobie niewiarygodne historie dotyczące ich codziennego życia.

Ten nabyty w dzieciństwie nawyk wszystkich jednaków w dorosłym wieku, na przekór wszelkim regułom, wcale nie wykazywał tendencji zanikowych.

Przejawiał się nie tylko w najróżniejszych momentach, ale dotyczył też rozmaitych i pozornie nieistotnych szczegółów.

Przykładowo patrzyła, jak ludzie zakładają czapki z daszkiem, przypisując poszczególnym kierunkom odchylenia daszka odpowiednie ustawienie wskazówek na zegarze ich intymnego dnia.

Także ludzie z daszkami do przodu według jej teorii rzadko kochali się za dnia, ci, którzy nosili go z tyłu, robili to tylko rano, z prawego boku - o oryginalnych porach, a po stronie lewej - jedynie o seksie marzyli.

Inny pogląd na sprawę daszków nie uwzględniał porów intymnych stosunków, lecz jedynie pozycję, w jakiej ludzie im się oddawali.

Swoich rozważań na temat damsko-męskie Milena nie potrafiła poprzeć znikomym nawet doświadczeniem.

Nielicząc Mariana, w życiu Mileny niebyło bowiem jak dotąd żadnego mężczyzny, więc różnorodne erotyczne teorie, które z lubością wymyślała, nie dotyczyły jej bezpośrednio. W duchu jednak przypuszczała, iż ten obcy jej aspekt życia musi być arcyciekawy. Najlepszym dowodem były emocje, jakie seks wzbudzał w innych ludziach. Sąsiadki snuły domysły na temat nocnego życia niemal całego osiedla, szaleńcy dławili rozkoszy zakuwali się w zabawne dyby i skórzane pasy, jakie widywała na okładkach pornomagazy^w, ksiądz z ambony grzmiał, że ludzkość opętał demon^{psucia}. Milena wciąż wierzyła, że kiedyś spotka kogoś, kto za49.

spokoi jej niezgłębioną ciekawość poznawczą.

Niestety, facet mylnie wybrany namężczyznę jej życia w tej kwestii bardzo szybko okazał się całkiem bezużyteczny i pęd dowiedzy wciąż pozostawał niezaspokojony.

Wobec tak postawionej sprawy młoda wdowa czuła, iż doudgaszenia jej pragnienia poznania nie przyczyni się anisamotność, na jaką odgórnie została skazana przez los, ani głupio pielęgnowane idealistyczne podejście do miłości.

Całą resztę, czyli: skończone trzydzieści lat, dwoje dzieci i pusty portfel również trudno byłoby zaliczyć do czynników wpędzających młodych mężczyzn w pułapkę obsesyjnego

pożądania.

Pewną pociechę niosła Milenie lektura miłosnej poezji.

Ten szczególny rodzaj niedopowiedzenia, którymsza fowalitiwórcy, dawał jej nadzieję, że wreszcie przybliży się do jakiejś nieodkrytej prawdy o naturze rzeczy.

Mniej pocieszające było to, iż ten sam rodzaj odkrywczych emocji nieodmiennie towarzyszył jej mężowi po spożyciu ćwiartki czystego alkoholu.

Zbieżność ta, świadcząca o oszustwie poetów, stawiała ich czytelników na równiz pijakami i w niczym ani okrok nie przybliżała Mileny do odkrycia tajemnicy miłosnego odurzenia.

Z tego też powodu wdowa z bólem odstawiła na półkę tomik z nowoczesną poezją i zniechęcającą (choć wciąż niespełnioną) nadzieją na miłosne trzęsienie ziemi rozpoczynała każdą kolejną godzinę swego

życia.

Tymczasem jedynym wydarzeniem w jej życiu miała być sobotnia impreza, czcząca dzień trzydziestych urodzin Irka Bładego, młodszego brata najbliższej przyjaciółki.

Milena bez entuzjazmu zaakceptowała zaproszenie.

Dawno odpuściła sobie przestrzeganie zwyczajowej rocznej żałoby, ale pokazywanie się w Leśniku tydzień po pochowaniu męża mogło uchodzić za przesadę nawet wśród najbardziej tolerancyjnych sąsiadów.

Jedynym zrozumiałym powszechnie powodem chęci wyrwania się młodej wdowy

50

z domu mógłby być.

alkoholizm.

To wytłumaczenie było zawsze przyjmowane bez zastrzeżeń.

Rozbawiona zachichotała do słuchawki.

- Co cię tak śmieszy?

- zapytał Irek nieufnie.

Zewszymi znajomymi jak do tej pory zwykł umawiać się raczej osobiście, tym bardziej peszyła go ta oficjalna rozmowa przez telefon.

Błada jednak namawiała, żeby zaprosił Milenę porządnie, bez pośrednictwa siostry.

Jako wdowie, niejako z urzędu należał jej się większy szacunek niż reszcie jego koleżanek.

Teraz śmiała mu się prosto w nos, zupełnie wyprowadzając go z równowagi.

- Pomyślałam, że moje przybycie do Leśnika tłumaczyłby tylko pociąg do jednego ze stu sześćdziesięciu gatunków piwa, które tam sprzedają.

- Co? Aaa.

- połapał się.

Rzeczywiście, wisiła kiedyś nad drzwiami taka niedorzeczna reklama pubu, ale nie przypuszczał, że Milena ją pamięta.

- W porządku, tego jedyne dnia w roku jastawiam.

- Jasne.

Rozmowa nie kleiła się.

Czym innymbyły bowiem niezobowiązujące pogaduszki na ulicy, a zupełnie czym innym denerwujące, przedłużające się w nieskończoność pauzy w słuchawce.

Stosunek Irka do Mileny zawsze bardziej od ich wewnętrznych nastrojów określały zewnętrzne okoliczności towarzyszącej burzliwemu życiu: zaręczyny, ślub, dzieci, wdowieństwo, przyjaźń z Bładą.

Dawno już przestał nadać jej hierarchię wartości, marzeniami i potrzebami, choć nie mógł zaprzeczyć, że te rzeczy nie przestały go nigdy interesować.

Irek wypuścił cicho powietrze z płuc.

Natychmiast oczywiście pożałował tej chwili słabości.

Zamiast kurtuazyjnych niedomówień mógł usłyszeć, że Milena wcale nie ma go za chodzący ideał mądrości i męskości, za kogoś, kogo cicho chciał uchodzić.

Nie wątpił, że coś w tym musiało być, bo choć w głębi

51.

serca czuł się kimś szczególnym, mylące pozory, jak czujny barometr cechy zwanej normalnością, wskazywały druzgoczący dystans, jaki dzielił go od oryginału.

Jednym słowem, Błada już dawno mogła uświadomić Milenę do najokrutniejszej z prawd: Irek rozczarował rodziców.

Wciąż coś gubił, gdzieś się spóźniał, ale nigdy nie zawałał rzeczy naprawdę ważnych: rozgrywek szkolnej ligi futbolu, honorowych bójek o wszystko, cosobotnich giełd antykwarycznych.

Zawiazywał buty różnymi sznurowadłami, nie nosił zegarka ani portfela.

Ale miał gest, marzenia i wyobraźnię.

Należał do tych "zdolnych i leniwych", których ojczysta jego ziemia wykluwała bezliki, czyniąc z nich wzorzec sam dla siebie, niewygodny przykład kogoś, kogo inni bez namysłu postrzegają jako typowego Polaka i bezkrytycznie umieszczają obok staroświeckiego wzorca metra z Sevres.

Irek bił się czarnymi myślami, gdy tymczasem nie podejrzewająca niczego jego rozmówczyni wciąż wyczekująco

milczała.

Jedynym sensownym pytaniem w takich kłopotliwych sytuacjach było ogólnikowe:

- A co u ciebie?

- Nic.

Znów zapanowało milczenie.

- Szukałaś pracy.

- Mhm.

- I?

Prychnięcie Mileny dobitnie zastąpiło całą odpowiedź.

Irek poczuł się głupio.

Dziewczynie praca potrzebna była bardziej niż komukolwiek.

O długach Marian huczało w całej okolicy.

Zu podobaniem komentowanej wylbrzymiane, urosły w plotkach doniebotycznych chrozmiarów kilkunastutysięcy złotych.

Jakkolwiek Irek nigdy do końca nie wierzył w zasiewane plotki, nie miałby nic przeciwko podsunięciu Milenie swego opiekuńczego ramienia.

52

- Jak będę o czymś słyszał, dam ci znać - oświadczył tajemniczo, co Milena znów zbyła wymownym milczeniem.

Jeszcze raz potwierdziło się to, że czego wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę: zawsze uważała brata przyjaciółki za niegodnego zainteresowania wariata.

Nie wiedzieć czemu czuł jednak, że ich pozornie niekompatybilne światy od zarania dziejów łączyła nić dziwnego porozumienia.

Irek Błady miał swój plan.

Pomóc w jego realizacji mogła mu matka, która jak zwykle o tej porze drzemała na wersalce w kuchni.

Wersalka pełniła zaszczytną rolę "gościnnego" łóżka, gdy poimieninowi współbiednicy nocowali w domu Bładych.

W przerwach między świętami imieninami była ulubionym miejscem matki Irka.

Uczciwie doceniał to, że taksamo dobrzedawało się na niej spać, jeść i obserwować przez okno życie sąsiadów.

Swoimi podwórkowymi obserwacjami dzielił się zazwyczaj głośno i bez skrępowania z matką niejakiego Leona, kumpla Irka z bloku naprzeciwko.

Rodzice Leona mieli dobrze prosperującą budkę z używaną odzieżą, więc do dobrych trzech lat powodziło im się fantastycznie. Ktoś zza zachodniej granicy przywoził niemiłe zainteresowania spódnice dla puszystych kobiet, fartuchy dla starówek i jaskrawe śpiochy dla osesków. Ten oryginalny asortyment okazał się, o dziwo, tak niewiarygodnym strzałem w dziesiątkę, że w dzień przyjęcia towaru emerytki i wielodzietne matki ustawiały się przed budką kolejno, kłócąc się i złorzecząc wszystkim, co znalazło się w zasięgu wzroku. Z czasem emocje opadły, a stare klientki zaprzyjaźniły się lub oddały swe miejsca nowym. Wciąż jednak interes prosperował znakomicie, a rodzice Leona z bezrobotnych tkaczy stali się nieźle zarabiającymi biznesmenami.

Przedmioty małe i tanie nigdy nie przykuwały uwagi ni53.

kogo z członków tej rodziny, co oznacza, że w krótkim czasie po otwarciu na osiedlu francuskiego hipermarketu kupili sobie wielki jak brama do niebios cyfrowy telewizor i rasowego psa (którego notabene szybko musieli się pozbyć zabezceń, bo bydlę szybko wyrosło ponad wszelką miarę).

Wszystkie te (wielkie gabarytowo) dowody wysokiego materialnego statusu kiepsko mieściły się w ich mieszkaniu, ale nikt nie widziałw takim stanie rzeczy nic złego.

Sukcesowiem musi mieć swoją słuszną wagę.

Na szczęście mimo przytłaczającego, jak na miarę osiedla, sukcesu Leoni jego krewni jakimś dziwnym trafem pozostali niezmienni.

Kolega ze szkolnej ławy wciąż śmiał się z tych samych starych i głupich dowcipów, a jego matką jak za starych dobrych lat zwierzała się ze wszystkiego matce Irka.

Niestety, czasem robiła to na odległość, przez otwarte okno, przez co jej tajemnice szybko przestawały być nawet tajemnicami poliszynela, astawały się tematem plotek całej dzielnicy.

O rodzinie Leonarozmawiała się Bladych często, więc matka nie zdziwiła się, że Irek zagadnął ją o nich.

- Przecież mówiłam wczoraj, że szukają pielęgniarki.

- Nie słuchałem - wyznał zgodnie z prawdą syn i pospiesznie dodał: - Ale teraz chętnie wysłucham.

Zapadło pełne podejrzliwości milczenie.

Matka, która uważała, że przez małżeństwo posiadała część legendarnego instynktu Bladych, na każdym kroku próbowała udowodnić, że nikt na świecie nie jest jej w stanie wywieść w pole.

- Chcesz pieniędzy?

- przeszyła Irka wszystkim spojrzeniem.

- NIE mam - wycodziła dobitnie.

Nie prosił jej o nie już od dłuższego czasu, ale życzliwe zainteresowanie się zyciem sąsiadów poczytała za bardzo podejrzane.

Zbyt dobrze znała podejście swych dzieci do bezinteresownych rozmów z resztą rodziny, by nie być czujną.

- Niepotrzebuję pieniędzy, trochę dorabiam.

- Jak do tej pory Irkowi udawało się skutecznie unikać tematu pracy

54

woźnego w bibliotece.

I tym razem czuł, że jedynie szybkie zamknięcie tego tematu może go uratować.

- Więc po co im pielęgniarka?

- Do dziadka Leona.

Tego starego - dodała matka, jakby ten fakt wymagał jakichkolwiek wyjaśnień.

- No pewnie, że starego.

- burknął Irek.

Starość przez całe lata nieodmiennie kojarzyła się Irkowi z dziadkiem Leona, ten zaś z smrodem.

Leon, rodzice Leona, a nawet dziadek we własnej osobie uważali, że smród jest wielkim przywilejem starości.

- Po co, synku, mam się myć?

- pytał retorycznie dziadek, wznosząc oczy ku niebu, jakby tam właśnie, w boskim porządku, szukał potwierdzenia własnej wizji świata.

Według niej okres rozrodczy był początkiem i końcem uciążliwego nawyku dbania o siebie.

Dotyczyło to zwłaszcza czystości tych nielicznych, śmiesznych organów, których na dobrą sprawę nikt poza tym krótkim okresem nie potrzebował.

Dziadek Leona nie potrzebował ich w ogóle i wszyscy, którzy dysponowali powoniem, nie mogli faktu tego przeoczyć.

- Ja też będę taki jak dziadek!
chwalił się już w szkole podstawowej Leon.

W małym Irku ta deklaracja wywoływała mieszane uczucia, nie wyobrażał sobie bowiem, jak można wytrzymać w jednej ławce z wierną kopią starca.

Obiektywnie rzecz biorąc, na starość dziadek Leona stawał się jeszcze bardziej uciążliwy, lecz subiektywnie rzecz wiała się zgoła inaczej. Starzał się bowiem nie tylko on.

Kto wie, czy nie szybciej od niego (który stary był już w punkcie wyjścia) starzeli się też i jego krewni.

Oni też powoli dojrzewali do szlachetnej filozofii smrodu.

Kiedy dwa lata temu rodzice Leona zarobili pierwsze pieniądze, w trosce o przyszłość syna wykupili mieszkanie na czwartym piętrze i bez większych wyrzutów sumienia wyprowadzili tam dziadka.

Zatem powód, dla którego rodzina Leona zdecydowała się wynająć opiekunkę do dziadka, musiał być zupełnie inny niż jego starcze przywileje.

W tym celu Irek postanowił porozmawiać samym kumplem.

- Mam kogoś dla twojego dziadka, ale muszę wcześniej wiedzieć, co jest na rzeczy.

Leon nerwowo wykopywał piasek dużym palcem wystającym z klapka.

Takie zachowanie niewróżyłonic dobrego.

- Okay, tobie powiem.

- Wal!

- Ze starym jest coś "nie tego".

- Nietego?

- No.

- Sfiksował?

- Kompletnie.

Zapadła chwila milczenia niezbędna do zebrania myśli obu stronom dialogu.

- Znaczy się, że już zupełnie się niemyje.

- E tam!

- Leon pogardliwie machnął ręką.

Ten temat był nudny, obgadany i niegodny dalszych dywagacji.

- A więc idzie o coś innego.

- Diametralnie - potwierdził Leon, bawiąc się satysfakcją z poprawnego wypowiedzenia nowego słowa.

Irek Błady zamilkł nie ze zdziwienia, jak ufał jego rozmówca, lecz zniepokojeniu, czy dobrze zrobił, wplątując się w to pośrednictwo pracy.

Ze staruszką mogło być coś znacznie poważniejszego, niż początkowo przypuszczał.

- Więc chcesz wiedzieć czy nie, co jest mojemu dziadkowi?

- Zniecierpliwił się w końcu Leon przedłużającym się milczeniem Irka.

- Jasne.

- Alzheimer - Leon już drugi raz w ciągu kwadransa miał okazję popisać się bogactwem swego języka.

- Kto?

56

Leon zachichotał tubalnym głosem.

W jego wykonaniu dźwięk ten zawsze brzmiał niesamowicie.

- Ojciec mówi, że to taki koleś, który dziadkowi różną rzecz chowa.

- A chowa?

- Jak cholera!

- Leon ze śmiechu walił się po kolanach.

Irek Błady uległ zaraźliwemu rechotowi kumpla.

Śmiała się na tyle długo i hałaśliwie, że wracająca do domu z pracy rozwódka z trzeciego piętra popatrzyła na nich obrzydzeniem.

Nigdy nie miała o swoich męskich sąsiadach najlepszej opinii, a teraz pewnie nabrała niezbitego podejrzenia, że z piwską przerzucili się na drągi.

Kiedy uspokoiła się nieco, Irek zapytał trzeźwo:

- Ale to nie jest zaraźliwe, co?

- Zgłupiałeś?

Pierdolcem nie można zarazić się tak jak świnką.

Z tym trzeba się urodzić.

- To rodzinne?

Błady przeniósł podejrzliwy wzrok na bezpośredniego potomka dziadka.

- Znaczący.

- zawahał się Leon.

- Nie wiem.

A po chwili dodał wkurzony głośnym, piskliwym tonem: Co ja, kurza twarz, pieprzonym doktorem jestem czy co?

- Nie, jasne, że nie.

Jeszcze tego by brakowało - pomyślał w duchu Irek - żeby Leon miał leczyć ludzi.

Na wszelki wypadek postanowił udać się do mieszkaniarodziny Leona, żeby osobiście wy badać sprawę dziadka i jego przypadłość.

Irek Błady był przekonany, że załatwiając Milenie posadę dziadka Leona, wykazuje się taktem i wielkodusznością.

Zdziwił się więc bardzo, gdy dzieląc się tą optymistyczną wiadomością z siostrą, doznał dotkliwego napadu pełnego inwektyw i obelg.

- I myślisz, baranie, że pobiegnę i powiem najlepszej kumpeli, że mój niedorozwinięty brat załatwił jej robotę przy tym starym, śmierdzącym zbrojeńcu?

57.

- Eee - beknął Irek, utwierdzając Bładą w przekonaniu,
iż istotnie mado czynienia z baranem.

Uważał się za szczęśliwca, że ze względu na pokrewieństwo nigdy nie będzie mu dane
poślubić kobiety z rodu Bładych.

Były one zdecydowanie zbyt wyszczerkane, wścibskiej porywcz, żeby móc mierzyć się z
jakimkolwiek, choćby najbardziej kulawym modelem delikatnej kobiecości.

Jego stary też całe życie twierdził, że było mu podgórkeż matką, która oprócz
tego, że miała zdrowe obie nogi,
przerastała ojca tuszą niemal dwukrotnie.

Irek, jeszcze będąc dzieckiem, podejrzewał, że ojciec zwyczajnie jej się bał.
Strachem napawał go nie tylko godny Mike'a Tysona matczynej sierpowy, ale przede
wszystkim zawzięty charakter i cięty zórz.

On również na wszelki wypadek nauczył się odnosić do matki z respektem.

Odjęty dyktuzależała o niej w jednym ich życiu.

- Dziadek nie jest zboczony, tylko chory - stwierdziła matka bez dyskusyjnie.

- A wszystkie jego dziwactwa mają
drugie dno.

Tym razem nawet pyskata Błada zaniemówiła.

- Co ty, mammo?

Jakie drugie dno?

- No.

religijne!

- Brud nie może mieć podłoża religijnego.

Już mówienie

czegoś takiego głośno jest świętokradztwem.

Błada szukała wzrokiem wsparcia u ojca, lecz ten tylko bezradnie rozłożył ramiona.

Z reguły niesprzeciwiał się
żonie.

- Nie mówię o brudzie.

- Matka przez cztery lata pracowała w charakterze sądowego ławnika, czego przykrą
pozostałością był charakterystyczny prokuratorski ton jej wypowiedzi.

Tym razem zabawiała się w adwokata Leonowego dziadka.

- Staruszek podejrzewa żydowski spisek.

Irek prychnął zde gustowany.

- Daj spokój, matka.

Nie mam nic przeciwko człowiekowi, ale.

58

- Nie wtrącaj się.

Dziadek przeczytał w gazecie, że blok postawiono na żydowskiej ziemi, i szykuje się na
odparcie ataków w razie przesiedlania.

- Widzę, że w naszej rodzinie też nie brak pomyleńców - zauważyła Błada.

- No! - palec ojca zawisł w górze.

Nigdy nie pozwalał na ubliżanie nikomu z Bładych.

Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy robił to osobiście.

- Czy to czasem nie Żydzi chowają dziadkowi codziennie rano laskę i bieliznę?

- ton Irka był pełen sąsiedzkiej troski.

- Tak twierdzi.

A tyś kąd wiesz?

- No.

Pomyślałem - zażartowałem - że Alzheimer to zdecydowanie niearyjskie nazwisko.

Rozbawiona siostra przesłała mi przyjacielskiego kuksańca.

Żart ten zdecydowanie nie przypadł do gustu podejrzliwej matce, ogłaszającej, że wkrótce mogą oczekiwać wymeldowania z domu.

Była jej ulubiona groźba, stosowana niezmiennie od czasu, kiedy Irek skończył dziesięć lat i przyniósł do domu pierwszą naganę od pani z geografii.

Teraz kończył trzydziestkę i niegdyś groźba brzmiała jak obietnica upragnionej wolności.

Mieszkanie zdawało się odmatki, ojca.

Bladej i całego osiedla bliższych lub dalszych krewnych wydawało mi się doskonałym rajem.

Niestety, bardziej odległym niż piaszczyste plaże z turystycznych folderów.

Westchnął ciężko.

Jak sięgał pamięcią, ostatni Błady, który wyjechał z Łodzi, miał na imię Zenobiusz.

Wzięty przez pomyłkę za oficera, został w czasie wojny wywieziony w głąb Rosji i tam stracony.

W rzeczywistości był średniorozgarniętym młodziejem, a oficerski płaszcz, który był przyczyną jego zguby, właśnie próbował opchnąć za pół ceny na bazarze.

Zfatałnym skutkiem.

Choć wujek był jedynym Bładym, któremu udało się stąd wrócić, Irkowi zdecydowanie nie uśmiechało się pójście w ślady krewnego Zenobiusza.

59.

Przynależność do rodziny Bładych miała to do siebie, że skazywała wszystkie dzieci na podobne dzieciństwo.

Jedynie wiek wojen, rozbiorów i tym podobnych historycznych atrakcji był w stanie zmienić to czy owo w życiorysie jakiegoś młodego Bładego.

Na szczęście na jednego poległego wojownika bohatera pochodzącego z łona dzielnych krewniaczek wydawały one trzech następnych, więc nic nie wskazywało, że raz wprowadzone w ruch koło rodzinnych dziejów

cokolwiek jest w stanie zatrzymać.

Irek wspominał swoje dzieciństwo, tak jak wspomina się smak ponczu.

Było w nim dużo składników nieokreślonej ilości i jakości, doprawionych czymś mocno poprawiającym humor.

Mocny, słodkawy zapach.

Taki, jaki niesie ze sobą wiatr w ostatnie dni wakacji.

Podwórko w bójki, obowiązek kościelnych mszy w każdą niedzielę, nudy w szkole dawało się urozmaicać niewinnymi wygłupami czy kradzieżami w małych sklepikach.

Dzięki temu wraz z Leonem, odwiecznym kolegą ze szkolnej ławki, szybko zyskali opinię niepsoni i przygłupów.

Szczególnie drugą podtrzymywał Leon, świrujący na lekcjach w nadziei, że kiedyś w końcu przeniosą go do szkoły dla głupków, gdzie, jak wiadomo, nie stawia się uczniom przesadnie wygórowanych wymagań.

Oczywiście, rodzice Leona (głównie matka, ojciec miał to gdzieś) mieli jakieś minimalne poczucie osobistego honoru i zaniechali na świecie nie chcieli, by ich dziecko wylądowało w zakładzie dla opóźnionych w rozwoju.

Matka Irka odznaczała się większą tolerancją w sprawach edukacyjnych placówek dla dzieci imłodzięży, więc przy każdej nadarzającej się okazji podkreślała, że miejsce Leona jest w zakładzie specjalnym.

Najchętniej - odosobnionym.

Cóż, przywykło się przypisywać matkom wrodzoną troskę o potomków.

W przypadku Irka matka przez szereg lat starała się bezskutecznie oddzielić go od Leona.

Nim zdała sobie sprawę, że to niemożliwe, doszczętnie zszargała sobie nerwy i zepsuła mniemanie o rodzaju ludzkim.

A było

60

, to niemożliwe co najmniej dwu przyczyn.

Po pierwsze, Leon był rówieśnikiem Irka rokrocznie lądującym w tej samej co on klasie.

Podrugie, mieszkali w tym samym domu, a ich okna wychodziły na siebie i każda wolna chwila sprzyjała wzajemnej komunikacji.

Leon i Irek imali się najróżniejszych metod samopomocy w szkole.

Kiedy więc zawodziły ściąganie i wymówki, próbowali udawać wtórny analfabetyzm.

Niestety, ówczesne nauczycielki nie znały pojęcia dysleksja, które było im równie obce jak termin "współzucie".

Wszystko więc w życiu Irka przebiegało wedle odgórnie przyjętego planu, niezależnie od tego, czy miał to być plan życia dziecka według Bładych, czy też ustalony jakimś planowym partyjnym zebraniem program nauczania w zbiorczych szkołach podstawowych.

Wówczas rozumiał, że dzieci mają w życiu niewielkie pole manewru.

Wiele lat później z przerażeniem dostrzegł, że nieznacznie większe pole przypisane jest dorosłym.

Na pocieszenie świat jest tak urządzony, iż wdzieciństwie zawsze ukryta jest jakaś obietnica.

Mniejsza z tym, że zazwyczaj niespełniona.

Irek nieraz próbował dociec, co kryło się za obietnicą jego dzieciństwa, ale jak do tej pory nie udało mu się trafić w sedno.

Wszyscy znani mu z osiedla dorośli twierdzili, że skoro tak kieruje nami los, wszelka walka jest zbędna.

Podświadomość podpowiadała mu jednak, że zgoda na ten stan rzeczy jest zwykłym tchórzostwem.

Los zresztą rozdawał jego rówieśnikom najróżniejsze karty: jedni zostawali policjantami, inni złodziejami lub nocnymi mistrzami.

Najczęściej jednak przypadła im w udziale los młodocianego ojca rodziny lub bezrobotnego, krążącego jak szpiegowski satelita wokół tych ośrodków pomocy społecznej, którym jeszcze nie znudziło się rozdawać zapomogi ludziom bez szans i ambicji.

Tu i ówdzie słyszało się, że ktoś został księdzem albo "miejskim radnym", lecz po dłuższym zastanowieniu i te drogi życiowe nie pociągały Ireneusza Bładego.

Nicna świecie

nie równało się bowiem z bezstresowym życiem jakiegokolwiek, choćby najmniejszego artysty.

Irek przemyślał sprawę gruntownie i stwierdził, że na równiz show-biznesem lubi samotność, ale kobiety, wino i śpiew w jego modelu życia zawsze będą dobrze widziane.

- Fajnie byłoby zostać malarzem - zwierzył się kiedyś ojcu, gdy ten wygrzewał swoją zdrową nogę na wiosennym słońcu.

Oczywiście Błademu seniorowi przez myśl by nie przeszło, że syn marzy o karierze artystycznej, a nie o dorabianiu pigmentu do malowania tynków.

Uważał zresztą osobiście, że zawód glazurnika lub hydraulika jest niebo bardziej intratny.

Malarstwo pokojowe było na samym dnie zawodowej studni tak zwanych porządných fachów. Malarstwo artystyczne zaś znajdowało się, w jego mniemaniu,

o całą przepaść niżej.

Ostatecznie o zawieszeniu ambicji stania się drugim van Goghem zdecydował brak talentu plastycznego, obwołany jednoznacznym werdyktem przez Bładę, matkę, ojca i półślepą sąsiadkę z parteru.

Z opinią takiego składu sędziowskiego nie sposób było się nie zgodzić.

Irek zrozumiał, że jego przeznaczenie kryło się gdzieś indziej.

Pewnie bardzo, bardzo głęboko, skoro do tej pory nie otarł się nawet o ślad własnego (choć naturalnie nie odkrytego) geniuszu.

Na przeczekanie trudnych lat niepewności Irek wpadł na pomysł, że może warto by zarobić trochę grosza.

Biznes, jak do tej pory, nie był drogą, w której upatrywał rozbłysku swego talentu.

Dopiero na tydzień przez trzydziestką zdał sobie sprawę, że mógł się zasadniczo mylić.

Życie zamożnego biznesmena mogło być całkiem przyjemne, a on, Ireneusz Błady, jak nikt potrafiłby szykownie wydawać pieniądze.

Kiedy dni podobne jeden do drugiego spadały jak liście w październikowym parku miejskim, wyobrażał sobie, że jest jednym z obrzydliwie bogatych Buddenbrooków, które

rym pomnażanie fortuny przychodziło łatwiej niż oddychanie.

Ogródek piwny Leśnika dla odmiany kojarzył mu się ze znanym z Czarodziejskiej góry tarasem, na którym pensjonariusze alpejskiego sanatorium symulowali

namiastkę prawdziwego życia, toczącego się tak naprawdę zupełnie gdzie indziej.

Tego nieobcemu Tomaszowi Mannowi wrażenia Irek nie potrafił się pozbyć przez większość swego życia.

- Taak.

- mruknął do siebie - zmarnowałem już wystarczająco dużo lat.

Ta myśl od pewnego czasu uwierała go znacznie bardziej niż którykolwiek z jego krewnych lub znajomych mógł przypuszczać.

Ludziom żyjącym w papierowym ekosystemie literatury łatwiej było mieć pieniądze lub ich nie mieć, zmienić losy świata lub bezkarnie nurkować otchłani własnej pamięci, by wyciągać z niej na światło dzienne same króle, asy i jokery.

On do tej pory wylądował jedynie płotki, stare kapcie i odpadki po innych.

Dziesięć lat temu nikomu by nie uwierzył, że życie zaczyna się po trzydziestce, wietrząc w tym stwierdzeniu kłamliwy smrodek samozadowolenia tych, którzy są zbyt starzy, żeby tak naprawdę dokonać w życiu czegoś istotnego.

Teraz był gotów zmienić zdanie.

A Irek zdanie zmieniał nieczęsto.

Mieszając się z tłumem klientów zmierzających donajdroższej handlowej galerii w mieście, Irek Błady ominął stojących przy szklanych drzwiach znudzonych ochroniarzy. torbie stukałemu trzy.

nowe, najbardziej chodliwe modele telefonów firmy Nokia.

Oby to był spokojny dzień!

- zamarzyłcicho.

Wjechał ruchomymi schodami na drugie piętro i ruszył

63.

wprost ku drzwiom butiku z zawrotnie drogą konfekcją męską.
Irek niezaszczycił ubrań najmniejszym spojrzeniem, z miejsca kierując się ku sprzedawcy.
Siedzący przy kasie młody chłopak miał na sobie firmowy garnitur oraz znudzoną minę kogoś, kto nie narzeka na nadmiar pracy.

Irek nie dał się zwieść gogusiowatej powierzchowności młodzika.
Nie od dziś się znali i wiedział, że Lala częściej od garniturów sprzedaje swoim bogatym klientom kradzione zegarki i "nadzwyczaj okazjnie" najnowsze modele telefonów.

Blady był jego najlepszym dostawcą towaru, bo dość regularnie otrzymywał nowe telefony od pewnego dzieciaka, pracującego przy transporcie sprzętu dla jednej z firm telefonii komórkowej.
Nigdy nikomu nie ujawniał ani nazwy firmy, ani nazwiska dzieciaka, dzięki czemu mógł jeszcze zarobić na tym całym interesie parę niezłych groszy.

Kilakrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat próbował wycofać się z tego biznesu, ale szybko zorientował się, że najego miejsce przychodzi raz do dwóch następnych, bardziej chciwych i bezwzględnych paserów, więc osobiste zabezpieczanie interesów dzieciaka uważał w tej sytuacji za

względnie moralne.

Tym razem jednak miała to być ostatnia akcja pośrednictwa między młodzieciem a wystrojonym sprzedawcą - Lalą.

Ostatnia akcja Irka w ogóle.

Od dziś miał nastąpić czas

uczciwości.

- Co masz?

- zapytał podniecony Lala.

Irek rozchylił torbę.

Towar musiał mu się spodobać, bo błyskawicznie znalazł się przy drzwiach, by wywiesić na nich złotą plakietkę:

Chwilowo przepraszamy.

Trwa dostawa towaru.

Było mało prawdopodobne, by ktoś ze stałych klientów miał zajrzeć do ekskluzywnego sklepu o tej porze dnia, ale sposób Lala dał dowód swojej uczciwości.

Istotnie przyjmował towar.

Tyle że trefny.

64

- Zapłacę ci później - obiecał, wsuwając telefony doszuflady.

Irek powstrzymał go zarękę.

- Nic z tego.

Forsa potrzebnymi jest od zaraz.

W istocie nie ufał sprzedawcy, tak jak nie ufał żadnym kurierów.

Lala wysupłał kasy trzy stówy.

- Tylko tyle?

Na taki sklep?

- zdziwił się Irek, zaglądając do wnętrza kasy.

- Latem garnitury słabo schodzą.

- Aha.

Skinął ze zrozumieniem, ale nie wyciągnął ręki po pień niądze.

- Zależy mi na tym modelu.

Mógłbym wziąć od ciebie tylko dwa?

Irek zaprzeczył.

Ryzykowanie straty niedzieli na giełdzie dla jednego niesprzedanego telefonu nie wchodził w grę.

- Nie ma mowy, po urodzinach z pewnością będę konał; na imprezowego kaca.

- Okay, rozumiem - Lala zmiękł.

- Mam inną propozycję.

W tych transakcjach obaj byli pośrednikami i obaj próbowali wynegocjować jak najlepsze dla siebie warunki.

- Słucham.

- Bierzesz te trzy stówki i.

- zawiesił głos - i coś ekstra.

Skinięciem dłoni dał znak, by udali się na zaplecze, (rekrozejrzał się z ciekawością po ciasnym wnętrzu, w którym oprócz rozłożonej deski do prasowania i paru pudeł wisiał kilka garniturów i swetrów.

- To jest moja propozycja.

Lalawskazał naścianę.

- Niby co?

- Najnowsza kolekcja.

Przyszły o dwa za dużo.

Jeden spaliłem na swój rachunek - wyznał szczerze - ale dwóch PO prostu nie dam rady.

- Po co mi, do cholery, taki strój?

Nikt ode mnie tego nie

65.

odkupi, a sam się do ślubu nie wybieram.

- Ireknonszalancko odepchnął wieszak.

Lala rozważał, czy nie dać odczuć Irkowi swojej pogardy, ale szybko wycofał się z tego pomysłu.

Blady nie był człowiekiem, któremuchciałby wejść w drogę.

- Przymierz - poprosił uprzejmym tonem profesjonalnego sprzedawcy.

- To oryginalny Kenzo.

Nigdzie nie dostaniesz lepszego garnituru.

Mogę ci dorzucić jeszcze jakąś nowoczesną koszulę.

Irek zawahał się, ale posłusznie ściągnął koszulkę.

Lala dał znak, żeby zrzucił również spodnie.

Irek zrobił, co mu

kazano.

Kwadrans później, wtłoczony w nowiuteńką marynarkę, spodnie i koszulę, przemierzał galerię krokiem faceta, którego BMW stoi właśnie zaparkowane na najwyższym poziomie sklepowego parkingu.

Czuł się, jakby grał w filmie o życiu kogoś innego.

Spoglądał dumana swe lśniące włoskie buty, które Lala polecił mu przymierzyć do stroju zamiast Adidasów, a jemu spodobały się tak bardzo, że postanowił ich więcej nie ściągać.

Sprzedawca miał u niego kilka niespłaconych długów, a ostatnia akcja wydała się

Irkowi najlepszą okazją do ostatecznego wyrównania rachunków.

Wziął stertę niepotrzebnych mu ciuchów, ale od tego dnia raz na zawsze byli kwita.

W takich sklepach jak ten Irek zazwyczaj czuł się intruzem.

Sklepowe kamery kierowały na niego swój obiektyw, a czujne ekspedientki sunęły za nim jak cień, choć czasy, kiedy wyciągnąłby po coś rękę w sklepie, należały do zamierzonej przeszłości.

Kradzieże pozostawiał żądnym przygód szczeniakom bez wyobraźni i ambicji na wyrwanie się z przepaści własnego bezbarwnego dzieciństwa.

Dziś, w tym wytwornym przebraniu, mógł wejść do dowolnego sklepu na świecie.

Czuł się wystrojony i niebezpieczny niczym Mannowski cavaliere Cipolla.

Irek uśmiechnął się.

nał się.

Odkiedy dorósł, uwielbiał Maria i czarodzieja, a w nim najbardziej scenę, w której prestidigitator jednym słowem: balia!

zmusza do tańca małego kelnera z Esquisto.

Teraz on grał rolę obutego we włoskie buty cavaliere, czarodzieja mającego władzę nad miastem.

Czuł, że takiego dnia zdarzy się coś niezwykłego.

Przeznaczenie zwykło dopadać nas w najmniej oczekiwanych chwilach, więc przecucie Irka Błatego, które towarzyszyło mu od samego rana, mogło okazać się zwykłą pomyłką, nic nie znaczącą igraszką losu.

I byłoby tak zapewne, gdyby przywdziane w przezroczystą bluzkę fatum, broniąc się przed upadkiem na marmurową posadzkę, nieszarpnęło gwałtownie poły jego marynarki.

Najgorsze byłoby to, że miał wątpliwości, iż delikwentka zrobiła to najzupełniej specjalnie.

- Co jest, do kur.

- Już miał dosadnie zbesztaną w półgołą babę, gdy zaniemówił z wrażenia.

Najgłębiej wisiała Eleonora Kalista, żona najpotężniejszego rybnego magnata.

W całym mieście nie było człowieka, któremu imię i nazwisko byłoby obce.

Najbogatsza i najbardziej jędzowatadupa w tej części Europy.

Zdobył się na niemrawy uśmiech.

- Nic się pani nie stało?

- Na szczęście pańskich adwokatów, nie.

- roześmiała się, jakby powiedziała pierwszorzędnny dowcip.

Irek, choć odpowiedział grzecznościowym uśmiechem, musiał zastanowić się dobrą chwilę, nim dotarł doń senszartu madame Kalisty.

Od adwokatów całe swoje życie starał się trzymać jak najdalej i dumny był, iż do trzydziestki świetnie mu się to udawało.

Zdziwił się, że ludzie ze sfery Eleonory najwidoczniej w tym względzie mieli całkiem inne doświadczenia.

' Balia (wł.

)-tańcz.

67.

Oczywiście nie usłyszał ani słowa przepraszam, ani nicz tych rzeczy.

Bogacze nigdy nie przepraszają.

Tę naukę Irek dawno już zdążył przyswoić.

W międzyczasie dyskretnie, acz przytomnie upewnił się, że marynarka okazała się warta swojej ceny i jej plecy, o dziwo, nadal były na swoim miejscu.

Tym razem uśmiechną się bardziej szczerze.

Cerowany Kenzo byłby zapewne wart

sporo mniej.

Eleonora zdążyła zrobić to samo.

Obejrzała Irka od stóp do głów, bacznie szacując cenę i wiek jego ubrań.

Przegląd wypadłby za zadowolająco, bo wyszczerzyła do niego całą garnitur świeżo wybielonych, nienaturalnie połyskliwych

zębów.

- My, kobiety, czasami lubimy nieoczekiwanie wypróbować ramię prawdziwego mężczyzny - odezwała się głosem, który kojarzył się z pomrukiem wiecznej głodnej pantery.

- Na-naturalnie - zająknął się jak uczeń.

Irek nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby natknął się na Eleonorę pół godziny temu, w innym stroju i w innych butach, nie byłoby szans, żeby dostrzegła w nim "prawdziwego mężczyznę".

Ten faktem podbudowywał

zbyt jego samczego ego.

Rozejrzał się dyskretnie, czy nikt na nich nie patrzy.

Niestety, Eleonora zbyt dużo pracowała w to, by trudno było przejść obok niej obojętnie, i wszystko wskazywało na to, że doskonale jej się to udało.

Bizuteria, którą miała na sobie, nie należała do gatunku skromnych, a już całą pewnością dyskretnych.

Zarówno w ozdobach, jak w strojach pani Kalista wyznawała zasadę, iż jeśli coś nadaje się do pokazania, trzeba to bezwzględnie wyeksponować.

Szczególną wagę przywiązywała do pełnej "ekspozycji" własnego ciała, co w każdej innej sytuacji absolutnie by Irkowi nie przeszkadzało, ale teraz, stojąc z niemal nagą milionerką pośrodku handlowego pasażu, czuł się jak obwieszona cukierkami bożonarodzeniowa choinka wystawiona na pastwę wygłodniałych dzieciaków.

68

Instynktownie obawiał się dłużej rozmawiać z żoną Kalisty, typka równie bezwzględnego i równie podstępnej jak ona sama.

- Jeśli dobrze się pani czuje, ja już pójdę.

Irek starał się mówić swobodnie i nie patrzeć na opaloną i heban skórę milionerki. Było to o tyle trudne, że miała ją niemal do pępka zupełnie odkrytą.

Ciemna z natury karnacja Irka po lecie spędzonym na pracy w bibliotece w porównaniu z skórą pani Kalisty przypominała kolorem zszarzały pergamin.

- Chyba wcześniej pomoże mi pan, naturalnie, zanieść zakupy do auta?

Eleonora wypowiedziała pytanie, intonując tak, że prośba zabrzmiała jak zwykłe stwierdzenie.

Skinął, a ona znów wydeła czerwone jak krew, idealnie obrysowane, połyskliwe usta. Gdyby nie zbyt swobodny strój, ta kobieta spokojnie mogła być od ręki obsadzana w roli dziewiętnastowiecznych wampirów.

- E. L.

E. O.

N. O.

R. A.

- Irek z niedowierzaniem przeliterował imię kobiety, o której mówili wszyscy chłopcy w mieście.

Teraz stał naprzeciwko niej i dzięki magicznemu strojowiczarodzieja Cipolli rozmawiał z Eleonorą jak równy z równym.

To było nie tylko zabawne, ale zbyt nieprawdopodobne, żeby można było komukolwiek opowiedzieć.

Nie miał najmniejszych złudzeń, że któryś z jego kumpli dałby wiarę wydarzeniom dzisiejszego przedpołudnia.

Gdyby udało mu się jeszcze wylądować z nią w łóżku, zostałby obwołany niekwestionowanym królem rżnięcia całej ulicy.

Karta, na którą dziesięć lat temu postawiłby cały swój męski honor, dziś nie była warta machnięcia ogonem.

I tonię się nazywać dojrzałość?

zdziwił się w duchu nieco rozczarowany.

Pomyślał, że stosowniej byłoby, aby uczucie ulgi, które dośroć wyraźnie poczuł, ustąpiło przygnębieniu.

Kalista była

69.

jak nieprawdziwa lalka tańcząca w porno-teatryku, a on, patrząc na nią nie odczuwał ani śladu podniecenia.

Chyba czuł się owiele mniej zakłopotany brakiem czystobiologicznejgotowości, niż mógł pierwotnie przypuszczać.

Z drugiej strony, bardziej niż przed laty sceptyczne, zakutełby jego kumpli z bałuckich podwóreknie przyjmowały dowiadomości, że czasami ich najskrytsze, najabsurdalniejszemarzenia mogą się spełnić.

Niestety, gdyby na dowód swoich poczynańmiał zdjęcia, nagraniai badania lekarskie,a choćby nawet udało mu się przyciągnąć przedswój blokEleonorę we własnej osobie, nikt nie uwierzyłby w jego romans z legendarną zdzirą z wyższych sfer.

Podniósł zziemi cztery lekkie, szerokie papierowe torbyi korzystając z obniżonej pozycji, przyjrzał sięmadame Kaliście dokładniej.

To, co zobaczył, przeszłoby nawet najodważniejsze fantazje Pępka.

- Jasnacholera - zdusił słowa głośnym chrząknięciem.

Eleonora w miejscu, gdzie wszystkie znane mu kobietynosiły majtki, miała przyklejoną złotą rybkę.

Irkowi zakręciło się w głowie tak mocno, że musiał solidnie się podeprzeć, by nie upaść z hukiem dostóp bogini zgorszenia.

Widział w swoim trzydziestoletnimżyciu niejedną cipkę, alenigdy na korytarzugalerii handlowej inigdy tak oryginalnie przyozdobioną.

Wszystko,co do tej pory wyobrażał sobie na temat polotu bogatych kobiet, legło w gruzach zapomnienia.

Irek był pełnienieskrywanego podziwu, którego nawszelki wypadek wołał przed cudząoną oficjalnie nie demonstrować.

Nie ulegało wątpliwości, że pani Kalista nie ubrała sięw ten sposób przypadkowo, tak jak i to, że nie on był adresatem rybiej przebie ranki.

Mimo wszystko pierwszą rzeczą, o której pomyślał w obliczu gratki, jaka przypadkowo stanęłamu przed oczyma,była mina Leona w chwili, gdy opowie muwszystko wieczorem.

Miał ogromnąochotę zerknąć jeszcze raz, czy to,

70

co widział, było napewno tym, o czym będzie opowiadałkumplom od dziś przez całe swoje długiei nudne życie, alereszką woli powstrzymał się.

Najwidoczniej starzeję się - pomyślał z żalem Irek.

Z jurnego ogiera przekształcam się werotomana gawędziarza.

Eleonora Kalista, niesłyszająca wewnętrznego monologuIrka, miała najwidoczniej na ten temat całkiem odmiennezdanie.

Na dowód tego kokieteryjniepodrapała swego rozmówcę w klapę marynarki.

Czerwonyjak wóz ogniwypaznokieć wywoływałskojarzeniez zaostrzoną przedpotopową dzidą.

Irek zdał sobie sprawę, że kobieta budzi więcej emocjiniż lot w kosmos rosyjskimwahadłowcem.

Była archetypem wyuzdanejsamicy, o jakiej marzyła cała dorastającameśka młodzież tego kraju.

Fascynująca Eleonora, niczym ogromny, zamkniętyw szklanym słoiku piękny,choć jadowity pajak, skupiała nasobie wzrok biedaków i bogaczy, młodzików i trzęsącychsię starców.

Sama jednak wybierała swojeofiary starannie.

Zawsze podług tego samego klucza wieku i zamożności, starannie unikając pułapek, na jakie skazywałyoby ją uczuciowe zaangażowanie się w któryś z osławionych (choć nigdy nie udowodnionych) romansów.

Irek Blady szybko wciągnął brzuch i poprawił dłonią przeczadzone włosy.

Ubrany jak James Bond, w towarzystwie Eleonory wszedł na moment do bajki o pięknych bogatych.

Wydawał się sobie supermaszyną, samcem prawie doskonałym, biologicznym ekstraproduktem godnym masowego klonowania.

Był najprawdziwszym, najpełniejszym substytutem tego niewiarygodnego szczęścia, któremu naimię Bogactwo.

Archaiczny pan Cipolla w żadnym względzie nie mógł być od niego lepszy.

Eleonora szła w stronę garaży półkroku przed nim.

Naniebotycznie wysokich obcasach ekwilibrystycznie kołysała się na boki jak włoska gwiazda filmowa z lat pięćdziesiątych.

siątych.

Przypominała mu te wszystkie boskie Giny, Tinyi Sophie, które jako nastolatek oglądał w starych zachodnich telewizyjnych filmach.

W porównaniu z dziewczynami z okładki jej uroda była przerysowana i niewspółczesna.

Paradoksalnie to stanowiło jej niekwestionowaną siłę.

Wąska talia doskonale uwydatniała szerokie biodra i wypukły biust, ostre jak szpilki obcasy nadawały całej sylwetce elegancję.

Irek nie mógł nie zauważyć, że Eleonora mimo skończonej czterdziestki wciąż robiła spore wrażenie.

Wszystko, każdy jej ruch i gest zdawał się wystudiowany i świadomie zaplanowany.

Ona zaś była zupełnie zadowolona, że tak bardzo odcina się od przeciętnych, zwykłych ludzi. Była jak postać z kreskówki, której naturalność wyczuwają niebawili.

Myśląc o kroczącej przed nim bogaczce, Irek zachodził w głowę, czy podobne do niej, oderwane od ziemi stworzenie mogłoby kiedykolwiek czuć się nieszczęśliwe.

A jeśli nawet pozwalała sobie na chwile słabości, to czy była w nich podobna choć trochę do znanych mu ludzi: Bladej, matki czy ojca?

Szczerze wątpił, a samą myśl o podobieństwie nieskazitelnej Królowej Lodu do dumnego, acz cieleśnie ułomnego Bladego wydała mu się bardzo zabawna.

Eleonora zatrzymała się na chwilę, poczekała, aż Irek odłoży torby, pozwoliła otworzyć sobie drzwi i przepuścić się przodem.

Bez pardonu zaparkowany na miejscu dla inwalidów biały jaguar z daleka wskazywał docelowo punktich wędrowni, a jednocześnie kres spotkania z piękną panią Kalistą.

Chwilę później zobaczyli coś jeszcze.

Najpierw Irek, a potem kobieta.

Tuż za jaguarem stał srebrny terenowy wóz.

Wprawne oko Irka dostrzegło, iż był on tańszy od auta królowej wszystkich plotkarzy, ale wystarczająco drogi, by móc należeć do kogoś ze świty jej znajomych.

72

Na Eleonorze, która zapewne mniej od Irka pasjonowała się zdobycami motoryzacji, widok wozu zrobił wcale nie

mniejsze wrażenie.

- Pożegnaj pana w tym miejscu - odprawił go pospiesznie, bezceremonialnie wyrzuwając ostatnią torbę z jego dłoni.

Jej zachowanie nieco go rozczarowało, lecz bardziej zaskoczyła go nuta zaniepokojenia dobrze słyszalna w jej stanowczym głosie.

- Do widzenia!

- wycodziła przez zęby, gdy próbowała oponować.

Oczywiście, nie podziękowała za pomoc ani nie dodała słowa wyjaśnienia na temat swego dziwnego zachowania.

Patrzyła chłodno, jak wyniosły władca, gdy dobiegał końca czas nudnej audiencji.

Irek błady liczył na znacznie więcej.

Strój prestidigitatora dawał nadzieję na uścisk dłoni, dłuższą rozmowę, a nawet przelotny romans.

Tu jednak, na progu garaży, bajka się urywała.

Czując niedosyt wrażeń, grzecznie się pożegnał, lecz zaintrygowany dziwnym zachowaniem bogaczki, animyślał tracić jej z oczu.

Intuicja podpowiadała mu, że rozdział pod tytułem Eleonora Kalistą jeszcze się nie zamknął.

Czując się jak antropolog badający odległą, acz intrygującą kulturę, zmylił ślad, ruszając swobodnym krokiem w stronę automatycznych drzwi.

Doszedł do wielkiego walcowatego filara i zamiast skręcić ku wyjściu i opuścić garaż. Jednym sprawnym skokiem wsunął się za kolosalny betonowy słup. Ostrożnie sprawdził, co widzi ze swojego punktu obserwacyjnego.

Było tak, jak myślał: Eleonora śledziła czujnym wzrokiem każdy jego krok. Teraz, najwidoczniej spokojona, że towarzyszący jej w sklepie mężczyzna nie obejrzał się ani razu, tylko pośpiesznie opuścił garaż, szybko skierowała się ku srebrnej terenówce. Drzwi auta otworzyły się na oścież i z samochodu wysiadł młody mężczyzna z falistymi włosami do ramion.

Mógł być jej synem, ale nie był.

73.

" Ale numer!

- zagwizdał cicho Irek.

Kompletnie oniemiał z wrażenia, i to wcale nie z powodu spotkania niewiernej mężatki z urodziwym młodzieńcem.

Powód był trzykrotnie bardziej frapujący: facet miał na sobiedokładnie taki sam garnitur jak on.

Piękny, nowiutki iniepowtarzalny strój autorstwa niejakiego Kenzo był w tym momencie najpowszechniejszym wdziankiem na terenie pewnego garażu w biednej robotniczej Łodzi.

Patrząc raz na eleganta, raz na siebie, z niedowierzaniem przetarł oczy.

Irek Błady miał w sobie zbyt dużo mądrości prostych ludzi, a za małą wielkość światowego snobizmu, żeby przejmować się takim drobiazgiem.

Jednak życie jest tak urządzone, że to, co mogło stanowić nobilitację dla prostego chłopaka z Batutu, dla dbającego o swą powierzchowność przyjaciela pani Kalisty byłoby prawdziwie bolesnym ciosem.

Przez moment przemknęło nawet Irkowi przez myśl, że Eleonora odprawiła go nie z powodu jej samego, lecz jedynie z powodu garnituru, wspaniałomyślnie chcąc uniknąć krępującej dla obu dżentelmenów sytuacji.

Rozsądnie odrzucił jednak tę koncepcję jako zupełnie nierealną.

Pani Kalista bowiem rzadko bawiła się niuansami.

Istotnie, kiedy tylko Eleonora upewniła się, że nikt ich nie widzi, błyskawicznie ucieła wszelkie wątpliwości Irkaco do charakteru spotkania z nieznanym.

Ze sprawnością, o jaką nigdy nie podejrzewałyby ekscentrycznej żony wielkiego przetwórcy ryb, pociągnęła mężczyznę za krawat (grający chwilowo rolę smyczy) wprost do swoich ust. Ten, najwidoczniej przyzwyczajony do podporządkowywania się każdemu żądaniu swojej kochanki, nie protestował.

- Melodramat - Irek skrzywił się, zły i zazdrosny, że kobieta obdarzona takim temperamentem nie poznała się na nim.

Na własnej ulicy Irek swojego czasu uchodził za donżuana, lecz wątpił, by wieści te mogły przeniknąć do getta bogaczyna drugiego krańca miasta.

74

Po chwili dość krępującej obserwacji kochanków zauważył w zachowaniu Eleonory pasję przekraczającą ramy zwykłego pożądania.

Gdyby był, nawzór prestidigitatora, gładkosłowym bohaterem wyciętym z

książki Tomasza Manna, powiedziałyby, że "w ucieczce przed czasem, konwenansami i obyczajowością zanurzali się w niebezpieczną miłość w tym jedynym wolnym od ludzkich spojrzeń miejscu w całym mieście".

A przynajmniej takiemu wrażeniu chciał ulec.

Obiecał sobie poczekać tylko króciutką chwilę, żeby poobserwować, w którą stronę rozkręci się akcja tego filmu.

- No, no.

- mruknął z uznaniem, gdy mężczyzna z terenowego auta, ponaglany przez nerwową dłoń Eleonory, zaczął wsuwać ręce pod jej przezroczystą bluzkę.

Ona sama nie pozostawała mu dłużna.

Z wprawą wskazującą nawieloletnią praktykę uporała się z paskiem i suwakiem spodni. Wystarczył jeszcze jeden ruch, a ręka Eleonory miała w posiadaniu klejnoty młodzieńca odzianego w Kenzo.

Mężczyzna jęknął głucho, a Irek w ślad za nim.

Niestety, z zupełnie innego powodu.

Okrutna świadomość, że nikt nie uwierzy mu w to, co naprawdę oczy widzi, ciążyła mu jak grobowy głaz na piersi Mariana Fortuny.

- Pomyśl tylko.

Blady, że bez trudu mogłeś być na jego miejscu!

- pacnął się dłońmi czoło.

Irek Blady, który w sprawach ars amandi nie należał do początkujących, zapłonął ze złości i złości.

Z żalem myślał, że Kaśka ze sklepu pasmanteryjnego nigdy nie będzie dorastała do tej dwukrotnie starszej kobiecie.

Rozmyślając poważnie nad zasadami własnego życia, rozważając, czy woli być bogaty jak Eleonora, czy raczej jej wzór rozwiązy, niemalnie przeoczyłby czegoś, co uszło uwagi kochanków.

Kilka minut temu na horyzoncie uśmiechniętego odgłosem wentylatorów garażu bezgłośnie posuwała ku nim czarna limuzyna.

Wpatrując godnego.

jej miejsca, przejeżdżała powoli wzdłuż pustawych rzędów gdzie zaparkowanych aut.

- O, jasny gwint!

- Irek aż podskoczył w miejscu, stukając się boleśnie w kolano.

Biała tabliczka "Eleonora" zamiast rejestracyjnych numerów była wystarczającą podstawą, by domyślić się, że wóznależał do samego pana Kalisty.

Kiedy to dostrzegł, samochód przejeżdżał właśnie koło baraszkujących w najlepsze kochanków.

Taki pech, jak powiedziałaaby jego przesiąknięta ludową mądrością matka, mógł być wyłącznie karą za grzech rozpusty.

Pani Błada pewnie pozwoliłaby dokonać się przeznaczeniu.

Ale nie jej syn.

Wyszkolony za młodu w solidarność z wszystkimi prześladowanymi, nabrał w płuc powietrza

i gwizdnął ostrzegawczo.

Irek nauczył się tego od ojca.

Błady senior bowiem zawsze chętnie zabierał gona różnego rodzaju protesty, strajki i manifestacje, na których pewne było, że zjawią się zarówno policjanci, jak i telewizyjne kamery.

Jako inwalida, z błyskiem szaleństwa w oku wywijał na czele pochodu kulą tak zapamiętałe, że pokazywały go wszystkie stacje w kraju i zagranicą.

Bardzo lubił oglądać siebie w telewizji, a protesty były jedynym znanym sposobem na spektakularną obecność inwalidy w mediach.

Gdyby był wybitnym malarzem, nakładającym farby przy pomocy ust,

albo krótkim doświadczalnym medycznych eksperymentów, znalazłby się może program, w którym pokazywano by go ku przestrodze.

Niestety, te warianty odpadały.

Ojciec sam w sobienie był wybitny, a jedyną cechą szczególną wyróżniającą go z tłumu szaraków był właśnie brak nogi.

(Oczywiście miał również idące za nazwiskiem dziedzictwo, ale ono liczyło się tylko w rewirze kilku osiedlowych ulic).

Błady z premedytacją niezawracał sobie głowy technicznymi szczegółami swoich medialnych przedstawień.

Niewnikał w wielkość sprawy (bota z zasady musiała być szła 76

; chętna) ani nie dbał o to, że byłby łatwym celem dla podjudzonych milicjantów.

Był romantycznym wojownikiem we własnym, robotniczym stylu, więc żadna ofiara nie mogła być mu straszna.

Czasami za odwagę trafiał mu się bonus eks tra: tłumunosił go narękach niczym szlachetnego straceńca walczącego za wolność narodu, rolników, górników lub; (w zależności od potrzeby) szpitalnych pielęgniarek.

Innym;

razem wychodził na głupka, jak wówczas, gdy nieopatrznie zgodził się wziąć udział w głodówce w jednej ze szkół.

Na musujących witaminach w proszku wytrzymał zaledwie niecałe osiem godzin.

I to z trudem.

Najgorsze zaś było to, że jedynym dziennikarzem, który raczył odwiedzić protestującą placówkę, był młody reporter z gazety kochający się w płomiennowłosej pani od plastyki.

Zdjęcia robił więc wyłącznie swojej ukochanej, nie obdarzając głodującego inwalidy przelotnym nawet spojrzeniem.

Po tym upokarzającym zawodzie Blady senior zaprzestał przyjmowania zaproszeń.

Przestał trzymać rękę na pulsie strajkowej mapy kraju, pozwalając młodszym i bardziej zdeterminowanym iść w pierwszych szeregach wyzwolenческих marszów.

W garażu akcja rozgrywała się szybko jak na trzecioma jowej demonstracji z szkolnych lat Irka.

Zasadniczą różnicą między tymi dwoma wydarzeniami był zauważalny brak ojca, swoim zwyczajem rozpychającego się wózkami Wznoszącego niepoprawne politycznie okrzyki.

Eleonora i jej ukochany, niczym zaprawieni w boju manifestanci, usłyszeli ostrzegawczy gwizd Irka i bez trudu dostrzegli źródło swego zagrożenia.

Czarny samochód z poddańczo wypisanym na tablicach imieniem zdradzieckiej żony też dostrzegł coś, bo przejechał zakręt, zahamował niezbyt gwałtownie i powoli, a następnie bardzo szybko toczył się z powrotem na wstecznym biegu.

Ze stateczną powściągliwością limuzyny kontrastowało śmiertelne przerażenie spanikowanego kochanka Eleonory.

Gdy Irek Błady ujrzał, jak ten ostatni, beczeszcząc wartkilka tysięcy złotych garnitur, wczoułguje się pod jakiś brudny samochód, poczuł szczerzy przyptyw męskiej solidarności.

- Litośćzawszebyła moją słabą stroną - westchnął refleksyjnie i wysunąwszy sięzza kolumny, powoli,zgiętyw kucki,zaczął przesuwać się w stronę samochodu, podktórym leżał przyłapany in flagranti facet.

Tymczasem dziesięćmetrów dalej pan Kalista, nie czekając, aż szofer otworzy mu drzwi, dziarsko wydostał się z samochodu.

-Ty! Tyyy.

- zawył jak zarzynany zwierz,z trudemwstrzymując potok siarczystych obelg.

-Znowu się z nimsotkałaś?

Ty pospolitadziwko!

Irek zagwizdał cichutko.

Nietakich manier spodziewała się właścicielu połowy Łodzi.

Nawet jego mało wysublimowany ojciec, rozsądnie zważając na fizyczną przewagęmatki, w chwilach wzburzenia przemawiał do niej bardziej dyplomatycznie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Głos Eleonorybył zimny i ostryjak lodowa kra sunącaWisłą w zimę stulecia.

Jużtą postawą, zdaniem Irka, zasłużyła sobie na szczerozłotegoOscara.

Sam, słuchając wszystkiego uważnie, przybliżał się właśnie do leżącego w arcyniewygodnej pozycji przestraszonego kochanka.

Przytknął wskazujący palec do ust.

- Ciii.

Najlepszy przyjaciel Eleonory dał znak, że rozumie, choćnie miał zielonego pojęcia, skądpojawił się tu dziwny nieznajomy.

Zastygłego w przykucu Irka boleśnie strzykało w krzyżu.

Pocieszała się, że żaden z kochających się w boskiej Kaliście mężczyzn, w tej tragicznej chwili nie czułby siękomfortowo.

- To jego samochód?

- palec męża trafnie wskazywałsrebrne cacko.

78

Eleonoramilczała, lecz nawet w jej milczeniu kryła sięobca zwykłym ludziom pewność siebie.

- Nie miej mnie za głupca.

Widziałemgo - głos jej mężabrzmiął jak oskarżycielski dzwon, bijący skazańcowi prowadzonemu na szafot.

- Ten fircykowaty,za ciasny japońskigarnitur, który rzekomo kupiłaśdla mnie.

(Błady zdziwił się, że człowiek o obyciu Kalisty może tak zjadliwie drwićz wytwornej męskiejkonfekcji.

) ...

oddałaśjemu!

Temu żalosnemu reżyserowi teledysków i reklam zupy wproszku!

Czy ten Marcello, twój artysta brzydzący się naszymi rybami, wie, za czyjepieniądze się zabawia?

PanKalista wybuchnął teatralnym śmiechem, w którympróżno było szukaćśladu rozbawienia.

Irkowi wydawało się, że przełączył kanał zpasjonującego filmu dla dorosłych na popołudniowy sitcom.

Jego matka byłaby zapewne zachwycona zarówno jego treścią jak i kiczowatą oprawą, lecz Irek Błady z dwóch dostępnych programów zdecydowanie wolał ten pierwszy.

Mimo iż całe życie w sposób niezrozumiały dla otoczenia upierał się, że nad wszystkie filmy świata preferuje książki, w jednej rzeczy upatrywał wyższość kinematografii. Już na pierwszy rzut oka widać było, że w materii scen miłosnych filmowcy mają większe doświadczenie.

I jako prawdziwy mężczyzna, odbierający świat oczami, bez wahania odrzucał ambitne teorie, natomiast nigdy nie odrzucał zaproszeń Leona do obejrzenia w domowym zaciszu co pikantniejszych filmików.

Jeszcze raz zerknął na rozplaszczoną na ziemi twarz utrzymywanego przez namiętą Eleonorę kochankę reżysera, sprawdzając, czy nie kojarzy jej aby z którymś z znanych filmów.

Ale była mu ona zupełnie obca.

- Ależ.

- Eleonora próbowała tymczasem coś tu zrobić, ale Kalista przerwał jej ruchem dłoni.

- Ludzie o wszystkim mi doniosą, bądź tego pewna.

Oczywiście boska kochanka nie miała czasu oglądać sitcomów i najwidoczniej nie znała tej dość powszechnej prawdy.

dy życiowej, bo wyglądała na szczerze zaskoczona słowami
małżonka.

Nerwowo zagryzła wargę.

Sprawy zaczęły przybierać dla

niej zły obrót.

Jakby tego było mało, pan Kalista (będący najwidoczniej
wielkim miłośnikiem melodramatycznego gatunku) dolewał
oliwy do ognia.

- Załatwię się z tym główniarzem w sposób, na jaki zasłużył!

Tym razem jęknął kochliwy reżyser.

Wówczas Irek, wbrew

zdrowemu rozsądkowi, postanowił wtrącić się do dyskusji.

W końcu łączyło ich braterstwo drogich garniturów i znajomość reguł rządzących głupawymi
serialami.

Niczym diabeł wyskakujący z pudełka obwieścił światu swe wejście, zsykiem
ból uprostując się na sztywnych, zdrętwiałych nogach.

Wściekły, że jego pojawieniu się towarzyszy jedynie głupkowate zdziwienie na twarzy
Kalisty, zrobił krok w kierunku zaciekle walczącego małżeństwa.

Nim jednak opuścił swoje stanowisko, poczuł szarpnięcie dłoni, a potem mocny,
pełen wdzięczności uścisk.

Czuł, że w jego lewej ręce pozostały dwa przedmioty.

Zrobił potem drugi i trzeci krok, aż wreszcie, przyoblekłszy twarz w zadowolony
uśmiech kogoś, kto dla rozrywki spędza czas, ot tak, kucając sobie za samochodami w
garażu, przeszedł koło Kalisty.

- Pan.

Pan?

- Kalista nie mógł zaskoczyć i zachowywał się jak dziadek Leona, który momentami tracąc
pamięć, zaczyna się jak zużyta płyta.

- Ireneusz Blady, do usług - Irek dygnął grzecznie.

Mając baczenie na roślę kierowcę, na wszelki wypadek wołał zachowywać się przyjacielsko.

- Pan ma na sobie mój garnitur!

- wykrztusił z siebie

wreszcie skonfundowany małżonek.

- Nie, szanowny panie.

- Irek starał się zachowywać natyle spokojnie, na ile pozwalał mu sztywny kołnierzyk pe
80

chowej marynarki od Lali.

- Ja mam na sobie swój garnitur, a pan, o ile oczymnieniem mylą, swój.

Irek Blady był pewien, że nie mógł swojej odpowiedzi sformułować bardziej
błyskotliwie.

Zwykle w obecności ludzi pierwszych stron gazet nie udawało mu się zebrać myśli tak, by
roztoczyć przed nimi cały wachlarz swego niewątpliwego wyrobienia towarzyskiego.

Inna rzecz, że rzadko miał ku temu okazję.

Właściwie rozmawiał z kimś takiej pozycji pierwszy raz w życiu.

Eleonora parsknęła ironicznie.

Nie uszło to uwagi jej męża.

- I nie otrzymał go pan od mojej żony?

Irek obrzucił uważnym wzrokiem żonę Kalisty.

- Tadama to może pańska żona?

Błady ucieszył się, że konwersacja z rekinem miejscowej finansjery coraz lepiej mu wychodzi.

Kalista tymczasem, nie bacząc na jego radość z danej konwersacji, najpierw z trudem przełknął słowo "dama", a potem zgodził się z Irkiem, że Eleonora wciąż jest jeszcze jego małżonką.

- Zapewniam w takim razie, że to całkowicie absurdalny pomysł!

- W głębi ducha cała sytuacja zaczęła go powoli bawić.

Ostatecznie mógł wypaść o wiele gorzej.

Pan Kalista mruknął zbity z tropu.

W normalnej sytuacji Irek Błady uznałby, że powiedział przepraszam czy coś w tym rodzaju, ale poznawszy bliżej jego rodzinę, nie miał najmniejszych wątpliwości, że było to całkiem inne słowo.

Już miał odejść w glorii chwały wybawiciela, gdy Kaliście coś się przypomniało.

- Panie.

Błady, tak?

- Tak.

- Co pan robił w tym miejscu?

- Zakupy.

- ...w garażu.

- Ton, który mówił, nie skłaniał do żartów.

- W garażu, panie Błady!

A, w garażu!

Szukałem kluczyków do samochodu -

81.

odpowiedział Irek i zrozumiał, że wyskakując z tym niewinnym kłamstwem, nieco się pospieszył.

Nie miał samochodu, a mąż Eleonory patrzył na niego wyczekująco i wrogo. Napomockobiety również nie miało liczyć, bo poczuwszy się pewniej, bębniła zniecierpliwiona paznokciami o lakier jaguara.

W rolę niesłusznie oskarżonej kochanki weszła równie łatwojak w każdą poprzednią.

- I co?

Znalazł pan?

Odruchowo otworzył dłoń.

Były w niej dwa przedmioty.

Pierwszym z nich były kluczyki do terenowej toyoty.

W tym momencie Irek poczuł, że szczęście sprzyjające zawsze wszystkim Bładym w opałach nie opuściło go i dzisiaj.

-Znalazłem!

- wesoło zamachał kluczami szczęśliwego kochanka przed wielce zdziwioną twarzą Eleonory. Panu Kaliście spadł kamień z serca.

- Aha, ma panykowy garnitur, choć nie całkiem w moimguście - król rybuśmiechnął się uprzejmie i skinął głową na pożegnanie.

Irek dopiero teraz poczuł, że jego koszula jest zupełnie mokra.

W jego lewej dłoni wciąż tkwiła pomięta wizytówka - drugi przedmiot zostawiony mu przez pechowego kochanka, a oddziś jego największego dłużnika.

Chuchnął na nią jak na znaleziony banknot.

Nie był pewien, doczego, ale dobrze wiedział, że może się jeszcze kiedyś przydać.

Skinął dłonią w kierunku Kalisty kajającego się przed Eleonorą w przeprosinach i zapuścił silnik.

Wyjeżdżając, czuł na sobie wzrok wszystkich bohaterów tego niemal szekspirowskiego dramatu.

- Świat ześwirował!

- zaśmiał się głośno i radośnie uderzył dłońmi o kierownicę.

Klakson pisnął hałaśliwie.

Irek podniósł do góry dłoń, udając, że żegna się z przyjaciółmi.

W ataku niepohamowanego, skręcającego kiszki śmiechu

82

omal nie staranował stojącego przy wyjeździe z garażu pijaka, zbierającego pieniądze za pilnowanie samochodów.

Pijak sklął go na czym świat stoi.

Ale dziś Irkaciekobyło obrazić.

Poznał bowiem tajemnicę Eleonory Kalisty.

A ta nie miała ceny.

-Chcesz zarobić?

- wychylił się z okna ku pijaczkowi.

- No - ten skwapliwie skinął głową.

Był jeden ważny powód, dla którego Irek, zamiast zrobić kilka paradnych rundek wokół parku śledzia, a potem jechać wprost pod swój dom na ulicy Pawiej, bez pisku opon wyjechał z garażu i zaparkował pod pierwszym lepszym drzewem.

Skończył z paserstwem i postanowił być wielkoduszny do granic przesady.

- Oddasz te kluczyki człowiekowi, który ma na sobie identyczny garnitur jak ja, zrozumiano?

-Czemu nie.

- On ci to sownie wynagrodzi - zapewnił Irek.

-Na pewno?

- Na bank!

Ściskając w kieszeni wizytówkę, czuł, że lepiej zrobi, gdy całe dzisiejsze wydarzenie zachowa dla siebie.

Tymczasem zaś poszuka miejsca, gdzie nie natknie się na żadnego ze znajomych i porządnie przemyśli całą sprawę.

Nie wiedział, co w takiej sytuacji zrobiłby narcystyczny carykale Cipolla, ale on nie tak wyobrażał sobie życie, doktora aspirował przez całe trzydzieści lat.

Potrzebował czasu, by kolejna lekcja jego prywatnego kursu biznesu nie poszła na marne.

Nade wszystko jednak w tej chwili nagwał potrzebował rozjaśniającego rozczarowany umysł kielicha czystej polskiej wódki.

I tym razem zdrowy instynkt Bładych, nakazujący napić się przed każdą drogą, ratował go przed natłokiem czarnych myśli.

83.

Sierpień tego roku obfitował w dziwne wydarzenia. Gęste od wyziewów miasta powietrze zastygało w bezruch na całe dni tak nieugięte, że nawet noc nie przynosiła ukojenia.

Choć mało kto potrafił skojarzyć te dwa fakty, upał nastąpił dokładnie w dniu nieszczyśliwego wypadku Mariana Fortuny. I od tej chwili trwał niemalże bez przerwy. Już po pierwszym niesamowicie gorącym weekendzie okrzyknięto sierpień latem dziesięciolecia, po tygodniu upałów sięgających czterdziestu stopni Celsjusza w cieniu - latem stulecia, a po dwóch tygodniach telewizja donosiła, że doczekaliśmy się lata tysiąclecia.

Nikt naturalnie nie miał zielonego pojęcia, skąd telewizja gromadzi meteorologiczne informacje rodem z młodzieńczych czasów Mieszka I, ale wszyscy czuli się wyróżnieni, że za ich życia nastąpi najgorętszy sierpień w annałach historii. Właściwie można byłoby to uznać za pewnego rodzaju rekompensatę za niedogodności tegorocznej aury.

Dobra pogoda jest przekleństwem ludzi z wyobraźnią. Kiedy jest pochmurno, ciśnienie spada nałeb na szyję, wywołując niczym plagę ogólnokrajową manię samobójczą, wówczas w depresyjnych umysłach ludzi budzi się pasja twórczego narzekania. Nie ma większych jej pasjonatów od Anglików, ale inne narody północy też nieźle sobie z tym radzą. O dobrej pogodzie można powiedzieć nic ciekawego poza tym, że jest dobra i już. Nawet najbardziej dokuczliwy upał jest tylko upałem, czyli czymś, na co narzekania łatwo dają się sprowadzić do jednego tylko zdania.

Najstarsi ludzie nie pamiętali podobnie męczącego lata, więc nikogo niezdziwiło, że w ludziach zaczęło budzić się szaleństwo. Pierwszy uległ mu dziadek Leona. Zdaniem Irka bardziej od nieznosnego upału przyczyniły się do tego

84

botaniczne eksperymenty samego Leona. Choć jeszcze kilka lat temu bez troski drwił z rolników, od pewnego czasu zacięciem sadił nasiona konopi indyjskich. Jak do tej pory bezskutecznie. Dopiero w tropikalną pogodę zielsko zaczęło rosnać jak opętane. Leon podlewał, a badył rósł rósł, zarastając połowę klatki schodowej. Osobliwa roślina zainteresowała nawet emerytkę z parteru, z ciekawości, czy cała pielęgnacja ma służyć jej spektakularnemu zakwitnięciu. Nie zaprzeczył, w wyniku czego konopie były nie tylko dubeltowo podlewane (przypadkowo przez Leona i gorliwie przez emerytkę), ale również rozsądzone troskliwie na wszystkich parapetach bloku.

Wkrótce Leon miał nie tylko darmowe skręty dla siebie, ale w dobrej wierze zaczął dzielić się nimi z dziadkiem, sprzedając mu je jak mocne ruskie papierosy. Pomysł chwycił i wnuczek z dziadkiem zaczęli żyć w zadziwiająco dobrej komitywie.

Kto wie, jak dalej potoczyłyby się koleje losów tej rodziny, gdyby nie fakt, że dwa dni po śmierci Mariana dziadek Leon zrobił rzecz, o którą nikt nie podejrzewałby nawet tak starego dziwaka jak on.

Tego dnia oznajmił, że przybłąkała się do niego ryba.

- Ryba niemoże przybłąkać się jak pies.

Leon zaciągnął się skrętem, obiecując sobie solennie, że nigdy więcej nie sprzeda dziadkowi grama trawy.

Widocznie zahartowany na brud staruszek w innych dziedzinach życia nie posiadał równiekońskiej odporności.

- Ta ryba do mnie przemawia - oznajmił dziadek z stoickim spokojem.

Leona zamurowało.

- Ho,ho!

Ale cię, dziadek, wzięło!

- zagwizdał z podziwem.

- Jak chcesz, mogę ci pokazać.

Dziadek kiwnął palcem na Leona.

Zaprowadził go do dawno nieużywanej wanny.

Zamiast zwykle przechowywanych w tym miejscu zimowych butów i paru innych sezonów.

wych rupieci wanna pełna była wody.

O dziwo, polatachnieżywaniawciąż była sprawna.

- Zajrzyjdo środka!

- zachęcałdziadek.

W środku, wśród zawiesziny rybich przysmaków, niespiesznie pływał wielki, tłusty karp.

Wokół wanny stałydwie podsuszone palmy, a pod nimi leżały cztery pary zimowychkozaków, z których najstarsze pamiętały czasy,gdy dziadek nie miał odcisków i z powodzeniem mógł kupować sobie numer mniejsze buty.

- Jeny!

- Leon z niedowierzaniem przekrzywił głowę.

-Klimat podniosły jak przed świętami Bożego Narodzenia.

Dziadek skrzywił się.

- Lepiej uważaj,co mówisz, bo to diablo bystra bestia.

Patrz, jak na ciebie patrzy.

Leon nieufnienachylił twarz nad lustremwody.

Ku własnemu zdumieniu wyraźniezłowił drwiący wzrok opastejryby.

- To bydlę diabelnie mi kogoś przypomina.

-Tak?

- zainteresował siędziadek, nie kryjąc dumyzpupila.

- E, nieważne - Leon odburknął speszony, że tak szybko dał zwieśćsię iluzji podobieństwa ryby do Mariana Fortuny.

- Za dużo pałę, dziadek.

Nie myślałem, że kiedyś topowiem, ale obajpowinniśmy przejść na czasową abstynencję.

Leonnie mógł wiedzieć nic na tematrybiego wygląduMariana Fortuny, bo z zasady nigdy nie uczestniczył w pogrzebach.

Sam Marian nie był zaś dla niego kimś wystarczająco ważnym, żebyzmieniać dlańniego swe przyzwyczajenia.

Tegosamego dniaLeonjednak zdecydował się zwierzyćkumplom z niepokojącego zachowania dziadka.

On jedenwidział coś złego w osobliwym zainteresowaniu ichtologią.

Reszta rodziny bowiem zauważyła, że równocześnie ostatnimi wydarzeniami ustąpiły objawy alzheimera.

86

- Sfiksowanie -jak stwierdził Leon, bardzo wymownypo trawie - poszło po prostu innym torem.

Włało się w mówiącego karpia, którego dziadek uchwycił sięw ostatniejkonwulsji gasnącej nadziei.

Dziadek Leona przyjechał ze wsi.

Nie było tamubikacji,chodziło się w krzaki.

Do tej pory uważał kanalizację zaprzężytek i w czasie upałów chętnie wychodziłza potrzebąna dwór.

Zwyczaj tenirytował co subtelniejsze oczy i nosysąsiadów, ale, jak wiadomo, przyzwyczajeniejest drugą naturą człowieka.

Nic dziwnego, że nie miał szczególnychoporów, aby zakwaterowaćkarpia w nieużywanej wannie.

Koledzy Leona tylko kiwali głowami ze współczuciem.

Byli jednak tacy, co na sprawę mówiącej ryby mieli zgołaodmienny pogląd.

Ireka najbardziej dziwiło, że ludzie są tak głupi, iż wierzą w związek karpia z Marianem Fortuną.

Było to tak idiotyczne, tak absurdalne, że zdaniem wielu było prawdopodobne.

Nikt wprawdzie nie potrafił wytłumaczyć tego niedorzecznego przeniesienia, ale wkrótce stało się jasne, że karp istotnie ma niektóre charakterystyczne cechy Mariana.

Ireka złośliwie chodziło po głowie, aby zapytać, czy ktoś sprawdzał rybę na opilstwo.

Pewne było jedno - rybsko było: a) głupie, b) nerwowe, c) złośliwe.

To wystarczyło, bo ciemna część ludzkości uznała karpia za dowcipną i poetycką inkamację Mariana.

Ireka jednak żadnej poezji nie mógł się w nim dopatrzeć.

Wydawało się, że jedyną osobą zdolną wyrwać dziadkowi szponów melancholii i nałogów była Milena Fortuna.

Pomyśl, że to Mili mogłaby zająć się opieką nad Leonem, wszystkim bardzo przypadł do gustu.

Na jej korzyść przemawiało wychowanie bliźniaków i lata spędzone u boku Mariana.

Na ulicy, gdzie każdy znał każdego na wylot, nie było lepiej.

szej rekomendacji.

A ponieważ rodzice Leona nie należeli do skąpców, gotowi byli zapłacić świeżo przyjętej opiekunce dwa razy więcej niż zarobiłaby w szkole językowej.

W świecie, który znali nawylot, niemal każda kobieta zajmowała w swym domu stanowisko pośrednie między zapaśnikiem wag ciężkiej a Matką Teresą z Kalkuty. Milenę wyróżniała spośród nich jedynie świeżo zdobytą wolność, która resztą szybko została w całości wchłonięta przez Antosia i Adasia.

Każdy, kto miał tylko trochę rozumu w głowie, wiedział, że z chłopaków Fortuny wyrosną albo złodzieje, albo aktorzy.

Przeciętności nie wróżył imnik.

Milena kochała bliźniaków jak własnego dzieci, lecz zarówno rewelacje o ich geniuszu, jaki o przestępczych skłonnościach kwitowała krótkim: "Pożyjemy, zobaczymy!"

Chłopcy zwyczajem wszystkich bliźniaków rozwijali się nieco inaczej niż ich rówieśnicy.

Zamiast naśladować wzorce wpajane im przez dorosłych woleli obserwować siebie nawzajem. Efektem takiego stanu rzeczy było upodobanie młoców do bójek, jedzenia palcami i zwracania się do dorosłych w formie najbardziej wymyślnych bluźnierstw.

Nie każdy, kto dawno temu skończył siedem lat, był w stanie to tolerować. Z jednym wyjątkiem.

Antos i Adaś nadawali sąsiadom i sąsiadkom nazwy własne, zawsze kojarzące się z czynnościami narządów wydalniczych lub rozrodczych.

Bładem seniorowi przypadł udział określenie "Jebaka".

- Naprawdę tak o mnie myślicie?
- zawołał kiedyś dzieci na stronę.
- No - odparły zgodnie.
- I nie przeszkadza wam, że jestem stary?
- zapytał kokieteryjnie, podciągając pasek spodni.

- Jest pan szczególny.

Błady pytającym wzrokiem wskazał na brakującą nogę.

88

- To wielka rzecz bliźniaki stwierdziły swoimi dziecinnymi głosikami.
- Wiadomo!

- w tej materii i Błady nie miał wątpliwości.

- Ale mogliście, jak wszyscy inni, nazwać mnie po prostu kulas.

Jebaka to cholerny przywilej.

- Błady senior dyskretnie otarł łzę wzruszenia.

- Dziękuję, kochani!

- Nie ma zaco!

- odpowiedział zgodnie chórek.

Jeśli komuś wydaje się, że w ten prozaiczny sposób nie może zrodzić się przyjaźń, to bardzo się myli.

W tej bowiem chwili w duszy ojca Irka Bładego zakiełkowało kuchłopcom najprawdziwsze i najczystsze uczucie, jakim kiedykolwiek obdarzył drugą istotę.

Nigdy, poza krótkim epizodycznym narzeczeństwem, nie czuł czegoś takiego do swojej żony. Nie pamiętał, by zachwyciły go podobnie własne dzieci.

Słowem, ku zaskoczeniu wszystkich, pokochał bliźniaków niczym własne, rodzone wnuki, bo dzięki nim zrozumiał, że życie może go jeszcze pozytywnie zaskoczyć.

- Cześć, panowie!

- krzyczał do nich z każdym razem, gdy przechodzili drugą stroną ulicy.
 - Witaj, Jebaka!
- odpowiadali rozpromienieni chłopcy.
 - Dzień dobry, panie Blady - dodawała od siebie Milena bez zdziwienia aprobująca ów osobliwymęski układ.
 - Masz cudowne dzieciaki!
- odkrzykiwał zachwycony Blady.
- Przyrowadź je kiedyś do mnie.
 - Pojeździmy po schodach wózkiem inwalidzkim!
- zapiszczały z uciechy dzieci.
 - Naturalnie - potwierdził ojciec Bladej.

Dla pełnej jasności należy dodać, że w normalnej sytuacji nikomu innemu by na to nie pozwolił.

- Więc do zobaczenia, panie Blady - Milena przyjacielsko skinęła głową.
 - Się ma, Jebaka!
- Wspaniałe, cudowne dzieci mruczały pod nosem ojciec Bladej.
Dzień, w którym na codziennej przechadzce po Banitach⁸⁹.

spotykał bliźniaki, uważał za bardzo udany.

Fakt istnienia idealnie skopiowanych dwóch istot obdarzonych zwierzęcą intuicją i geniuszem Einsteina był dla niego powodem nieustającego zdziwienia.

I choć nie rozumiał, dlaczego trafiły się one Fortunom, nie miał najmniejszych wątpliwości, że cud spłodzenia równych im dzieci na pewno nie przydarzy się jego potomstwu.

Popatrzył jeszcze przez chwilę za odchodzącymi bliźniakami.

- Marny cycek!

Marny cycek!

- zawołały do otwierającej

sklep z pasmanterią Kaśki.

Aktualna dziewczyna Irka zaczerwieniła się i ofuknęła dzieciaki.

- Oj, skubane!

- ojciec aż zawył z zachwytu.

- Jubilerskie

oko! Jak Boga kocham, jubilerskie oko!

Wolną kulą stuknął przechodzącą obok kobietę.

Wskazał

w kierunku Kaśki.

- Narzeczona syna - wyjaśnił.

Kobieta przełożyła siatkę z ręki do ręki i zdobyła się na pobłażliwy uśmiech.

- Stary bynie wychwycił, z czegoś zniżył tak, ale te dzieci mają niezwykle oko.

Na pozór wygląda zwyczajnie.

Kobieta zainteresowała się Kaśką.

- A co jej jest?

- Teraz widzę wyraźnie, że biust jakiś taki.

marny!

- Co?

- niewiastę z siatką wyciągnęła z kieszeni okulary, za pomocą których, zerknąwszy pobieżnie na narzeczoną, wnikliwie zlustrowała Bładego.

- Stary zboczeniec!

- parsknęła.

- Wstydziliby się pan!

Ojciec jednak nie słuchał jej dłużej.

Podśmiewając się w duchu z naiwności dorosłych, kuśtykał wprost do domu.

Wierzył, że jeśli jakiś król jest nagi, tylko Antoś i Adaś będą wiedzieli to na pewno.

On zaś był wystarczająco mądry, żeby wiedzieć, z kim na osiedlu należy trzymać.

90

Sto metrów dalej mali geniusze dopadli właśnie kolejną ofiarę.

Elegantka w słomkowym kapelusiku zachwycała się głośno niezwykłym podobieństwem ruchliwych bliźniaków.

Każdemu jej słowu skierowanemu ku któremuś z chłopców odpowiadało głośne beknięcie zagadywanego.

Milena, węsząc kłopoty, zarządziła odwrót.

Nie trzeba było długo czekać na reakcję elegantki.

- Wychowuj pani sobie chuliganów.

(Bek) Niedługo przyjdzie czekać na efekty takiego postępowania.

(Bek) Zobaczy pani!

(Bek, bek).

- Nie pytałam panią o radę.

Proszę więc zostawić ją dla siebie.

- No, no!

A pani niech lepiej wie, że te zaniedbane przez cywilizację biedactwa muszą cierpieć na jakieś zaburzenia rozwoju!

Milena mocno chwyciła chłopakowi odciągając od rozwścieczonej paniusi, poprowadziła ich boczną ulicę.

- Spierdalaj!

Spierrrrdalaj!

- przekrzykiwali się chłopcy, odwracając się ślad za zatroskaną rozmówczynią.

- Słuchajcie no!

- Milena puściła rękawy chłopców, gdy zostali sami na bocznej uliczce.

- Przydałoby mi się trochę od was odpocząć.

- Pomożemy ci - zapewnił gorąco Adaś.

- Masz tylko nas - dodał Antos.

- Jesteśmy twoimi facetami - chłopcy zgodnie wyprężyli dziecięce klatki piersiowe.

- Dzięki, panowie - roześmiała się Milena.

To krzepiące mieć takich opiekunów.

Tym razem miałam namyślić trochę towarzystwa dorosłych.

- Fajnie.

Zaproś do nas Jebakę!

- Nie Jebakę, tylko pana Bładego.

I nie do nas - sprostowała.

- Dorośli czasem lubią побыć sobie wyłącznie we własnym towarzystwie.

- Dziwne - zdumiał się Adaś.

- Umarł tatuś, więc może chciałabyś, żeby ktoś cię prze.

Milena nie pozwoliła Antosowi na rozwinięcie tej kwestii.

91.

- Jeszcze słowo, a ktoś dostanie w tyłek!

- zagroziła serio.

- Wujek Pępek powiedział nam, że w tej sprawie nawet takie ogiery jak my nie zastąpią ci tatusia.

Matka chłopców zaskoczona szeroko otworzyła usta.

- Bo jesteśmy za mali - stwierdził ze smutkiem Adaś.

- Za niscy,

- Nie za niscy, tylko mamy za małe instrumenty.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

- Mamo, a co to są instrumenty?

- Tego wam Pępek nie powiedział?

- szczerze zdziwiła

się Milena.

- Nie - chłopcy zmartwili się.

- Więc mamy za małe?

Niecierpliwie przebierał nogami.

- Mózgi.

- Mózgi?

Tfu!

- bliźniacy wykrzywili się ze wstrętem.

Nakomendę opluwali wszystkookoła siebie.

Po trzech minutach znudzeni uspokoiли się.

- Taki wujek Pępek musi mieć dopierowielki mózg!

Tego bym nie powiedziała - westchnęła cicho Milena.

Z tego, co twierdziła Bladej, mógł on nawet mieć okazały "instrument", ale wielki mózg?

W żadnym wypadku!

Naszcześnie jej przyjaciółce do tej pory jakoś ten jedyny kapitał

Pępka wystarczał.

Chwilami Milena zazdrościła Bladej, że taki drobiazg, jak jednorazowy udany seks potrafi uszczęśliwić ją na cały długi tydzień.

Jej niewystarczał nawet nakwadrań.

Chyba już dawno zapomniała, że seks może być jednym z wielu

składników prawdziwej miłości.

Walczyła otę miłość przez całe swoje dorosłe życie, a w zamian dostała cholernie mało.

Nawet dobre wspomnienia chwil uniesienia zostały jej oszczędzone.

Idąc tak przez nagrzane, zaśmiecone ulice miasta, uświadomiła sobie, że doskonale udało jej się to, przed czym zawsze tak się wzbraniała: dokładnie powtarzała życie swych babek i matki.

92

8

W sobotni wieczór niespodziewanie spadł deszcz.

A właściwie nie spadł, tylko lunął.

Ulice w błyskawicznym tempie wypełniły wzburzone rzeki wody, przecinające się z impetem na skrzyżowaniach, a potem wsiąkające w wysuszoną ziemię.

Grzmiało, ale burza omijała miasto, przechodząc gdzieś nad przedmieściami.

Prowizoryczny ogródek baru Leśnika opustoszał.

Kobiety ratowały wywieszane na balkonach pranie, a dzieci zwoływały do domów moknięte psy z podwórka.

Przez otwarte okna padała do mieszkań orzeźwiająca bryza letniej burzy.

Strugi deszczu skutecznie zmywały zapachy miasta.

Ktoś, kto przypadkiem przejeżdżał przez miasto, zbłądził w te strony, zmylony zepsutą od wilgoci sygnalizacją.

Zatrzymał się na dziesięć minut pod barem Leśnika, aby zapytać o drogę.

- Jestem poetą - powiedział człowiek, którego twarzynik nie zapamiętał.

- To tak jak ja - zaśmiał się bez zębny staruszek przy barze.

- Ja swojego czasu też pisałem wiersze - wyznał ktoś, kto przypadkiem schronił się w barze przed ulewą.

Obcy zatarł dłonie.

- O, widzę, że spotkałem tu samych poetów!

- To aż tak po nich widać, że z poezji nie da się wyżyć?

- zapytał sarkastycznie Irek Blady.

Kilka osób zachichotało.

- Myli się pan - człowiek bez twarzy rozkładał czarny parasol.

- Ktoś, kto zwycięży w krajowym konkursie poetyckim, dostanie milion dolarów i jak najbogatszy poeta kraju wystąpi w telewizji.

- Milion baksów za jeden wiersz?

- zdziwił się staruszek przy barze.

- To zbyt piękne, żeby mogłoby być prawdziwe.

93.

- W kularach mówi się, że nagrodę ufundował jeden milioner, chcąc przeprosić tym wierszem żonę za niesłusznepodejrzenia, jakie kiedyś żywił w stosunku do jej wierności - uprzejmie wyjaśnił obcy.

-Miiliooon.

- westchnął ktoś tęsknie.

-Ostatni raz takie pieniądze widziałem przed denominacją złotego.

Ktoś inny przeklął z niedowierzania.

Choć tak naprawdę nikt mu nie uwierzył, wszyscy łapczywie chłonęli jego brzęczące dolarami słowa.

Wielu przednim opowiadało w tym barze zmyśloną historię, lecz nikt dotąd nie był tak bezczelny.

Było pewne, iżo niezwykłym gościu długo się w mieście nie zapomni.

- A jednak, panowie!

- ciągnął dalej nieznajomy.

-Trudno jest dogodzić pięknej kobiecie, która ma wszystko.

Świadomy swej władzy nad tłumem, wyszedł na sam środek baru.

Jak zwykle w takiej sytuacji zamówienia nawódkę posypały się w kierunku stojącego przy szkle Leśnika.

Łgarz - botak o nim pomyślał barman - dostał swą służoną do ledzadarmo.

Ku zaskoczeniu Leśnika odmówił, więc ten w obawie, żeby ktoś nie zaopiekował się wypełnioną szklanką, jednym haustem opróżnił ją, wlewając zawartość do własnego gardła.

- Bajerant!

- osądził trzeźwo bezżębny staruszek, prychnąwszy na poetę lekceważąco.

-Opowiadaj pan takie bajki dzieciom, bo nawet nasze baby nie uwierzyłyby w podobne bzdury.

Wtedy stało się coś, czego nikt się nie spodziewał.

Obcy wyjął z kieszeni złożone na cztery przemoknięte ogłoszenia i wręczył je Irkowi.

Na ogłoszeniu widniała data, nazwa sponsora (ELEONORA FISH Łądowne Zakłady Przetwórstwa Rybnego im.

Eleonory Kolisty), adres, pod który należało przesyłać wiersze, i magiczna liczba miliona dolarów.

Nazwisko Kalisty, właściciela nowo otwartych zakładów rybnych, uwiarygodniało wysokość wygranej.

Ten kuty nacztery łapy rekin biznesu w sprawach sercowych okazywał

94

^

^

^

się naiwny jak dziecko.

Irek skinął na potwierdzenie, że nieznajomy nie kłamie.

Dalej było tak, jak mówił nieznanyim poeta: wystarczy napisać wiersz o czymś szczególnym lub tylko oryginalnym, by zgarnąć całą kwotę.

Bardzo proste.

Dziecinnie proste.

Gdyby Irek wiedział, że tak zarabiasię pieniądze, dawno zostałby poetą.

Jak na komendę na sali podniosły się głosy przekonane, iż my, Polacy, poezję mamy we krwi z trzech co najmniej powodów.

Pierwszy z nich nazywał się Miłosz, drugi - Szymborska, a trzecim - o ile Irek dobrze usłyszał - był nieprzypadkowy zbieg okoliczności, że zarówno Polska, jak i poezja zaczynają się od tej samej litery.

Sam znał wiele innych (mniej wzniosłych) słów na p, ale wołał ich publicznie niewypowiadać. Na całe szczęście, bo atmosfera wokół konkursu wyznaczonego w nim honorarium zaczęła robić się naprawdę gorąca.

- Jeśli jesteście, panowie, tacy dobrzy, sami wystartujcie w konkursie - zaproponował obcy z wyraźną nutką ironii w głosie.

Kpina ta oczywiście została bezbłędnie przez co niektórych wychwycona.

- Żebyś wiedział!

- przepijający swoją emeryturę staruszek odgrażał się pięścią.

- Napisz jeszcze taki wiersz, że waszemu milionerowi wpięty pójdzie!

Na potwierdzenie swoich słów rozłożył nabarze serwetkę i niezwłocznie przystąpił do pracy twórczej.

Reszta chroniącego się przed deszczem towarzystwa była zbyt zajęta czytaniem treści komunikatu, by zwrócić uwagę na oddalającego się pośpiesznie poetę.

Jedynie Irek wyjrzał w ślad za nim przez okno.

Zauważył, że kiedy tylko ten opuścił pub, odłożył parali pod drzwiami i delektując się wylewającą się z niebawodą, wszedł do auta.

Chwilę potem otworzył na oścież dyberdach, czekając, aż agresywne strumienie wody podtopią wnętrze auta.

Zachwycony, że jedzie w miniakuwa95.

rium, odpalił silnik i pomknął w przeciwną stronę niż droga, którą mu pokazywali.

- Poeci są jednak cholernie dziwni - Irek z niedowierzaniem pokręcił głową.
Rozłożył parasol zostawiony przez obcego i z suchą
głową dotarł do domu.

W dzień swoich urodzin postanowił dobrze wyglądać.

Milena wychyliła się na zewnątrz, upewniając się, że lada moment przestanie padać, a deszcz minie równie szybko, jak się pojawił.

Zapomniała już o niedawnych obietnicach spędzania więcej czasu z dala od towarzystwa Adasia oraz Antka i marzyła wyłącznie o wsunięciu się pod koc i obejrzeniu filmu z wypożyczalni.

Nie myślała też o urodzinach Irka.

Złudzenia o spokojnym wieczorze przerwało pojawienie się ociekającej wodą Bladej. Jej nowy, kupiony odsiadów z Buga parasol był najwidoczniej parasolem słonecznym, lecz nikt wcześniej o tym Bladej nie poinformował.

Teraz przypominała mokłą kurę.

- Niech to szlag!

- wrzasnęła zamiast powitania.

I od progu, przy współudziale Mileny zaczęła energicznie ściągać z siebie bluzkę i spodnie. Jak się szybko okazało,

bielizna też była przemoczona do cna,

- O! A co to?

- zdziwiła się Milena na widok majtek z puszkami, które Blada przywdziała na okoliczność dzisiejszych uroczystości w pubie.

Doskonała znajomość realiów życia podpowiadała jej, że w finale tego typu imprez zawsze, chcąc nie chcąc, lądowała w łóżku Pępka.

Skoro oddawna nie była już nastolatką, wolała wcześniej przygotować się na taką okoliczność.

- Majtki - zazgrzytała zębami Blada, drżąc z zimna.

- Raczej niespecjalnie cię grzeją te futrzaste gacie - trzeźwo zauważyła przyjaciółka.

Grożąc palcem, Milena w tej samej chwili wycofała za
drzwi zaciekawione bliźniaki.

96

- Ściągaj!

- zarządziła.

- Żartujesz?

Mam iść na urodziny brata bez majtek?

- Chyba nie założyłaś ich dla Irka.

- No pewnie!

- Pępek, przy swoim tempie, i tak nie zauważy różnicy.

Blada bez entuzjazmu owinęła się ręcznikiem i pilnując drzwi, za którymi przyczaili się chłopcy, ściągnęła

majtki.

- Przemarzałam tak, że najchętniej włożyłabym tyłek do miski z gorącą wodą.

- Dam ci kielicha.

Marian pozostawił po sobie za szafką baterię butelek.

- Dzięki, Milena!

- Blada przytomnie rozejrzała się dookoła.

- A ty, dlaczego jeszcze nie jesteś ubrana?

- Widzisz.

Raczej nie wybieram się do pubu.

- Kpisz sobie ze mnie?
- odezwała się, kiedy tylko przełknęła łyk rozgrzewającej mikstury Mariana.
- Nie uważasz chyba, że pójdę tam sama?
Bez majtek?
- Jestem wdową.
Pieprzoną szanowaną matroną, która nie włości się po knajpach.
Już nie.
- Już nie?
Jakbyś za życia Mariana wychyliła się kiedykolwiek poza swoje dziecinne marzenia.
Przepraszam, może nie powinnam tego mówić.
Milena milczała.
- Jestem głupia, ale wierz mi, że nie chciałam cię obrazić.
Czy wszystkie baby w tym mieście muszą być takie zasadnicze?
Wściekła na Bładą, iż wtrąca się do nie swoich spraw, rozważała po cichu, czy ta aby
nie ma trochę racji.
- Samotna kobieta w pijalni piwa wygląda trochę żałośnie, nie uważasz?
- Skąd, u diabła, u ciebie takie postępowe poglądy?
- zadrwiła Błada, ale zaraz dodała pokojowym tonem: - Będziesz przecież zemną.
- Ty masz Pępka.
- Z doskoku, kwiatuszku, tylko z doskoku.
Obie dobrze
97.

wiemy, że zauważy moją obecność nie wcześniej niż poczwartym kuflu.

Milena wiedziała, że Błada się nie myli.

Gdyby Pepek wykazywał jakiejkolwiek zadatki naporządnego faceta, któremu kobieta może raz w życiu zaufać, jej przyjaciółka dawno byłaby po ślubie.

Ten jednak nie miał żadnych, najmniejszych nawet kwalifikacji na ojca rodziny.

I to było bardziej żalosne niż samotne wizyty w pubach.

- Wiesz - zaczęła Błada - niewykluczone, że kogoś poznasz.

Ja może też.

Kogoś wreszcie spotkamy.

- U Leśnika?

- Milena zaczęła krztusić się ze śmiechu.

Błada natychmiast jej zawtórowała.

Byłoby bowiem zupełnie niemożliwe.

Tak irracjonalne, głupie i bez sensu jakto, byw łódzkich studzienkach kanalizacyjnych nagle trysnęła ropa naftowa i zalała całe Batuty petrodolarami.

Pewnerzeczy nie dzieją się nigdy do tego stopnia, że nie było sensu wierzyć w rachunek prawdopodobieństwa dopuszczający margines błędu w tym obrzydliwie przewidywalnym świecie.

Tu nie trafiali się dzentelmeni, zapraszający dziewczyn na koncerty muzyki, do teatru i kina, bo ci wymarli niczym monstrualne, prehistoryczne żółwie.

Zobserwacji Bładej nie było szans, by natknąć się na nich w promieniach dobrych kilkudziesięciu kilometrów.

A jeśli tu i ówdzie trafiało się nawet jakieś Galapagos, było ono, w przekonaniu dziewcząt, odcięte od nich niemożliwym do sforsowania murem elitarności bogatych dzielnic.

- Wiesz, my powinniśmy należeć do innego świata - powtarzała niezmienne Błada w takich sytuacjach.

- Jesteśmy młode, niegłupie.

- Wykształcone - przypomniała Milena.

- Prawie o tym zapomniałam, że chodziliśmy na studia, a ty je nawet skończyłaś.

- Błada zamyśliła się.

- Takie rzeczy powinny gdzieś się liczyć, nie?

- Czy ja wiem?

- Milena wzruszyła ramionami.

- Gdy ktoś pyta o moje wykształcenie, a ja odpowiadam, że skończyłam 98, czytam włókno, brzmi to jakoś niepoważnie.

W mieście, gdzie od lat nie działa ani jedna fabryka, łatwiej byłoby znaleźć pracą krobotce cyrkowej.

- Włókno - Błada próbowała zbadać dźwięk tego słowa.

- Rzeczywiście brzmi trochę głupio.

- No.

bardzo głupio.

- I archaicznie.

- Masz rację, ale ktoś, kto jest magistrem, nawet od pieprzonego archaicznego włókna, nie może zadawać się zezwykłymi głąbami z osiedla.

Milena nie wątpiła, że takie prawa mogą obowiązywać we eleganckim świecie, gdzieś daleko od jej ulicy.

One skazane były na to, co niosł życie, w którym tak mało było okazji do prawdziwych wyborów.

Nawet pub wokolicy był tylko jeden.

Leśnix nie miał więc konkurencji w ten sobotni wieczór i nawet najbardziej wartościowe i ambitne dziewczyny (za jakie Milena z Bładą bez wątpienia się uważały) musiały dziś wieczorem tam trafić.

W zachowaniu Irka krzepiące było to, że przy nieznacznej różnicy wieku wciąż traktował swoją siostrę i Milenę jak małolaty.

Choć od dawna nie potrzebował przyzwoitki, zapraszał je wciąż z nadzieją, że w

towarzystwie pań chłopcy zachowywać się będą przyzwoicie.

Mniej także piło się wysokoprocentowego alkoholu, więc rachunek za wódkę nie obciążał zbytnio kieszeni.

Sam coraz mniej lubił całonocne chłanie w towarzystwie tych samych odlat kumpli.

Ale tradycja była tradycją i trzeba było pozostać jej wiernym.

Do rytuału urodzin, po wypiciu kilkupiw lub setek czystej, należało odśpiewanie fałszywie "Sto lat", a potem entuzjastycznie "Niech mu gwiazdka pomyślności", uzupełniane za każdym razem innym, bardziej nieprzyzwoitym zakończeniem.

Dziś Irek nie miał na sobie włoskich butów ani garnituru od Lali.

Przez krótki moment wahał się, czy nie założyć go

99.

do pubu, ale kiedy tylko przymierzył ubranie w łazience, poczuł się groteskowo. Stuprocentowe wełny i jedwabie, które tak doskonale prezentowały się w wytwornym sklepie, na tle zawałonej praniem i plastikowymi miskami blokowej łazienki nadawały Irkowi żalospny wygląd wymuszającego forszę gangstera, który zablądził pod niewłaściwy adres. Z zaskoczeniem zauważył, że nie jest już prestidigitatorem, arystokratą ani znudzonym na śmierć finansistą.

Wcześniej nawet nie zdawał sobie sprawy, jak cholernie trudno byłoby odgrywać postać z papierowego świata ukochanych książek wśród plastikowych misek pełnych brudnych gaci i rozrzuconych chińskich ręczników w wyblakłej pawie.

Zdjął garnitur szybciej, niż go zakładał.

Wciąż jeszcze nie pasował doniego, choć zewnątrz leżał jak ulał.

- Kwestia czasu - pocieszył się, zakładając z powrotem dzinsy i niebieską koszulę w paski.

W tym stroju był dawnym, znanym wszystkim poczciwym, choć trochę nerwowym Bładym.

Irek cieszył się opinią wiecznego kawalera, więc na jego słynne pijackie imprezy urządzone w Leśniku siewali tłum najomych męskiego rodzaju i tylko kilka towarzyszących im dziewczyn.

Przegląd niezonatych lub tylko wolnych duchem kawalerów z osiedla prezentował się jego zdaniem bardzo imponująco.

Tylko Błada i Milena miały naten temat inny pogląd.

Wciąż upierał się, że nie spotkałby nikogo, kto wart byłby choćby przelotnej uwagi.

Przekoczona czterdziestka połączona ze stałym meldunkiem w komunalnym mieszkanku mamusi przekreślała w ich oczach najbardziej ognistego ogiera.

Podobnie rzecz miała się z utrzymywaniem się z emerytury tejże mamusi

ikilkomatem podobnymi, bardzo powszechnie praktykowanymi zwyczajami.

Irek Błady i jego świta przez wiele lat usiłowali dociec wrodzonej nietolerancji kobiet wobec najbardziej naturalnych przejawów męskiego życia, takich jak:

100

1. niechęć do ciężkich prac domowych;

2. niewolnicza praca na etacie, uniemożliwiająca prowadzenie intensywnego życia towarzyskiego w samo południe przed sklepem monopolowym;

3. używanie pewnych niecenzuralnych wyrazów jako znaku przestankowego w ekspresyjnej, acz wciąż błyskotliwej wypowiedzi.

Niestety, nic poza bezdyskusyjnie złą wolą przedstawicieli płci odmiennej nie przychodziło im do głowy.

Czas mijał, niektórzy z dawnych przyjaciół żenili się, rozwodzili, grubieli lub łysieli, ale zawsze bronili mężnie swej zabójczej męskiej atrakcyjności, która, jak twierdziły miejscowe autorytety, z wiekiem zyskiwała na smakowitości.

Irek pierwszy zauważył, że karmią się złudzeniami.

Również on sam, choć uświadomienie sobie tego przyszło mu z trudem, wciąż żył złudzeniami.

Naturalnie wierzył, że nadal świetnie się prezentuje, a jego umysł osiągnął niedawno przypisanemu wyżyny intelektu, amimo to często dopadały go niewesołe myśli, mogące zwiastować początki depresji.

Dziś również zobaczył na niebie rybę, co wpędziło go w ponury nastrój.

Ryba w kształcie chmury symbolizowała Marianę.

Ryba taro pętała też kilka godzin temu szaloną burzę.

Ten meteorologiczny omen zdecydowanie nie był najlepszą prognozą dla świata, w którym zamierzał przeżyć w zdrowiu i spokoju następne trzydzieści lat.

Chciał opowiedzieć o swoich skojarzeniach Milenie, lecz ta siedziała z dziewczynami i swoim zwyczajem uprzejmie go ignorowała.

- Jak dzieciaki?

- zapytał zamiast tego.

To było banalne, ale Irek nie był pewien, jak Milena zareagowałaby na oskarżenie jej męża o wywołanie dzisiejszej burzy.

- W porządku.

- Są naszym ojcem, którego łaskawie godzą się nazywać Jebaką - wyjaśniła Błada.

101.

- No, słyszałem - podrapał się zakłopotany po czole.

-Trochę głupio, nie?

On był głupi, zapytał o coś tak oczywistego.

- To chyba dość oczywiste -potwierdziła Milena zezniewalającym uśmiechem.

- Ale wasz ojciec uważa to zaurocze.

- Ojciec musi w takim razieprzeżywać andropauzę.

-Irek niepewnie zacytował jakiś medyczny artykuł znaleziony wbibliotece.

- Wszystkie te anomalie przejdą dwa, trzy lata.

Na razie powinniśmy przebaczyć mutę drobnąsłabość wieku przekwitania.

Przyjaciółki otworzyły oczy ze zdumienia.

Zanim jednakzdążyły coś odpowiedzieć, Irek pospiesznie oddalił się od ich stolika.

- Wiesz, ten twój brat nie jest takimidiotą jak inni.

Błada przytaknęła.

- Może z debilizmu kiedyś się wyrasta?

-Zawsze należy mieć taką nadzieję.

- westchnęła Milena, myśląc raczej o sobie własnych życiowych błędach niżo Irku.

Z niedowierzaniem patrzyły, jak Irek grzecznie wita się Kaśką i dyskretnie odmawia Leśnikowi wypicia darmowego piwa.

Pępek i Leon zaglądali głęboko w dekolt nowej dziewczynyIrka.

Oczywiście wprawne oczy Bladej i Mileny bezbłędnie dostrzegły, iż został on sztucznie uwypuklony.

Niebez satysfakcjiprzedłuższąchwilę zastanawiały się, jakporadzi sobie ze sprawnym wycięciem gąbek w krytycznym momencie.

Dziwiłoję, że Irek potrafi rozmawiać z Kaśką tak, jakbyta była prawdziwą damą.

Ani Pępek, ani Marian nigdyz żadną z nich tak nie postępowali.

Tymczasem Irka Bladego wciąż nurtowaływątpliwości, czy umawiając się z Kaśką postępuje właściwie.

Kiedyś nie miało to najmniejszego znaczenia, z jakiego powodu spo102

tyka się z dziewczynami, ale teraz czuł, że nie ma jużosiemnastu lat.

Jego ciało, jego serce i umysł, zmęczone przypadkowymi erzacamiuczuć, potrzebowały prawdy.

Nieprzypominał sobie, który z jego ulubionych literackich bohaterów myślał podobnie, ale coraz częściej i dotkliwiej czułw sobie pustkę, jaka pozostaje człowiekowi po kawałku solidnie spieprzonego życia.

Popatrzył na Kaśkę życzliwie.

Próbowałszacowaćszansę zadurzenia się w dziewczynie ze sklepu pasmanteryjnego.

Była ładna, sympatyczna i młoda.

Fakt, nie była Eleonorą Kalistą, ale poza tym wszystkow niej było w zupełnym porządku.

Zauważył, że wypycha sobie czymś stanik, ale prawdziwa miłość nie powinna zwracać uwagi nadrobizgi.

Gdyby chociaż przez jeden dzień miał możliwość spojrzenia w swoją przyszłość, upewniłby się, czy warto marzyćo czymś, na istnienieczego nigdy nie miał dowodu.

- Ech, miłość.

- westchnął, a jego twarz wykrzywiłgrymas rozczarowania.

Wśród otaczających go ludzi przyznawanie się do samotności wciąż uchodziło zadowód słabości.

Pomyślał, że najzupełniej słusznie.

Patrzył naLeona, Kaśkę, Milenę, Pępka i własną siostrę.

Patrzył na wszystkich bywalców Leśnika i na żadnej z twarzy nie znalazł śladu szczęścia wywołanego czymś innym niż ekstazą po konsumpcji alkoholowych trunków.

Sam wypił mniej niż zwykle, bo od jakiegoś czasu jego tolerancja na wódkę bardzo się obniżyła.

Bardziej też niż przed laty wstydził się swojej słabej głowy.

Nie był to objaw typowy dla któregoś z męskich członków wspaniałego rodu Bładych.

Wyczuł wkieszeni listek z aspiryną, niezawodną przyjaciółką w leczeniu kaca.

Pogładził go bezwiednie kciukiem.

Niemal w tym samym momencie jakiś gruby kuzyn Leona o imieniu Karol wtoczył się na niego jak wielka, mokra śnieżna kula.

Klepnął go jowialnie po pośladkach, co wy103.

wołało w Irku nieprzyjemne skojarzenie, że Karol może okazać się osobą o odmiennej orientacji seksualnej.

Szybko odskoczył na bardziej bezpieczną pozycję.

Mimo wszystkich swoich wątpliwości zdecydowanie wołał jednak skończyć ten wieczór w ramionach Kaśki.

- Słyszałem, że załatwiłeś towarzystwo dla dziadka Leona - zagadnął Karol.

Irek uświadomił sobie, że powinien szybko ten temat omówić z Mileną.

Kuzyn Leona ciągnął dalej swym anemicznym głosem:

- Nie wiedziałem, że ten biznes, do którego się tak

poważnie zabierałeś, to pośrednictwo w baby-sittingu?

- Zazdrosny?

- Irek uniósł prowokacyjnie brwi.

- Możesz się szykować na tę posadę?

Przez chwilę przyszło mu do głowy, że mógłby coś złośliwie zasugerować Karolowi, ale w porę się powstrzymał.

Mimo całej swojej antypatii Irek przyrzekł sobie solennie trzymać klasę.

Karol wycofał się na chwilę zmieszany, lecz ani myślał odzyskać się do jubilatki.

Dopiął się do pleców Irki podążając za nim jak cień.

Na rozmowę z Mileną Irek musiał więc poczekać dobre dwie godziny, kiedy wreszcie udało mu się pozbyć mocno już spitego i przez to bardziej spolegliwego Karola.

Całą sprawę przedstawił jej w formie zasłyszanej na siedzeniu informacji.

Tak było bezpieczniej.

- I z tego co wiem, chętnie by przyjęli do pracy kogoś takiego jak ty - zakończył doskonale obojętnym tonem.

- Naprawdę?

- ucieszyła się Milena.

- Mogłabyś przychodzić tam tylko na kilka godzin.

Nawet z chłopakami.

- Fantastycznie!

Dowiedziałeś się tego wszystkiego DLAMNIE?

Irek odchrząknął zmieszany.

- Noco ty!

Czysty przypadek.

Poczuł, że źle to rozegrał.

104

(

- Mimo wszystko dziękuję, że mi przekazałeś.

Nawet nie wiesz, jak bardzo przyda mi się trochę pieniędzy.

Machnął ręką do Leśnika, że kończy przyjęcie.

Obrócił się na pięcie i odszedł niedbale, rzucając na pożegnanie cztery słowa.

- Nie ma zaco.

Irka denerwowała intensywność, z jaką czuł poważne symptomy nadchodzącego uczucia, które, jak mniemał, zakiełkowało już w dzieciństwie.

Z trudem opanowując się, by nie patrzeć w jej kierunku, wychylił setkę z gospodarnie przyniesionej przez Pępka flaszki wódki.

Rozejrzał się wśród znanych sobie od dziecka twarzy.

Większość gości albo rozmawiała z Mileną, albo kręciła się - zdaniem Irki - zdecydowanie zbyt blisko dziewczyny.

A jednak nie pamiętał, by Milena kiedykolwiek była obiektem poważniejszych dramatów uczuciowych chłopaków z osiedla.

Zdaniem zbyt wielu była po prostu stuknięta, co stanowczo dystansowało bardziej prostolinijnych zalotników.

Dziewczyna, która prasuje nawet pasek od zegarka, przerażała mężczyznę bardziej niż kobieta guma czysowiecka kołchoźnica wydajniejsza od kombajnu.

Irek starał się solidarnie trzymać stronę męskiej większości i angażować się w uczuciowo banalniejsze, a co za tym idzie - łatwiejsze do rozpracowania obiekty. Poddawanie się bez walki stanowczo nie leżało jednak w jego naturze, więc w przyczajeniu trwał przez lata na stanowisku wytrwałego obserwatora.

Wodził obojętnym wzrokiem, gdyż uporem właściwym zakochanej dziewczynie próbowała z Mariana Fortuny uczynić dzentelmena abstynenta.

Nie uniósł nawet brwi ze zdziwienia, kiedy, ku radości niedoedukowanych w państwowej szkole dzieci, z atlasem ornitologicznym w ręce malowała potajemnie na betonowych płotach kolorowe ptaki.

Nawet to, że skradała się do biblioteki tylko po to, by nie bacząc na reguły i alfabet, wedle znanego sobie tylko klucza poprzestawiać na półkach książki,

nie zburzyło stałości jego uczuć, zaostrzając jedynie rozbudzoną w dzieciństwie ciekawość tajemnic drugiej płci.

Odgrywanie niezaangażowania w sprawy bliźnich zawsze było tym, co Irkowi Błademu wychodziło najlepiej.

W większości wypadków nawet udawanie było zbędne, bo Irka los tego padołu i błąkających się po nim baranków mało zazwyczaj obchodził.

Co innego los własny.

Tu sprawy przedstawiały się zgoła inaczej.

Każdy porządny Polak odurodzenia ma wpojone, że najważniejszą cnotą jest pilnowanie własnego nosa.

Ten cel powinien wskazywać mu podmiot każdego postępowania, jak wymierzony w pierś grot wielkiego wektora.

Jednym zaś podstawowych składowych tego wektora była umiejętność dbania o własne i tylko własne interesy.

Irek potrafił doskonale bronić tego stanowiska, ale teraz wpadł w pułapkę swojego światopoglądu.

Skoro wszystko, co robił, robił wyłącznie dla siebie, jaki był cel pomagania Milenie?

Bo nie miał wątpliwości, że taki cel musiał istnieć.

Spojrzał, jak wychodzi z baru, nie zwracając uwagi na nikogo.

Za nią szła Błada, hałaśliwie besztająca i waląca torebką Pępka, który najwidoczniej zamierzał nocować dziś pod stołem w pubie.

Pępek był niski i chuderlawy, siostra zaś odziedziczyła potężną figurę po matce. Miała nie tylko rozłożyste biodra, potężne dłonie i stopy, wydatny brzuch, ale też znaczny wzrost.

Ponieważ jakiś niesprawiedliwy bóg rzeczy nieistotnych postanowił nierówno obdarzyć dzieci Bładych włosami, Irek miał delikatnie, acz cierpliwie posuwające się kuusom czoło, Marysia natomiast fryzurę bujną jak murzyński zespół gospel w pełnym składzie.

Nikt nie pamiętał, jakie włosy przydzieliły siły wyższe Pępkowi, bo ten, wytrwale hołdujący modzie na twardziela, od zakończenia popularnej swego czasu Zasadniczej Szkoły Cukierniczej im.

Rusałki golił głowę na łyso.

Czaszkę miał zresztą wzrusza 106

jąco jajowatą i malutką, co zupełnie nie przeszkadzało mu jej eksponować.

I choć nikt tak naprawdę nie pamiętał, skąd wziął się pseudonim Pępka, wszystko wskazywało, że zanażwęte odpowiadała jego śmiesznie wydłużona łysoagłowa, łudząco podobna do wystającego pępka.

Ów szczerólny kształt, nie stanowiący najmniejszego problemu dla Pępka, był dla jego matki prawdziwym przekleństwem wspomnień trwającego dwa dni porodu.

I choć urodziła później czwórkę dzieci, te czterdzieści osiem godzin poświęceń dla przedłużenia gatunku rodziny Kowalczyków dały bohaterkiej rodzicielce doskonały temat dorozmyślań i dysput na całe długie życie.

Pępek kilkakrotnie dawał jej dozrozumienia, iż nie przepada, gdy matka w szem i wobec rozgłasza swe podejrzenia, jakoby uszkodzony przy ciężkim porodzie syndoznał także lekkiego uszczerbku na zdrowiu psychicznym, wynikiem czego był delikatne zapóźnienie umysłowe potomka.

Niestety, rodzicielki zainteresowanego, jak każdej wiedzionej intuicją matki, nie dało rady w żaden sposób przekonać do zaprzestania snucia druzgocących w swej logice domysłów.

Na jego nieszczęście pech nie opuszczał także chłopaka Bladej w kontaktach z innymi ludźmi, bo od zarania dziejów przy najdrobniejszej potyczce Pepek walony był zawsze po tym właśnie nieszczęsnym i umęczonym porodem łbie.

Sama Maria Blada w ich intymnym związku kwapliwie ten zwyczaj kultywowała.

W końcu nawet matka straciła rachubę, czy lekka tępota, o którą podejrzewała synalka, wynika li tylko z powikłań położniczych, czy również przyczyniły się do tego wstrząśnięcia, jakich doznawał przy notorycznych urazach jego niczym nieosłonięty czerep.

W istocie Pepek był najzupełniej normalny, a struganie przed matką wariata uważał za dość przyjemną formę obrony - najpierw przed sprawowaniem opieki nad czwórka rodzeństwa, a później przed nagabywaniami do podjęcia uczciwej pracy.

Ten idealny niepisany układ zupełnie nie sprawdzał się miłosnym związku z Marysią Bładą. Boprzysłowiowasubtelność niewieścianigdy nie była mocną stroną siostryIrka.

Uważała, że grzechem byłoby, gdyby kobieta ojej aparycji i ztakimi fizycznymi możliwościami marnowała energię na czcze rozmowy.

Toteż własne porachunki z ukochanym załatwiała wyłącznierzękoczynami, dziwiąc się przytym wielce, że żadne z jegorodziców nie przeciwiczyło tejskutecznej metody znacznie wcześniej.

Pępek, któryswojego czasugotów był poślubić Bładą i wniknąć do klanunajlepszego kumpla, dziś wiedział, że weselne obrączki byłybysmutnym końcem jego beztroskiego żywotajako bezrobotnego obiboka.

Rozsądek podpowiadałmu, iż lepiej będzie oddzielaćmiłość od prozy życia.

Tej odkrywczej teorii zupełnie niepodzielała Błada, okładająca wtej chwili surową ręką kobiecej sprawiedliwości drobnego Pępka.

Nic dziwnego, że swoimwyglądem i zachowaniem ściągali na siebieuwagęwszystkich gości.

NaMilenę patrzył

chyba tylko Irek.

Miałażaróżowione od dymu i alkoholu policzki, a spiętew kucyk zwichrzone włosyśmieszniezwiślały na jedną stronę.

Jeśli taka fryzuramiałaśwoją nazwę, on jej nieznał.

Uśmiechnął się.

Zdaniem Irka w pisaniu o miłości wszystkie zawody wygrywali Rosjanie i Latynosi. Zawszeich bohaterom udawałosię dopiąć celu lub wrazie niepowodzeniaskutecznie zesobą skończyć.

Taka romantyczna perspektywa może byćpociągająca dla siedemnastolatka, ale dla dojrzałego mężczyzny, który wystarczającodobrze w życiu poznał smakmiłosnej klęski, była zbyt prosta, wręcz nierealna.

Cierpienie z miłości było wypadkową mocy hormonów i głupoty.

To proste przekonaniepozwoło mu latami durzyć sięwMilenie bez ran i poczucia krzywdy.

Ichoć wspaniało108

myślność nie leżała w jego naturze, wybaczał jej niedorzeczne wybory,zainteresowanie innymi mężczyznami, kretyńską pomyłkę z Marianem idziesięć przegranychlat nieudanego małżeństwa.

Fakt, że była w zasięgu wzroku, rekompensował skutecznie wszystkie potknięcia.

Po udach przeszedł mu całkiem przyjemny dreszcz.

- Cholera jasna, tylko nie to!

- powiedział dosiebie,a potem ostro zbeształ się w duchu.

Widział, jak niewiele Milena zmieniła się od czasówpodbawówki.

Prawie wcale.

Trochęsię zaokrągliła, urosły jejdersi, zaczęła malować usta.

Szczegóły.

Odwrocił oczy, by nie myśleć otym, o czym tak bardzoi chciał myśleć.

Jego wzrok spoczął naLeśniku, który również nie zważała awanturę między Pępkiem a Bładą.

Właściciel knajpyzerwał się zza kontuaru iwydając jakieś polecenie, podbiegłdo.

Mileny.

Podał jej płaszcz i coś zaproponował.

W tymgwarze Irek nie mógł słyszeć, co mówi, lecz wydawało mu się, że zaproponował jej odprowadzenie do domu.

Milena pokręciła przeczącogłową i wskazała wstronęBladej ijej kochasia.
Gest ten w świetle rękoczynów,dokórych aktualnie dochodziłomiędzy jej opiekunami, wydawałsię okropnie żałosny.

I wtedy - Irek niewierzył własnymOczom - Leśnik chwycił własną kurtkę i nie bacząc, że bar(Jego najukochańsze dziecko) zostaje bez opieki, ruszył zaMileną.

- To pieprzony kutas!

- zabluznił Irek.

-Podstarzały,^olerny casanowa!

Zaskoczony zauważył, że trzęsie się, jakby dostał czter^ziestostopniowejgorączki, choć niedawno był stuprocen^Wo zdrowy.

Przez ułamek sekundy pomyślał,że coś mu^ało mu zaszkodzić, bo nigdy w życiu nie doznał podobne60 uczucia.

Krew gotowała się w nim jak kipiący makaronw za małym rondlu.

Coś musiał zrobić, i tozrobić tak, żebys1^ nie ośmieszyć.

2 braku innych pomysłów chwycił słaniającego się Pęp

109.

ka za koszulkę i jednym ciosem w centralny punkt jego zaprutej gęby rozłożył go na łopatki.

Później tłumaczył na komisariacie, iż chciał w ten sposób świadomości ostrze, że zamiast szamotać się do rana ze swoim chłopakiem powinna wraz z przyjaciółką wracać do domu.

Niestety, nim zdołał cokolwiek wyjaśnić, w Leśniksie

rozszalała się prawdziwa wojna.

Gruby Karol, którego nigdy nie trzeba było zachęcać do bójki, trzepnął w głowę najpierw stojącego po jego prawej stronie Leona, a potem siedzącego po lewicy krzepkiego grabarza.

Leon zatoczył się wprost w ramiona pijącego posłuzbie ochroniarza, a nawykły do machania łopata grabarz chwycił ciężki barowystołek i zaczął nim okładać wszystko, co miał w zasięgu. Szło mu to nadzwyczaj sprawnie.

A żelubił robotę nieskomplikowaną i monotonną, walił równo i sprawiedliwie: po ludziach, meblach, a nawet przeszklonych oknach.

Szkoło sypało się, gruby Karol sapał z zachwytem, a muzyka z nowej wieży Leśnika wylała jak opętana w kółko jeden i ten sam zapętlony kawałek.

Ktoś musiał złośliwie podkręcić fonię, bo dobiegający zgłośników hałasnie dość że rozsadał uszy, to zbudził jeszcze dwie okoliczne kamienice.

Najgorsza wada tego hałasu ujawniła się jednak dwa

kwadranse później, kiedy nikt nie usłyszał zbliżającego się sygnału interwencyjnego patrolu.

Irek po raz pierwszy tego dnia podziękował Bogu.

Patrząc na kapiącą z nosa krew i oderwany rękaw koszuli, dziękował za to, że nie włożył butów i garnituru Lali.

Dziękował matce za ohydne ręczniki w pawie, przez które odechciało mu się stroić, i Pępkowi, że nie żywi do niego urazy.

Rozsadzające go zadowolenie sprawiało, że mijające trzydzieste urodziny wcale niewydawały mu się takie kiepskie, na jakie początkowo się zanosili.

110

9

Sześć godzin później, kiedy policja ustaliła sprawców zbiecia sześciu szyb (w tym dwóch w policyjnym radiowozie), a resztę podejrzanych wypuściła do domu, Ireneusz Błady miał niepowtarzalną okazję przemyśleć swoje życie.

Na ponuro egzystenjalny charakter jego zadumy miało niewątpliwie mocno wstawione męskie towarzystwo zapelniające ciasną salkę aresztu.

Wydarzenia ostatniej nocy były najlepszym dowodem na to, że kobiety rozmiękczały mężczyznom mózgi czy Yniąc z nich niestrawny, przesłodzony budyń.

Źródła własnej zguby upatrywał w dniu, kiedy Milena przyśniła mu się ciężko chora, prawie konająca.

Nienawidził tego typu 11 ^ów, a ten był bardziej przykry od innych.

Irek nie był ps^ny, czy działo się to na dzień, czy na dwa dni przed tragiczną śmiercią Mariana i czy sen ten aby nie był jakimś zawyłym^proroctwem budowlanego wypadku, ale całkowicie zburzył spokój jego światana długi, długi czas.

Siedział tamtej nocy do świtu, wpatrując się w wygaszone okna śpiącego miasta i próbując wyobrazić sobie nadchodzący dzień bez niej.

Okazało się, że nie dał rady.

Świat bez Mileny, miasto, dzielnica, ulica, a nawet (w szczególne

ści) on sam bez niej wydawał się pozbawiony najważniejszego elementu istnienia - duszy.

Przeszył go wówczas metafizyczny smutek, jakby strata, której doznał, nie była jedynie snem, ale najprawdziwszą bolesną rzeczywistością.

Wówczas to Irek bezinteresownie zapragnął czegoś dla kogoś innego niż on sam i, choć nie zwykł się nigdy modlić w czyim imieniu, prosił Boga, aby Milena żyła i miała się dobrze. Kiedy nadszedł ranek, a wraz z nim trzeźwy osąd, zawstydził się swojej patetyczności.

A jednak coś z obszaru snu przeniknęło do jawy: Irek zupełnie świadomie zatęsknił za Mileną.

W wieku trzydziestu lat i jednej trzysta sześćdziesiątejpiątej roku Ireneusz Blady leżał na wąskim łóżku w kawalerskim pokoiku mieszkania swoich rodziców.

W łazience był pies, którego jeszcze wieczorem tam nie było, azaciekawiona twarz matki zawisała nad nim jak lampa w policyjnym pokoju przesłuchań.

- I co, dowiem się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

- zapytała z troską.

Musiała tymbardzo ująć syna, bo bez wahania postanowił wyznać matce całą prawdę w jednym jedynym zdaniu.

- Miłość napadła mnie jak rozpęta naprzec Mariana letnia burza- stwierdził po prostu. (Matka nie zwróciła najmniejszej uwagi na jego słowa, biorąc je przytomnie za pijackie brednie).

Powiedziawszy to, Irek przyłożył twarz do poduszki i, jak miał to zwyczaj czynićcodziennieod trzydziestu lat, zasnął snembezbronnegodziecka.

Tym razem śniły mu się Kaśka, Milena, Eleonorai Błada, zajądające się zgodniejedną wielką okrągłą rybą.

Gdyz przerażeniem odkrył, że pod postaciaryby kryje się znanymuz jawy nieboszczyk Marian, obudził się zdeorientowany.

Ryba, która od dłuższego czasu prześladowała we śniecałą dzielnicę, zdaniem matkiwróżyła pieniądze.

- Oby tak było!

- Irek ziewnął i przeciągnął się.

-Fortuna dla całej dzielnicy.

Niestety,na ziszczenie się snu należało widocznie jesszczetrochę poczekać, bozamiast deszczu pieniędzy na Irka i jego znajomych spadły kłopoty.

Miały one związek z rozchodzącą się lotem ptaka wiadomością, że z pubu Leśnika wyniesiono szafę grającą,pośredniego sprawcę nocnego aresztu.

Nikt specjalnie jejnie żałował (choć byłapioruńsko droga), ale podejrzenie o jej kradzieżpadło na wszystkich uczestników wczorajszej bójki.

Miejscowa policja nigdy nie grzeszyła bystrością, ale nawet oni przypominalisobie, że nikt z aresztowanych przez

112

nich osób(a aresztowanodokładnie wszystkich) nie miałprzy sobiezteroczęściowej wieżymarkiYamaha.

Na nieszczęście Bladej, z którejdo rana złość naPępkacałkowicie wywietrzała, niektórzy uświadomili sobie, że doaresztu nie trafił jej chłopak.

Stało się tak nie dlatego, że byłon poza wszelkimi podejrzeniami, ale dlatego, że na wpółprzytomnego odwieziono go innym radiowozem wprost naulicę Kilińskiego do Izby Wyrzeźwień.

- Czy oni wyobrażają sobie, że Pępek miał głowę tachaćze sobą tę całą szafę grającąLeśnika?

- płakała Błada.

-Jakim sposobem?

No, racja.

Pępek nie mógł miećgłowy do takiego wyczynu, lecz policjanci byli najwidoczniej innego zdania.

Musieliśzybko ustalić głównego podejrzanego, więc padło na Pępka.

W tempie błyskawicy rozniosło się po okolicy, że Pępeknie tylko skutecznie zakrecił siękoło wieży z pubu, alezdążyłjuż znaleźć na nią kupca i nawet dobrze sprzedać.

Tymczasem nieświadomy niczego winowajca dochodził do siebie w Izbie W.
, zwanej potocznie żłobkiem.

Irek czuł się przybity zaistniałą sytuacją.

Miał też niejasne poczucie winy, że poważnie przyczynił się do nieszczęsnego zamieszania wokół chłopaków i Pępka.

Im dłużej jednak wszystkim myślał, tym bardziej niezawodna intuicja Bładych podpowiadała mu, że żadna kradzież nie miała miejsca, a całą sprawę sfingował pazerny Leśnik.

Od wczorajszego wieczoru lubił go jakby trochę mniej.

Patrzył z wdzięcznością na musującą w szklance aspirynę, którą wygrzebał z kieszeni spodni.

Właśnie odebrał jeszcze jedną małowbudującą lekcję biznesu: nie wierz dobrze "ubezpieczonym kombinatorom, bo pozorne straty zawsze zamienią w zysk.

Jego zdanie podzielali zresztą wszyscy co bystrzejsi znajomi, nie poddający się bezkrytycznie wierze w bezsensowne podejrzenia rzucane na Boga ducha winnego Pępka.

Mimoto Irek czuł się przygnębiony.

W radiu na niemal

113.

wszystkich kanałach nadawali piosenki o nieszczęśliwej miłości na przemian z ponurymi wiadomościami o przekrętach w rządzie.

Rząd miałaby chwila zmienić się na inny, lecz pewnie niewielelepszego.

Oznaczało to, że złotówka straciła do euro, a ceny w sklepach wzrosną o kilkadziesiąt procent.

Irek wyłączył radio.

Żadna z audycji nie poprawiła mu humoru.

W łazience przeraźliwie jęczał pies, którego matka litościwie przyprowadziła do mieszkania na noc.

Rokrocznie dorabiała w wakacje, pilnując psów tych sąsiadów, których było stać na dłuższe wyjazdy.

Było to zajęciem marnie płatne, jednak pani Błada uwielbiała przechadzać się po okolicy z pajączką smyczy w jednej dłoni i pękiem kluczy w drugiej.

Czuła się wówczas niekwestionowaną królową osiedla.

Zatrzymywała się pod mieszkaniem swoich podopiecznych, wyprowadzała pieska na spacer, wietrzyła pokoje.

Najbardziej jednak lubiła oglądać wystrój mieszkań, kontemplować rozkład mebli, dobór tkanin i dywanów.

Czuła się wówczas jak gwiazda, którą reżyser obsadził właśnie w nowym, nieznanym jej bliżej filmie.

Matka Irka szczególnie lubiła domy, w których było dużo książek.

Zapach papieru miał w sobie coś religijnego, kaplicznego i wzniosłego.

W domu Bładych również znajdowało się kilka książek, stale wymienianych przez Irka na coraz to inne egzemplarze.

Nie pytała, skąd się biorą i dlaczego od razu znikają, tylko stawiała je obok swej niemodnej kolekcji kryształów i cieszyła nimi oczy.

Matka rzadko zmieniała reguły rządzące jej pracą, więc wszystkim zdziwiło, że wczoraj zdecydowała się przyprowadzić jednego ze swych psów na noc do domu.

Irka śmieszył fakt, że w noc, którą spędził w areszcie, jego matka pocieszała pod kołdrą cierpiącego na chorobę sierocą pitbulla.

Osobliście uważał to za poważny błąd.

Pies nie tylko nie grzeszył urodą, ale na domiar złego mógł okazać się nieobliczalny, czego konsekwencje ponosiliby wszyscy.

Teraz

114

to samo uciążliwe zwierzę demolowało ich ciasną jak wnętrze zagraconej szafy łazienkę.

Irek próbował porozmawiać z psem spokojnym tonem, tłumacząc, że matka jest w kościele i do czasu, kiedy z niego wróci, nie ma szans, żeby ktoś się nim zajął.

Pitbulloczywiście nie zrozumiał z tego ani słowa.

Myśli najwidoczniej, że matka dzieli się z nią kasą, więc mam w stosunku do niej jakieś zobowiązania.

Alenic z tych rzeczy!

Irek złożył dłoń w tubę i krzyknął przez nią w kierunku łazienki:

- Nic z tego!

Psy mnie nie obchodzą.

Obcy gatunek, rozumiesz?

Wystarczająco dużo mam dziś kłopotów z ludźmi.

Pies na chwilę zamilkł, Irek odetchnął ulgą.

Nie na długo.

Popięciu minutach był jak opętany.

Irek Błady chętnie podzieliłby się z kimś uwagą na temat błędów ewolucji, którym bez wątpienia było nieprzystosowanie zwierząt domowych do załatwiania się w muszlach klozetowych, ale nie było w domu nikogo poza pitbullem.

Był prawdziwie ojciec, ale również onnie był zainteresowany tematem psa.

Dał do zrozumienia, że jest kaleką i jakotaki nie będzie nikogo ani niczego wyprowadzał na spacer.

Podkreślił, że on także niema udziału w zyskach z dorywczej pracy mamy.

- No, jasne.

- bąknął Irek.

Bez entuzjazmu wziął smycz, kurtkę i pieniądze na fajki.

Rozradowany pies podskakiwał na wysokość, o jaką ani ojciec, ani Irek nigdy by go nie podejrzewali.

Po nieprzespanej od hałaśliwego skowytu nocy nowa umiejętność psa wydawała się całkiem miłą odmianą.

- Pitbull to rasaprzypominająca Bładych - zawyrokował ojciec poprzyjrzeniu się psu z bliska.

- Z pozoru małe to nieurodziwe, ale jak trzeba, skacze do gardła jak nawałony aligator.

Potych pełnych głębokiej mądrości słowach stało się jasne, że pies został zaakceptowany.

Początkowe obawy matki co do wojowniczego charakteru psa.

ru psa okazały się równie bezzasadne jak wielkie nadziejeojca.

Bladysenior twierdził, że pod nieobecność właścicielkibędzie można dorobić parę groszy do renty inwalidzkiej, wystawiając psa na organizowane za miastem nielegalne psiezawody.

Hipotetycznepieniądże przeliczał tak długo, dopóki niezapoznał się z pitbullem osobiście.

Podstarzała psina, wzięta w szczeniectwie omyłkowo za ratlerka, została przygarnięta litościwiwej wychowywana od urodzenia przezemerytowaną nauczycielkęłaciny.

Nic dziwnego, że była łagodnajak baran.

- I tak samo głupia - skwitował ojciec, napróżno próbując szcućpsa na załatwiającej się na parapecie tłuste gołębie.

Pies naskutek porzucenia w zbytwcześnieymdzieciństwie nabawił się nieuleczalnych kompleksów.

Do tego doszły paranoiczne lęki przed ciemnością, samotnością i innymi psami.

Wszystko to, co dyskwalifikowało go jako psiegomordercę, sprawiało, iżdla nauczycielki łaciny stał się idealnym i spolegliwym towarzyszem życia.

- Zdaje się, że depresja kundlowiminęła -złośliwie zauważył ojciec, z satysfakcją moszczący się na wersalce.

Jego uwaga została dyplomatycznie puszczone mimouszu.

Na spacerze, nim pies zdążył obsikać jedno z żałośnie rachitycznychdrzewek porastających skwer przy ulicy, Ireneusz Blady z zaskoczeniem zauważył, że tkwi przed kamienicą Mileny.

Uwiązany dojogoreki pitbullwłaśnie z ulgązałatwiał swoją potrzebę.

Stali tamjuż dłuższąchwilę.

Za długo jak na zwykłegospacerowiczai zbyt krótko jak naczłowieka, który miałmnóstwo czasu.

Niepamiętał, by to miejsce miało być celem jego wędrówki.

- Tak - mruknałdo siebie.

- Ostatnio dzieją się ze mnąnaprawdę dziwne rzeczy.

116

Przed kioskiem, doktóregowreszcie trafił Irek Blady, stało dwóch znajomychmężczyzn.

Każdej niedzieli wychodzili elegancko ubranize swoimi żonami do kościoła, leczrzadkodocieralidalej niż do budki z prasą ipapierosami.

Chyba że lało jakz cebrą.

Wtedy zbrakulepszych propozycji chodzili się pomodlići zdobywali sobie punkty w loteriiniebiańskiego bingo.

Dziś pogoda dopisała, więc stali podprzedwcześnie pożółkłym kasztanem i debatowali o czymśbez pośpiechu.

Jedenz nich był wujkiem ze stronyojca, z drugim zapewne też łączyło Irkakajakieś pokrewieństwo, ale nie próbował nawet dociec, jakie.

- Stary w domu?

- zapytał prawdziwy wujek, jakby ojciecgdziekolwiek kiedykolwiek się oddalał.

- Mhm.

-Pies wasz?

Irek rozejrzał się, czy ktoś jeszcze dostrzegł go z pitbullem, bonabierał podejrzeń, że razemgłupio wyglądają.

- Nie.

-Szczeniak - stwierdziłdrugi, domniemany wujek.

- Przecieżwidać, że nie szczeniak.

To stary pies, ma conajmniej pięć lat.

- Mały jakiś.

-Nie mały, tylko krzywy!

Mężczyzna skrzywił się i pokręcił z dezaprobatą głową.

- Bo to taka rasa - wyjaśnił grzecznie Irek.

- Pitbull.

- Ślepy nie jestem - dalszy krewny miał widocznie kiepski humor.

Irek nie miał zamiaru popadać w konflikty z powodupodopiecznego matki.

- Coś słyhaćna świecie?

- zmienił temat.

Okazało się, że tak.

Wujek wskazał na drogę.

- Od kiedy ścięlibzy przy śmietniku, ludzieźle jeżdżą.

Rzeczywiście, obok istniejącego skrótu do wypożyczalniwideo niedawno utworzył się zupełnie nowy.

Alternatywnądrogęprzeryły opony ludziprzyjeżdżających tu zpółnocnej

117.

części osiedla.

Skwer, zaprojektowany na zieleń miejską, wyglądał jak plac po rodeo.

Krewny ze strony ojca wyrzucił niedopałek na chodnik, pozwalając, by zajął się od niego leżący obok suchy liśkasztanowca.

- Ludzie nic nie dbają o swoje otoczenie - zawyrokowałam smutno, patrząc na gliniasty plac.

Mężczyznom nie pozostawało nic innego jak się z nim zgodzić.

Prawda była taka, że Irek nie lubił przypadkowości i bezprawia, któremu wszyscy (łącznie z nim samym) tak skwapliwie hołowali.

Regularność i pozornie nudna symetria budziły natomiast jego nieskrywaną zachwyt. Słyszał, że na świecie są miasta, w których wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym. Kąt prosty tam znaczył zaś dokładnie 90 stopni, nie zaś 93, 86 czy wręcz siedemdziesiąt parę. Gdyby amerykańscy budowniczowie dróg pomylili się choćby o kilka stopni, a nawet minut, budując którąś z centralnych Avenue, Nowy Jork rozlałby się jak koślawy latawiec. Początkowe nieznaczne przesunięcia po kilku czy kilkunastu kilometrach urosłyby do niewyobrażalnych wielkości i Amerykanie wciąż błądziliby po zwichrowanych labiryntach Wielkiego Jabłka.

Ten nadnaturalny ład domagał się oczywiście burzenia, domieszki chaosu, do którego dały nieuporządkowana zewnętrznie i wewnętrznie ludzkość.

W owej podświadomej, choć na wskroś niszczycielskiej ciągocie upatrywał Irek przyczyn upadku wszystkich imperiów, starożytnych cywilizacji, a nawet runięcia solidnych i prostych jak dwie gigantyczne zapalki nowojorskich biurowców.

Miasto, w którym żył on i cała jego rodzina, karmiło się szczęście chaosem.

Nic z zewnątrz nigdy mu więc nie zagrażało.

Ulice, które na mapie wyglądały schludnie i prosto, w rzeczywistości wiły się na podobieństwo poskręcane

118

kłębka drutu, wyciągniętego z otchłani piwnicy.

Przez całe lata właściciele posesji zagradzali alejki i chodniki po to, by sameochody wyznaczały sobie nowe trasy.

Kto inny umacniał nowe trasy kamieniami i betonem, aż wreszcie zacierała się różnica między starą a nową ulicą.

W końcu wszyscy tracili racjonalność.

Przyszedł czas narysowania nowej mapy osiedla, lecz nie było śmiałka, który miałby odwagę podjąć się syzyfowej pracy.

Tym samym wszystko musiało pozostać po staremu, skrzycone i wybrzuszone tak bardzo, że aż powoli i konsekwentnie z powrotem zbliżające się kształtem do linii prostej.

Możesz tego powodu nikt nie kwapił się zwymianą nic niewartych planów?

Czy mógł istnieć ktoś, kto przewidział powrót pograżonego w rozkładzie miasta, a koniec końców całego państwa, pierwotnej symetrii?

Irek przypuszczał, że tak właśnie było.

Ktoś przewidujący imądry jak sam Bóg czuwał nad Polską, nie pozwalając tracić energii i prostowanie czegoś, co i tak samo się wyprostuje.

10

W samym środku tygodnia, o ósmej rano.

Leśnik zjawił się w komisariacie celem wyjaśnienia cudownego powrotu szafy grającej na swoje miejsce w pubie.

Zwykle zamykał lokal około drugiej i nigdy nie wstawał przed dziewiątą.

Nic dziwnego, że poranne przesłuchanie zupełnie wytrąciło go z równowagi.

Leśnik był pewien, że wyznawana przez niego wiara w siłę pieniądza znacznie przerasta siłę wynikającą z władzy munduru. Na jego nieszczęście policjant był dokładnie przeciwnego zdania. Podziękując mu w minutach przesłuchania, obaj zrozumieli, że na własnych poglądach raczej nie zbudują porozumienia.

- Więc twierdzi pan, że pomodlił się pan do świętego Antoniego Padewskiego, by sprzęt się odnalazł, i ten się odnalazł, tak?

- Policjant spisujący zeznania wbił w Leśnika ironiczne spojrzenie.

- Czy ma mnie pan za idiotę?

- Mniej więcej.

Nigdy nie należy lekceważyć wiary.

Przesłuchiwany usiłował nadać swej twarzy wyraz niezbitą pewność siebie.

Numer udał musieć przeciętnie.

- Czy wcześniej odebrał pan z zakładu ubezpieczeniowego świadczenie za stracone mienie?

W odpowiedzi Leśnik sugerował kłopoty ze słuchem.

- Piszę, że zaszło wyłudzenie - ostrzegł policjant.

- Niech pan poczeka - Leśnik odzyskał stracony słuch.

- Ja tę szafę grającą tylko odkupiłem za pieniądze z odszkodowania.

Więc chyba postąpiłem zgodnie z prawem?

Znasie panna prawie, prawda?

Policjant mruknął coś pod nosem, bo podczas szkolenia zawsze przysypiał na nudnych zajęciach z prawami w tej dziedzinie nie czuł się ekspertem.

Stokroć bardziej od gadania z oszustami, złodziejami i paserami wolałby gonić ich rewolwerem po ulicach, ale nikt z szefostwa nie dawał mu tej szansy.

Podobno w policji nie było pieniędzy na broń, więc funkcjonariuszy przesuwano się za biurko.

Miał trzydzieśc cztery lata i nie wystrzelił nawet jednego naboju w akcji.

Czuł się tak sfrustrowany, że dla polepszenia nastroju postanowił postraszyć

Leśnika kajdankami pałką.

Tedwa akcesoria sprawujące władzę mężczyzny miał przynajmniej w służbowej szafce.

Dwadzieścia minut później wezwał do siebie Pępka i zrobił to samo.

Dając świadectwo swej egalitarnej uczciwości, poczuł się znacznie lepiej.

Tego wieczoru Leśnik kładł się do łóżka, marząc o czystej karierze.

Śnił o państwie idealnym, bez wyrzutków pokroju tego pawego policjanta.

Pępka i jego kumpli.

Doszły go słuchy, że Irek z Pępkiem szukają dojścia do policjanta.

Niepraktykowana, jak dotąd, zażyłość chłopaków z władzą nie wróżyła jego planom nic dobrego.

Zgasił światło, strącając

120

z półki kryształową cukiernicę pełną latami gromadzonych grosików.

Jego skąpa jak rodowity Szkot była żona uwielbiała ją.

Zaklął, kierując siarczyste słowa w kierunku Pępka.

Żałował, że druga wojna światowa skończyła się, nim Niemcy zdążyli rozprawić się z całym zastępem na Wschodzie ludzkim bagnem.

Gdyby od niego zależała historia, wszystko potoczyłoby się całkiem inaczej.

Nie, żeby nie uważał się za patriotę.

Wręcz przeciwnie.

On, jako jeden z nielicznych, dbał o przyszłość swojego kraju.

Tej zaś nie powinno budować czterdzieści milionów cwaniaków, złodziei i alkoholików.

Wystarczyłoby wyeliminować nierobów, pijaków.

Cyganów i niekatolików, a kraj wyglądałby znacznie lepiej.

Leśnik długo rozmyślał, kogo zeznajomych mu ludzi, oprócz siebie i księdza

proboszcza, pozostawiłby w tej idealnej krainie, lecz nie przychodziło mu do głowy.

Po kwadransierozmyślań i wyeliminowaniuproboszczaz utopijnego państwa czuł, że został na świeciesz jak palec.

Wiatry, któreowiewały puste szczyty doskonałości, dopadły i jego.

Bezskazy i wątpliwości Leśnik, zmęczony myśleniem, zasnąłsnem sprawiedliwego.

Nieskazitelny obywatel czuł sięsamotny.

Było to całkiemoczywiste, zważywszy na to, że Biblia zachęcała mężczyznodo płodzenia potomstwa i przygarniania pod swój dach słabych kobiet, a on wciąż nie miał z kim dzielić się przepełniającym go religijnym miłosierdziem.

Nieudane, krótkotrwałe małżeństwo składał na karb tamtej kobiety, pierwszej żony, niewartej anijego, ani jegopieniędzy.

Już na salirozwodowej odgrażał się, że znalezienie stokroć lepszej następczyni nie sprawi mu najmniejszego problemu.

Tymczasem lata płynęły, a praca w pubie nie sprzyjała nawiązywaniuwłaściwych kontaktów.

Do czasu, kiedyostatniejsoboty nieujrzałw nim wdowy.

Sam fakt, że Milena z wyższością traktowała chłopaków pokroju Pępka i Irka Bładego, był wystarczającą rekomendacją

121.

jej charakteru.

Doinnych zalet dziewczyny zaliczał pracowitość i, co najważniejsze, duże, samodzielne mieszkanie.

Mieszkającą podnią staruszkę łatwo byłoby pod bylepretekstem wykurzyć, a wówczas mała kamieniczka stałabysię bez trudu dużym rodzinnym domem.

Jego domem.

Leśnik odnotował też kilka wad Mileny: miała denerwujące obycie dzieci, chude ręce i nogi oraz dziwaczną skłonność do przebierania się i snucia niedorzecznych, dziecinnych marzeń.

Nie było w tym jednak nic, z czym człowiek jego pokroju nie mógłby sobie poradzić.

Z zadowoleniem zatarł dłonie.

Głowa do dobrych interesów wciąż stanowią najcenniejszy majątek Leśnika.

Poklepał opuszczone przez żonę miejsce na prześcieradle.

Nie bezprzyjemności w samotny wieczór fantazjowało tym, jak ładna, zgrabna, pracowita i doświadczona będzie Milena po drobnej obróbce, jakiej ją podda.

Intuicja podpowiadała mu, że obdarzona takimi przymiotami kobieta stanowi doskonały bonus dla samotnego, porządnego mężczyzny.

Pracę nad swożeniem wdowy wykonał w sobotę, kiedy w odruchu tak charakterystycznego dla niego miłosierdzia postanowił odprowadzić ją do domu.

Zrozumiał, że zaferował zbyt wiele, kiedy następnego ranka pamiątką poprzyjemnym wieczorem pozostały potłuczone szyby i doszczętnie demolowany lokal.

Straty materialne i psychiczne Leśnik wybaczył jednak łatwiej, kiedy Państwowy Zakład Ubezpieczeń bez większego problemu wypłacił mu grubo naciągniętą (przezornie i na wszelki wypadek) sumkę odszkodowania.

W przeciwnym wypadku uważałby tamtą noc za wyjątkowo pechową.

Pocieszając się odzyskanymi pieniędzmi.

Leśnik gotów był uznać ją nawet za całkiem udaną, a Milenę za kobietę dla niego stworzoną.

122

; Co działo się tej nocy z ukradzioną z pubu Leśnika grającą szafą, tego nikt oprócz właściciela do końca nie wiedział.

Sam Leśnik zaś wykazywał w powyższym temacie tak daleko idący zanik pamięci, że w wieczornych fantazjach o świetnym idealnym starannie omijał to jedno wspomnienie.

Nazajutrz postanowił umówić się z Mileną i zdziwił się, że nie poszło mu tak łatwo, jak się tego spodziewał.

Niedostępność dziewczyny na szczęście absolutnie nie zraziła Leśnika, jedynie upewniła w przeświadczeniu, że młoda wdowa jest dokładnie tą osobą, której szuka.

Po drugim kwadransie spotkania był już pewien, że ma wszystko, czego potrzebuje: świetnie prosperujący pub, pieniądze na koncie, cudownie odzyskaną szafę grającą i Milenę Fortunę, całkiem urodziwą wdowę z trzypokojowym mieszkaniem.

Jego teoria o wyższości pewnych ludzi nad innymi znowu się potwierdziła.

Na spotkaniu, które właściciel pubu uważał za niezbędne preludium do przyszłego mariażu, a Milena za grzeczność wyświadczoną znajomemu, nudziła się jak mops.

Daleka od zrozumienia właściwego celu przyświecającemu jej rozmówcy, ulegała niezdrowej fascynacji różnicami i zagmatwaniem ludzkich charakterów.

Po trzech daniach zrozumiała, że nie tylko wcale nie znała Leśnika, ale również niema zamiaru go poznać.

Nic nie zdumiało Milenę bardziej niż spostrzeżenie, że ktoś, kogo do tej pory brała za niezwykłego połączenie szynkarza z księgowym, ma tak niepojęte poglądy na życie.

Słuchała go piętnaście minut, a później postanowiła przysnąć otwartymi oczami.

Gdy dobrze skupiła się na powstrzymaniu natrętniepowracającego ziewania, jej twarz przybierała wyraz inteligentnego zafrapowania rozmówcą.

Spojrzała na siedzącą w ich sąsiedztwie Bładą i pomyślała, że podwójne randki są najgorszym wynalazkiem ludzkości.

Nieszczególnie udane narzeczeństwo Marysi Bładejz Pępkiem chyliło się ku nieodwracalnemu upadkowi, za co

123.

w jednej trzeciej ponosił odpowiedzialność Pępek, w jednej trzeciej nieumiejąca powstrzymać się przed nadużywaniem swej fizycznej przewagi koleżanka, a w jednej trzeciej Leśnik i jego cudownie odzyskana szafa grająca.

- Taaa - powtarzała Milenaku niekłamane zadowoleniu Leśnika.

- Naprawdę?

Jej uwaga skupiona była na symetrii rządzącej wzorkiemna serwecie.

- W samej rzeczy - przyznawał błyskawicznie Leśnik wdzięczny, iż poza krótkim wyrazem zainteresowania niewtrąca się do jego wywodów.

Natychmiast podejmował przerwany wątek.

Złorzeczyliwie punktualnym dostawcom, chytrym hurtownikom i całej reszcie innych ludzi, których - jak bez trudu domyśliła się Milena - Leśnik bardzo nie lubił.

- Może coś miłego ci się ostatnio zdarzyło?

- zapytał z nadzieją.

- Tak - przyznał z uśmiechem Leśnik.

Jego myśli krążyły wokół pewnej okrągłej sumki inteligentnie wyłudzonej z ubezpieczenia.

- Można wiedzieć, co?

- Noo.

- twarz Leśnika wyrażała lekkie zaniepokojenie.

Milena skinęła w jego kierunku zachęcająco.

- Wiesz.

- zająknął się, świadomy, że tylko umiejętnie zaserwowane kłamstewko może go uratować.

- Spotkałem ciebie!

Ubrał twarz w najlepszy z uśmiechów.

To niewiarygodne, jak nieprawdopodobnie wdzięczne potrafiły być kobiety za najgłupszy nawet komplement!

Milena odwdzieczyła mu się prawie tak samo udany uśmiechem, co potwierdził tylko jego mniemanie, jak doskonałym jest znawcą kobiecej duszy.

Tego typu wyznanie poczynione przez mężczyznę zwykle wzbudzało jej czujność, jednak w przypadku Leśnika, którego uznała za nieszkodliwego pomyłkę, gotowa była puścić je mimouszu.

124

Obok Leśnika i Mileny, niezmordowanie wymieniających nieszczerze uśmiechy, Maria Błada powoli pozbywała się poczucia winy, że zaprosiła do pubu Leona.

W zamian zyskiwała przekonanie, że podobne do niej duże, solidnie zbudowane kobiety przyciągają słabych, niedojrzałych chłopców.

Nad wszystkim zaś ciążyło przeświadczenie, że taki układ jest zupełnie do przyjęcia.

Leona, w przeciwieństwie do Bładej, wcale niegnębiły skrupuły związane z dysproporcją ich rozwoju fizycznego i psychicznego.

Ich ciała miały różną wagę, ale (w przeciwieństwie do dotychczasowego Pępka) na głowach rosły podobne ilości godnych pozazdrosczenia włosów.

To spostrzeżenie mig zbudowało podwaliny porozumienia i braterstwa.

Tylko Leśnik z dezaprobatą spoglądał na znajomych Miłenę

- Uważam, że cechą ludzi prymitywnych jest obfite owłosienie.

- Co? - Milena ocknęła się z letargu.

- Widziałaś rysunki prehistorycznego człowieka?

Takie w programach, o ewolucji?

i - Nooo - ziewnęła przeciągle.

' - Mają gęste czupryny, nie?

- Mhm.

; - A święci?

;- Co święci?

i - Są łysi.

^Milena wzruszyła ramionami.

- Golili sobie głowy na znak pokory.

To chyba normalne w niektórych zakonach?

- To też.

Chodziło mi raczej o to, że ludzie prymitywnie łysieją.

Milena spojrzała na mocno przerzedzone blond loki właściciela pubu i zaczęła chwytac sens jego wywodu.

Leśnik nie tylko łysiał, ale próbował dorobić do tego ideologię.

Posłałam mu uśmiech pocieszenia.

Nie obchodziły jej ani włosy Leśnika, ani cała jego głowa.

125.

- Spójrz na nich - polecił konspiracyjnym tonem, wskazując Leona i Bładę.
- Co widzisz?

- Głupie pytanie- prychnęła.

-Popatrzna ich włosy!

Milena posłusznie zrobiła to, o co ją poprosił.

Zauważyła, że bawią się nie najgorzej, zgodnie potrząsając głowami w rytm krztuszącego rechotu.

Oboje poruszali przy tymw lewo i w prawo godnymi pozazdroszczenia bujnymifryzurami. Bładabyła uczesana na miarę możliwości okiełznania swoich nieznośnych czarnych kędziorów, ale po Leoniewidać było, że szerokim łukiem omija nie tylko fryzjera, alei szczotkę do włosów.

- I?

-Są kudłaci!

- zatriumfował Leśnik.

-Prymitywnie owłosieni jak.

- Nie kończ -rozkazała.

- Jak nadal będzie ci się zdarzało wymyślać takie teorie,lepiej zamknij tę knajpę i zapisz się naodwyk do AA.

- To nie z powodu drinków.

Niezakapowałaś?

- rozczarował się Leśnik.

- Przeciwnie!

Milena podniosła się z krzesła, a wślad za nią właściciel pubu.

- Chcesz, żebyśmy poszli do ciebie?

- usiłował odgadnąć jejintencje.

Choć nie podobało mi się, że to kobieta przejmuje inicjatywę, w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko pewnemuprzyspieszeniu w budowaniuich związku.

Leśnik z trudemsam przed sobąprzyznawał się, żezaależało mu naobejrzeniu mieszkania Milenybardziej niż na skrupulatnie przestrzeganych konwenansach.

Kobietaszymbkim krokiem ruszyła do toalety, z powoduoszczędności naturalnie - koedukacyjnej.

Leśnik z trudemudawał, że ta sytuacja go wcale nie podnieca.

- Myślałem, że wdowy wolą robić to we własnym łóżku.

Milena otworzyła oczy ze zdumienia.

126

- To chyba słyszałeś o bardzo starychi niedołężnychwdowach.

Ja,dziękować Bogu, jeszcze załatwiam swoje potrzeby w ubikacji.

Leśnik zachichotał lubieżnie.

- Droczyś się.

-Nie.

- Będziemystanowili znakomity związek.

-W porządku.

Leśnik.

Ja udaję, że tego nie słyszałam,a ty, że tego nie powiedziałaś.

Leśnik zanadto byłdoświadczony, żeby nie zrozumieć, iżprzedwczesne wycofaniesię z pola miłosnych manewrówjest zapowiedzią definitywnejklęski.

Należało działać błyskawicznie, bo z poprzedniego małżeństwa wiedział, żeszybko się podniecał ipotem zbyt szybko stygl.

Jego fałszywa niczym skorpion eksmałżonka twierdziła, że powodem ich rozvodu jest paskudny charakter Leśnika, lecz on wiedział swoje.

Kobiety ze swoją powolnością peszyły go i wtedy zwykła seks było dla niego za późno.

Korzystające sprzyjającego nastroju na igraszki, przyglądziła rzadkie loki, chuchnął kontrolnie dłoń, sprawdzając świeżość oddechu, i przysuwając się do dziewczyny, poluzował pasek od spodni.

Milena, która przeżyła z Marianem ładnych parę lat, zbyt dobrze znała ten ostatni gest.

Jednym susem znalazła się przy drzwiach.

Bała się pozbawionych miłości mężczyzn, których żądza zamykała w więzieniach ich ciała.

- Czyżbyśmy się nie zrozumieli?

- ręka Leśnika szybko zakleszczyła jej ramię.

- Bynajmniej!

Doskonale rozumiałam, co chodziło o jednym nieowłosionym łbie.

- Z trudem panowała nad wściekłością.

- Ależ, kochanie.

- Nie mów do mnie "kochanie", złamasie!

- rzuciła ostrzegawczo, dając przyjaciółce przez otwarte drzwi sygnał do opuszczenia lokalu.

Chwilę później zaskoczony Leśnik, rozczarowany błyskiem.

kawieczną ewakuacją odprowadzał ich niedowierzającym wzrokiem do drzwi.

- Myślałem, że jesteśmy podobni, ale bardzo cię przeceniłem.

Milena Fortuna spojrzawszy na Leśnika z góry, odliczyła do dziesięciu wspaniale, wzięła głęboki oddech i tak uspokojona ruszyła wprost na spotkanie z nową kartą swojego życia.

- Koniec romansu Leśnika?

- zainteresowała się Błada.

- Nasz biznesmen musi być niepokojony.

Leon mi mówił, że znalazł kupca na twoje mieszkanie.

Milena zrobiła kwaśną minę.

- Ten facio jest gorszy od lewatywy.

- Też mi odkrycie!

- prychnęła siostra Irka.

- To był głupi pomysł, żeby poznała ludzi.

- Facetów.

- Masz rację, to był głupi pomysł, żeby poznać facetów - Milena mruknęła kwaśno.

Maria Błada popatrzyła na kręcącego się przed pubem Leona życzliwym okiem.

Dziś zdecydowana była bronić swego odmiennego zdania.

- Czuję, że nasz pechowy los niebawem się odmieni.

- Obyś miała rację.

Mało było rzeczy, które Milenie Fortunie zabiłyby wiarę w przyszłość.

To, co nie udało się Marianowi, tym bardziej nie miało szans powieść się Leśnikowi.

Jej optymizm podsycił fakt, że zawsze wierzyła w znaki.

Prawdę mówiąc, wierzy w nie nadal, kiedy nad słuchuje, jak wiekowa Kazimiera tłucze w sobotnią noc schab na niedzielne kotlety.

- Jeśli stuknie łup-łup-łup buch-buch - palce dziewczyny zacisnęły się przesadnie wokół kciuków - będzie to znak, że jest w moim życiu jeszcze nadzieja na coś fajnego.

Że ten, który jest mi przeznaczony, znajduje się tuż-tuż.

W przywoływaniu znaków bawiła się już jako mała dziewczynka, ale w przeciwieństwie do rówieśników nie

128

wyrosła z tego wraz z wiekiem.

Mniej miało to wspólnego z przywoływaniem duchów, a więcej z zabobonną wiarą w zaklęcie dobrego losu.

Tymczasem z mieszkania pod podłogą dobiegały najpierw dźwięki audycji o życiu chrapaszczym, a potem miarowe łupanie.

Dokładnie trzy razy.

Milena mocniej zacisnęła kciuki.

Chwila przerwy między łup-łup-łupa całą resztą trwała denerwująco długo.

- Buch!

Buch!

- rozniósł się donośny dźwięk, naktóryo tej porze nocy wszyscy normalni sąsiedzi chwytają zwykle za telefon na policję.

Jednak nie Milena, wyjątkowo dziś uszczęśliwiona.

Coś kazało jej wierzyć, że tym razem jej sekretne modlitwy zostały wysłuchane, a kiepski los wreszcie będzie mogła wynieść do piwnicy jak stare gazety.

Wszak pani Kazimiera jako nieświadome ramię przeznaczenia stuknęła dokładnie tyle razy, ile trzeba.

Na potwierdzenie nadziei dziewczyny na podwórku rozległ się niewyraźny, niezidentyfikowany dźwięk.

- To był kiepski dzień.
- szepnęła, wznosząc oczy ku niebu - ale dziękuję Ci, Boże, za wysłuchanie moich prośb.
 - Radość Mileny okazała się przedwczesna.
- Bóg boleśnie zakpił z niej, zsyłając jej, zamiast aniola o powierzchowności młodego następcy tronu Williama, starego, wyjącego pitbulla o tchórzliwym charakterze ratlerka.
- Do psa doczepiony był Irek Blady. Jednak ten drobny fakt zupełnie uderzył jej w uwagę, pozostawiając Milenę w przekonaniu, że tak jak z pechem przyszła na świat - pechowa umrze.
 - Tylko pies.
- westchnęła smętnie do siebie.
 - Co?
- zapytał Irek Blady, dla odmiany bardzo z tego spotkania zadowolony.
- Zapomniałbym zapytać: napisałaś już swój wiersz?
 - Milena patrzyła na psa i wyglądała na bardzo czymś rozczarowaną.

Od kilku dni, a dokładnie - od dnia pamiętnego snu, Irek Błady, zamiast komentować z ojcem ligowe rozgrywki, całymi wieczorami spacerował z pupilką matki i wpatrywał się w okno Fortuny.

Kiedy ta się wychylała, żeby zaciągnąć zasłony, zadawał jedno tylko pytanie: czy napisała już swój wiersz na konkurs?

Dziękował losowi, że zesłał konkurs, dzięki któremu ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać.

Dzisiejszej nocy włączył się po osiedlu dość długo, kiedy przez otwarte okna usłyszał tłuczenie na Wróbla.

Na szczęście powodem nie była żadna kryminalna afera, tylko przygotowania do niedzielnego obiadu.

Ponieważ przy takim hałasie Milena nie dałaby rady spać, zapragnął ją zobaczyć.

Tymczasem Milena, wpatrzona w pitbulla, zrezygnowana machnęła ręką.

Całe życie była niepoprawną marzycielką, ale w psy zamieniające się w księcia już od dawna niewierzyła.

- Czy widziałeś może kogoś nieznanego wokolicy?

- zapytała bez większej nadziei na pozytywną odpowiedź.

- Nie, raczej nie.

- Bo - tłumaczyła się nieskładnie - wydawał mi się, że kogoś słyszałam.

- To pewnie dziadek Leona wyszedł powspominać młodość na wsi - Irek zrobił wymowną minę.

- Wiesz, co mamna myśli?

Wiedziała.

Westchnęła ciężko.

Tak, Bóg popełnił fatalną pomyłkę, dając jej nadzieję, że szczęście może być na wyciągnięcie ręki.

Jaw przynosiła tylko rozczarowanie.

Po chwili zastanowienia Milena Fortuna uświadomiła sobie, że oprócz psama przed sobą jeszcze Irka, niezmiennie dopytującego się o konkurs poetycki.

- Po cholere pytasz mnie ciągle o ten wiersz?

- Ludzie sporo ostatnio piszą.

- Nie.

Ludzi marzą o pisaniu.

A raczej o nagrodzie.

- Masz rację - Irek spuścił pitbulla ze smyczy.

130

Żyli ze zwierzakiem w coraz lepszej komitywie.

Pies nadal wykazywał się tak zwanym trudnym charakterem i sypiał w łóżku Bładych, ale Irkowi przestało to przeszkadzać.

Jego myśli zaprzętało coś zupełnie innego.

- Pomyślałem - zaczął ostrożnie - że fajnie byłoby pogadać w taki ładny wieczór.

Milena milczała.

- Słyszałem - ciągnął - że Leśnik dał plamę.

Gdybyś miała kiedyś z nim kłopoty, daj mi znać.

Kobieta lekceważąco machnęła ręką, dając do zrozumienia, że ma pewną wprawę w postępowaniu ze świrusami.

- Podkreślał wyższość łysych nad owłosionymi.

- A niech go!

Zawsze podejrzewałem, że jest pieprzonym faszystą.

Tylko wszyscy byli zwykle zbyt pijani, żeby mi wierzyć.

Choć, szczerze mówiąc, sądziłem, że w towarzystwie takiej dziewczyny jak ty będzie się bardziej silił, by dobrze wypaść i zluzuje z wylewaniem jadu na wszystko, co się jeszcze na tym świecie rusza.

Uśmiechnęła się.

- Taki Leśnik nie będzie się wysiłał chociaż z kleczeniem wierszy.

- Przeciwnie!

- Irek usiłował pokazać, jak wygląda twarzawiedzonego bojownika w twórczym szale.

- Napisze ichże trzydzieści i w każdymda popalić innej klasie wyrzutków społeczeństwa: grubym, łysym, gołym, źle uczesany, czarnym, rudym.

Chwała mu za to!

- Jesteś szalony!

Irek przysunął się bliżej okna.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Jednak naprawdę jesteś!

- Milena usiadła na parapecie, wystawiając nogi na zewnątrz.

Irek całą swoją uwagę skupił na loku, który wyslizgnął się z jej starannie zebranych do tyłu włosów.

- Zawsze starałem się zrozumieć, skąd u sześciolatniej dziewczynki może brać się taki perfekcjonizm.

To samodziwiło mnie u dziesięciolatki, dwunastolatki, piętnastolatki.

131.

Będzie mnie pewnie zadziwiać również u dziewięćdziesięciolatki.

- Irek niepozwolił sobie przerwać.

-Myślę, że to taciekawość mnie zgubiła.

Milena parsknęła, jakby miała ochotę się roześmiać, ale zamiast wybuchnąć śmiechem spojrzała na Irka badawczo.

- Można przez ten upał.

Fatalnelato.

Każdego innegodnia, każdego innego roku Ireneusz Blady obróciłby swoje poprzedniesłowa w żart, wycofując się do sekretnej skorupy, tak ciasnej, że nie było w niej miejscana miłosne wyznania.

Dziś gotów był powiedzieć prawdę.

- Nie, to nie przez upał.

-Ja jednak sądzę, że to lato nikomu nieprzyniesie nicdobrego.

Wszystkimjak na komendę snią się ryby tęskniąceza wodą.

Czy to normalne?

- Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi.

- Irek obudziłmlaskającego przez sen pitbulla.

-Ale myślę, że nie maw tym nic niezwykłego.

Wskazał na ogromny podświetlony billboard, widocznyz odległości dwóch przecznic. Namalowana na nimrybacka łódź, stanowiąca herb miasta, namawiała ludzi do kupowania rybpuszkowanych przez firmę Kalisty.

- Ludzie powoli mają tego dość.

-Jasne.

Milena wyciągnęła przed siebie nogi.

Wciążmiała zwyczaj rozstawiania pięt i przyciągania palców do siebie.

Irekpomyślał, że wtym również przypominała małą dziewczynkę, w której się zakochał.

Ten gest go rozczulił.

Zaprzagnął przeciągnąć rękę zaplecami dziewczyni bez pośpiechu, delikatnie położyć ją najej drobnym, niemal zupełnie nagim ramieniu.

Niedługo cieszył się wyobrażaniem sobie tej bliskości, bo w tej samej chwili z mieszkania na wysokim parterze kamieniczki wychyliła się sąsiadka Mileny.

W dłoni miała tłuczek do mięsa.

- Straszny gorąc!

Mięso siępsuje.

Podstarzała bibliotekarka rozejrzała się dookoła, zaczerp

nęła tchu i bez słowa więcej wycofała się w głąb pokoju.

Odczekali chwilę, wpatrując się w okno.

- Nic nie powiedziała.

- Milenazniżyła głos.

-Choć todo niejniepodobne, chyba cię lubi.

- Samawidzisz, jaki jestem sympatyczny.

Nie minęła minuta, nim staruszka wróciła z okularamina nosie.

^ -Dzień dobry wam, panie Ireneuszu!

Wy do mnie?

^ Milena zerknęła na towarzysza badawczo.

Ciężko zakłopotany Irek stanowczo zaprzeczył ruchem głowy.

- O tej porze?

- dziwiła się ciekawska staruszka.

Mogło się zdarzyć w bibliotece coś niezwykle pilnego.

- Zniknęła w ciemnym pokoju, by po chwili pojawić się i z werwą oświadczyć:

- Niech pantam na mnie poczeka, zaraz zejść!

Tylko się ładnie ubiorę, bo nie chcę, żeby taki przystojny mężczyzna oglądał mnie w negliżu.

- O nie.

- westchnął Irek.

-Jeszcze tego mi brakowało.

- Wy się znacie?

-Ee..

znamy się trochę.

W tej chwili sąsiadka wyjrzała ponownie.

-Nie mogę otworzyć drzwi, bo mi kot z mieszkania ucieknie.

Jużnie mam zdrowia go łapać.

Więc jeśli bylibyście tak łaskawi, panie Ireneuszu, i powiedzieli przez okno, po coście przyszli, nie musiałabym się fatygować.

- To nic takiego.

-Nikt nie przychodzi pod czyjeś okna w nocy bez powodu.

- Wygrał pani.

Nie przyszedłem tu bez powodu, ale to i tak nie ma nic wspólnego z biblioteką.

- A dlaczego miałoby mieć coś wspólnego z biblioteką?

- wtrąciła się do rozmowy Milena.

Chrząknął.

- Pracuję tam.

Milena roześmiała się.

- Ty?

133.

- Później ci wyjaśnię.

-Pan Ireneusz to nasz najlepszy pracownik.

Świetnie sprząta i dogaduje się z maszyną - z dumą wyjaśniła bibliotekarka.

- Aha!

- Milena zrobiła poważną minę.

-Jakoś starannie dotąd ukrywał przed wszystkimi te talenty.

Irek chrząknął głośniej.

- Oddzielał życie zawodowe od prywatnego - oświadczył uroczyście.

W świetle żółtawych sodowych lamp miejskich nikt nie zauważył, że Irek się czerwieni.

- A teraz rozmawiaze mną służbowo czy osobiście?

-zainteresowała się bibliotekarka.

Kot próbował wymknąć się przez otwarte okno, lecz widok warczącego przez sen pitbulla skutecznie go przed tym nieczym czynem powstrzymał.

Nanieszczęście dla Irka Milena sunęła nogi do środka i, posyłając mu pożegnalny uśmiech (a uśmiech miała piękny), wskoczyła domieszkania, zatrzasnąwszy za sobą okno.

- Jestem tu jak najbardziej prywatnie, proszę pani - odpowiedział zdenerwowany nagłym zniknięciem Mileny.

-To czemu zawracacie głowę mojej sąsiadce?

Tobardzo porządna osoba i, jak sądzę, dawnopowinna już spać.

Macie jakieś powody kutemu?

- Mam.

-Nikt bez poważnych przyczyn nie nachodzi samotnych kobiet w środku nocy.

Irek rozejrzał się dookoła.

Cała ta scena "balkonowa" przypominała farsę.

- Powodysą poważne.

Dobranoc, pani kierowniczo!

Bibliotekarka zastanowiła się przez moment, czy niepowinna poczuć się dotknięta zachowaniem Irka Błatego.

Jednak ciekawość wzięła górę.

- Można wiedzieć, jakie to są powody?

Westchnął głośno.

- Zakochałem się.

134

- Panie Irku!

Jestem może stara, ale nie naiwna.

W moim

' wieku romanse z młodzikami już się nie zdarzają.

A w pracy to już na pewno nigdy w życiu bym sobie na to nie pozwoliła.

Trzeba dodać, że od powstania piątego oddziału miejskiej biblioteki zawsze pracowały w niej kobiety i, choćby tego powodu, żaden bliższy damsko-męski związek dzisiaj nie był możliwy.

Irek wyprostował się.

- Zakochałem się pani sąsiadce - wyznał ścisłym głosem.

- Proszę?

i - Jestem przekonany, że kocham Milenę - powtórzył głośniej.

W tym czasie sąsiadka zwrócenia jęknęła, wypuszczając kota wprost na podwórko.

Zrozpaczona załamała ręce, zapominając w tej samej sekundzie sens usłyszanego wyznania.

Irek Blady czekał na możliwość wypowiedzenia tych słów całe życie, przezornie ważąc na okoliczności, możliwości i inne aspekty.

Sprawdzał grunt pod nogami i siłę własnych uczuć tak długo, że nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to, co powiedział, było prawdą.

W przerwach między swoimi szmeranymi interesami, kumplami, dziewczynami jej małżeństwem i dziećmi znalazła się wreszcie mała przestrzeń, w którą, niczym w szparę zamykających się drzwi, udało się wcisnąć kawałek ich wspólnej historii.

Wierzył, że jeśli takowa miała by kiedykolwiek się stworzyć, nastał na to najważniejszy moment.

Od chwili gdy upamięsział ludziom w głowach, a poezja uderzała do głowy jak szampan, wiedział, że zrobi to teraz albo nigdy.

Nim znowu ich czas zapęliłby się setką nieważnych spraw, tłumem obcych ludzi, tysiącem mechanicznych czynności i gładkich słów, poszukiwaniem sensu życia i miłości tam, gdzie zupełnie jej nie ma, Irek odważył się pójść na całość.

Tej nocy jednak pisane mu było coś innego.

135.

- Panie Ireneuszu, panie Ireneuszu!
- pani Kazimieraszarpała skrzydłem okna.
- Gdybyście natknęli się na mojego kota, proszę koniecznie odprowadzić go do domu.
- Oczywiście - obiecał Irek.

Zatrząskująca się rama okna jęknęła przejmująco, a on zapomniał o obietnicy.
Jedynie źle wychowany pitbull matki wydał z siebie zadowolony pomruk.

Księżyc jak morska ryba pluskał się w granatowym nocnym morzu, a jednostajnym szum samochodów ustępował krzykom dzikich miejskich zwierząt, kryjących się za dniami piwnic, na strychach i śmietnikach.

Wśród kanonady obcych dźwięków i zapachów czuł się prawdziwie samotny.

Godzinę później, błąkając się bez celu po słabo oświetlonych ulicach, napotkał podenerwowanego, nastroszonego kota starej bibliotekarki.

Jego wystrzępiona sierść smutne, rozbiegane oczy świadczyły, iż w walce o kocią samicę on też poniósł tej nocy sromotną klęskę.

Solidarność z kocim mężczyzną najczystszej letniej miłości skłoniła go do odniesienia zalotnika pod okno właścicielki.

Zapukał cicho i oddalił się pośpiesznie.

Dzięki temu, że pitbull nie zdradził ich obecności, mógł odejść spokojnie.

Milena Fortuna wciąż unikała pytania o swój własny wiersz na konkurs.

Mówiła, że taki nie powstał lub że nigdy nie powstanie.

W istocie jej poezja, gdyby kiedykolwiek powstała, byłaby prozą.

Prozą życia.

Tymczasem na próżno usiłowała posprzątać dom, ponieważ czynności, które dotychczas uważała za odprężające, nie przynosiły jej ukojenia.

Sądziła, że dziesięć lat doszczętnie spalanego życia raz na zawsze zaszczepiło ją na niedorzeczne porywy miłości.

Spostrzeżenie, że było inaczej, dawało niebezpieczną nadzieję.

Zapomniała o niepowodzeniach związanych z pijącym na umór Marianem i faszyzującym Leśnikiem.

136

Myślała o mężczyznach, kobietach i namiętnościach niedających im spać po nocach. Wszystko to co, jak domniemywała, było fantastycznymi bujdam, rozpalającymi zmysły ludzi jak bajki o skarbach sezamu, zbliżało się do niej niczym rozpędzona lokomotywa, którą nikt nie kieruje.

Była już zupełnie pewna, że miłość, którą dotychczas znała z książek, to potężna siła, co niczym poezja wstąpiła w ospałe miasto i wcale nie chciała dać za wygraną.

Niespotykana dotąd gorączka uderzyła się i jej ciało.

- Może faktycznie upał robi mi wodę z mózgu?

Jedniśnią o gadających rybach, a ja o miłości.

Wyciągnęła paczkę papierosów Mariana i zapaliła jeden z nich.

Miał paskudny zwietrzały smak, a popiół rozsypywał się po podłodze.

O dziwo, nie zważała na to.

Jej myśli krążyły wokół własnej pokręconej przeszłości, niepewnej przyszłości i teraźniejszości, która nie przystawała ani do jednej, ani do drugiej.

11

Jakiś czas później pewien mało znaczący policjant wyszedł z komisariatu o zwykłej porze, a że był samotny i nie miał do kogo wracać, włóczył się trochę po osiedlu.

Paradę służbowym mundurze traktował jako miły przerywnik pomiędzy dniem żmudnej pracy a nudą letniego wieczoru, spędzonego w towarzystwie trzech paczek papierosów.

Wiadomość o nagrodzie w konkursie poetyckim zorganizowanym przez rybą firmę
Kalistyobiegłacałe miasto, ocierając się o prasę, komunikaty duszpasterskie, a nawet jego
Emisariat.

Niebagatelna kwota kusiła równiemocno najrdziej wyszkolone, światłe umysły, jak i tych,
którzy led5 umieli pisać.

Była przedmiotem nabożnych westchnieńna równi zprostackimi żartami ludzi nienawykłych
do tak osobliwych wyzwań.

137.

Również starszy sierżant od kilku dni, w tajemnicy przedkolegami z pracy, zamierzał zabrać się do pisania wiersza, lecz wciąż szukał poetyckiego natchnienia.

Spotkanie Pępka i Irka Bładego mylnie uznał za kiepski zwiastun wieczoru.

Już wiedział, że dziś z wiersza nici.

Przedwczoraj usłyszał, że jakiś drobny łotrzyk z Rybnej, pokroju Pępka, szukał drogi dostępu do niego i pogłoska ta wydawała mu się bardzo zabawna.

Jego wciśnięty w urzędowym mundur honornie pozwalając mu na rozmowę z pozbawionymi samokrytycyzmu chłopakami z osiedla.

Władza na szczęście sprawiła, iż nie musiał czuć się równy.

Normalnie może pogroziłby im pałą, lecz był już po służbie, więc postanowił odpuścić sobie pouczanie kogoś, ktonie ma szans na resocjalizację.

Jego myśli krążyły wokół sklepu z artykułami chemii domowej i naturalnej wielkość fotografii pewnej papierowej ślicznotki, stanowiącej podstawkę pod różowe rolki.

Z braku prawdziwych kobiet w swoim życiu kochał się niej jak napalony trzynastolatek.

Kiedy przyśniła mu się pierwszy raz, czuł się zażenowany, że w telewizyjnej reklamie dziewczyna przez cały czas spaceruje wokół sedesu, zachwalając papier.

Tamtejnocy wyobrażał sobie, jak subtelnie wyluskuje swój wdzięczny tyłeczek z różowej jak toaletowy papier sukienki i podciera się w sposób, jakiego jeszcze nigdy u nikogo nie widział.

Ta rozkoszna, perwersyjna wizja podnieciła go do tego stopnia, że już niezasnął, usiłując zachować pod powiekami do samego rana obraz dziewczyny z reklamy.

Kiedy zaspokoił swoje ciało trzykrotnie z rzędu, westchnął na w półbolesnie, na pół miłośniczo, ponieważ zrozumiał, że nie zazna już w swym życiu szczęścia z kobietą inną niż ona. Starszy sierżant nie wiedział, czy czuć się wybrańcem, czy raczej głupcem naznaczonym przekleństwem platonicznej miłości.

138

Złowrog spojrzął ponad głowami Irka i jego przyjaciela, których pojawienie się wyrwało go z marzeń.

Ich pewność, że potrafią odgadnąć jego pragnienia, zdenerwowała policjanta.

Na wszelki wypadek wymownie pogładził pałkę.

- Jeszcze nam podziękujesz!

- krzyknął na odchodne Pępek, przezornie wycofując się do bramy.

Starszy sierżant rozważał, czy nie pójść za nim.

Wstrzymał się tylko dlatego, że przez jeden krótki ułamek sekund gotów był uwierzyć tym występny drobny oszustom, że są w stanie spełnić jego najskrytsze marzenia.

Gdy oprzytomniał, Irka i Pępek nie było już w zasięgu jego wzroku.

Była 16.

45, zwykły czas pracy Irka w bibliotece, a on oddwóch godzin nie robił nic oprócz obracania w rękę wizytówki Marcella, kochanka Eleonory.

Obiecał sobie, że zgłosi się do niego w ostateczności, i ten smutny moment, za sprawą Pępka, właśnie nastąpił.

Czas w poczekalni jego producentki gubił przy Łąkowej dłużył się, tym bardziej że nie było w niej nikogo, z kim można by zamienić choć słowo.

Nieliczne kobiety, które przechadzały się korytarzem, nie zwracały na niego większej uwagi, co w tym jedynym wypadku wydawało mu się niespecjalnie przykre.

Były dziwnie ubrane, odważnie umalowane i zapatrzone w siebie niczym potomkinie antycznych greckich bóstw.

Czuł się w przynajmniej głupio, niemodnie i nienamiejsco.

To uczucie uwierało go jak pętla źle dobranego, zaciśniętego na szyikrawata.

Zaskoczyło go, że Marcello nawet zawodowo otacza się kobietami pokroju chłodnej Eleonory.

Gdyby on sam miał dobrać swój personel, wybrałby nieco chętniej uśmiechającą się dziewczynę.

Pracowałoby mu się przyjemniej.

„ W tym momencie wbrew zapewnieniom sekretarki, że.

' Marcella nie ma w gabinecie, w drzwiach pojawił się kochanek Eleonory. Miał na sobie zupełnie inny strój, ale wciąż wyglądał jak postać człowieka, którą ktoś właśnie wyciął z żurnala.

- Marcelin?

Czekam na ciebie!

- Irek energicznie ruszył
kuniemu.

Kochanek Eleonory zdawał się zupełnie nie kojarzyć goz wydarzeniami zeszłego tygodnia.

Mierzył obojętnym wzrokiem jego strój, nie rozpoznając w Irku nikogo, z kim choćby przez chwilę mógłby zetknąć go los.

- Gdy ostatnio się widzieliśmy - Irek znacząco mrugnął - mieliśmy na sobie identyczne garnitury.

Marcello szybko upewnił się, czy żadna z pracujących tułał ich nie obserwuje, i energicznym ruchem wciągnął go do gabinetu.

- To ty?

- Ja.

- Cholera.

Nie spodziewałem się ciebie zobaczyć.

Zupełnie cię niepoznałem.

- Nic dziwnego, bo leżąc pod samochodem, widziałeś wóczas właściwie tylko moje buty.

Bardzo fajne, nie?

Marcello nie krył, iż nie był specjalnie skory chwalić jego obuwia.

- No, taaak - Irek poczuł, że nie powinien dłużej kontynuować tego kłopotliwego wątku.

- Przyszedłem zapytać, czy samochód dotarł do właściciela.

- Eee.

Jasne.

Dziękuję!

Irek podrapał się w tył głowy.

Kiedyś uważał rozpoczynanie rozmów o interesach za znacznie łatwiejsze.

Na szczęście Marcello zaproponował, by usiedli na kanapie.

Dopiero teraz miał okazję rozejrzeć się po oryginalnie urządzonej gabinecie.

Stojąca na samym środku prostokątna kanapa została tu umieszczona bez wątpienia w tym celu, aby zwrócić na nią uwagę.

Irek z zalem stwierdził, że jest mniej wygodna niż okupowana przez matkę stara wersalka w ich blokowej kuchni.

Mimowszystkoudznał, że wypadł apochwalić tak dobrze wyeksponowany mebel.

- Fajna kanapa.

Mile połaskotana próżność Marcella uśmiechnęła się jegoustami.

140

- Samego mistrza Le Corbusiera - wyjaśnił nieskromnie.

- Szkoda, że nie twoja.

- Błdy junior był szczerze zdziwiony, że Marcello trzyma cudze meble.

- Niewygodna, alei tak w dechę.

Gospodarz chrząknął zakłopotany.

Zaległo milczenie, którego Irek nie kwapił się przerwać.

Wykazując zainteresowanie niewygodną kanapą, i tak wyczerpał już swój limit grzeczności, jak na jedną rozmowę.

- Może mógłbym się jakoś ee.

zrewanżować?

- zaskoczył wreszcie kochanek Eleonory.

Irek odetchnął z ulgą.

Rozmowa w końcu wkroczyła na właściwe tory

- Pewniak.

Ja pomagam tobie, a ty mnie.

- Irek mógłby przysiąc, że rzucił te słowa luźno, od niechcienia.

Marcello jako typowy przedstawiciel swojej klasy, bezrosko odciętej od brutalnej rzeczywistości, udawał, że czujesz się skrępowany.

- Mam kumpla.

-Taaa.

- rozsiadł się na eleganckiej kanapie, należącej do nieznanego Irkowi Francuza.

- Kumpel makłopoty.

Policjauważa, że ukraść szafęgrającą zpubu, choć to podejrzenie jest naturalnie absurdalne.

- Na te słowa Marcello uniósł brew.

-Niezwierzałbym ci się tego, gdybyś nie mógłmu pomóc.

- Ja?

- zdziwił się.

- Niestetytak.

Zasięgnęliśmy języka na mieście, czymoprócz kasy można by przekonać tego glinę.

Sprawa okazała się nietypowa, boto oryginalny twardziel.

- Poważnie?

- w głosie Marcella ciężko było dopatrzeć entuzjazmu.

- Nigdy niezartuję w takich sprawach.

Zatem do rżęży - ten facet.

- Policjant?

-Co? A, tak.

Więc facet ma jedną słabość.

Normalniekazałbym ci zgadywać, lecz jest totak idiotyczne, że nawethr nie zgadłbyś do nocy.

141.

Marcello kręcił się na siedzeniu, niezadowolony, iż ktośśmie wątpić w jego błyskotliwość.

- Chodzio to - kończyłniczym niezrażony Irek - żebygłina poznał kogośz twojej branży.

-Aktorke.

Marcello jużchciał dodać, żeod samego początkuodmyślał się intencji Irka, gdyten przerwał mu stanowczym

tonem:

- O nie!

Toby było za proste!

Aktorke możepoznać każdy, ktoma czaszczekać w nieskończoność po przedstawieniu przed teatrem.

Sierżant nasz ma niestetyo wiele wyższe aspiracje.

Producent miał, co prawda, wątpliwości, czyw takimukładzie mógłby cokolwiek pomóc, ale Irek Błady był zdeterminowany je rozwiąć.

Nawet posuwając się do niewinnego szantażu.

Gdyby nie porażająca logika Pępka, on sam, a w ślad zanim Marcellonie zrozumiałby, że ktoś, kto posuwał w najlepsze Eleonorę Kalistę, powinien znać panią ze stojakaz papierem toaletowym.

Ireknie miał zamiaru przyjmowaćodmowy.

Na nieszczęście dla pechowego producenta całasprawaw rzeczywistości okazała się owiele bardziej skomplikowana, niżprzypuszczał Pępek.

Macki świata show-biznesu poraz kolejnyrozwarły sięjednak w idiotycznym celu poszukiwania partnerki dla zakochanego policjanta.

Nikt nie wie,jaka była stawka pani zachwalającej walory toaletowego papieru ani jakich argumentów musiał użyć Marcello, ale niemnęły dwa dni, jak starszysierżant z komisariatu przy ulicy Wareckiej przeżył dzięki Irkowi Błademu najpiękniejszydzień w swoim życiu. Tegodniaideal policjanta zszedł zeswego różowopapierowego parnasu, wstępując w suroweprogi nudnego robotniczego miasta.

Na szczęście dla wszystkich dziewczyna reklamująca papier okazała się warta wszelkich poświęceń, bozagrała swo142

jąrolę przekonująco niczym gwiazda programu w ukrytejkamerze.

Pępekbył zdania, że właśnie owo spotkanie z policjantem, a nie idiotyczna reklamówka, stanowiłozyciowedokonanie lali z telewizji.

Aby oddaćnałęzną wszystkim sprawiedliwość,trzebaprzyznać,żestarszy sierżant niespodziewanie okazał siędzentelmenem.

Nie wcielał w życie swychstarannie pielęgnowanych fantazji, nie kazał okręcać się różowompapie'rem, siadać na sedesieani nie zrobił nic z wymarzonych;

choćnie do końca przyzwoitych rzeczy.

W rzeczywistości;

nie chcąc psuć najlepszego dnia w swoim życiu, nie wspo'mniałnawet o ulubionym reklamowym filmiku.

Zamiasttego kupił ukochanej nastraganie z pamiątkami plastikowekwiatki w doniczce i zabrał ją do Horteksu na ciastko z owo'cami orazdużykoktajl ze słomką.

- Wzruszające - bąknął z przekąsem Pępek, najwyraż'niej zawiedziony, że randka sierżanta przybrałatak małoemocjonującyobrót.

- Zachowuje się jak skruszony męzuśw odpust.

Wcześniej wysłałmu esemesa z życzeniami wesołej zabawy teraz, obserwując z ukrycia przebieg spotkania, nie miał pewności, czy sierżant jest w pełni usatysfakcjonowany prezentem.

W jego opinii tylko porządne rznięcie na masceradiowozu znacząco podniosło by akcję jego sprawy.

Tymczasem policjant wyglądał na zupełnie zadowolonego.

Jego towarzyszka również.

Powoli do Pepka zaczęło docierać, że zaczyna im zazdrościć.

Nie było to szczególnie duży uczenie.

Przedstawiciel władzy, którą od zawsze pogardzał, odważył się rozmawiać o miłości.

Peppek potrafiło nie tylko czasem pomarzyć.

Ludzie marzą o dwóch rzeczach: o miłości i pieniądzu.

Bo tylko one są niezbędne człowiekowi do przeżycia parilkich chwil w czasie trwającego od urodzenia aż do śmierci epizodu życia.

Całą resztę marzeń można pominąć, zamienić lub kupić za wyżej wymienione waluty.

Wiedział"

143.

o tym każdy pisarz, poeta oraz każdy wrażliwy i mądry obywatel tego kraju (głupi lub mniej wrażliwi śnią tylko jednym obliczem szczęścia).

Mieszkańcy tego miasta nie należeli do ludzi pośledniego gatunku, więc doskonale zdawali sobie sprawę, czym świat stoi.

A dziś świat dla odmiany oddychał poezją.

Gdy odkrycie Marcella i wystrojony w galowy mundur sierżant przechodził przez park śledzia, promienie słońca prześwitywały przez liście, tworząc świetliste słupy tkanek miejskiego kurzu.

Pokrywani w cieniu ludzie zerkali na nich z niekłamaną ciekawością.

Ci, którzy kiedykolwiek osobiście mieli do czynienia z policjantem, szturchali się znacząco, inni zastanawiali się, skąd znają twarz towarzyszącej mu urodziwej kobiety.

- Toprzeć pani z tej głupiej reklamy!

- zauważył trzeźwomalec, którego matka nadaremnie usiłowała wyciągnąć z brudnej fontanny.

Używała do tego zwiniętej w rulon gazety.

- Lepiej siedź cicho!

- przykazała, nerwowo zerkając w stronę sierżanta.

Zaniepokojenie matki bystrego malca było zupełnie niena miejscu, bo w tym momencie nikt nie byłby w stanie wyprowadzić sierżanta z równowagi.

Szczęście usposabiało go bardzo pokojowo.

Zresztą co innego zaprzętało myśli zakochanego mężczyzny - przez całą drogę policjant wahał się, czy sięgnąć po dłoń dziewczyny.

W stosunku do przestępców był twardy i nieugięty niczym Clint Eastwood, jednak podczas spotkania z prawdziwą gwiazdą telewizyjnego ekranu stał się wstydlivy i nieporadny jak nieopierzony uczeń.

Tak chętnie zgodził się z nim do domu, że nie mieszkał na głos przytoczyć policyjnych statystyk dotyczących gwałtów i czynnych napaści.

Zmieszany jej pytającym spojrzeniem, ugryzł się w język.

Dziękował Bogu za stworzenie kobiet i przez to obdarzenie ich cechą podatliwości.

Dzięki temu nie tylko mógł

144

zebrać myśli, ale dowiedzieć się niejednej ciekawostki z życia swojego ideału.

Kiedy znaleźli się w jego mieszkaniu, ośmielona dziewczyna przeproszającym tonem przyznała się, że naco dzień jest bileterką w kinie.

- Udział w tej reklamie - dokończyła - miał być moim biletem do lepszego świata.

- Na pewno był.

- Policjant nie miał wątpliwości.

- Och - westchnęła.

- Liczyłam na coś więcej niż papier toaletowy: samochody, kosmetyki, biżuterię.

Dziewczyny, która siedzi przez cały czas na kłopot, żaden reżyser nie zaangażuje do filmu.

- Ja poprosiłam kumpla, żeby nagrał mi tę reklamę na wideo.

Byłaś taka piękna.

- Daj spokój, takich jak ja chodzą po świecie setki.

Kokieteryjnie wydeła usta.

- W żadnym wypadku!

- starszy sierżant zaprzeczył gorliwie.

- Jesteś jedyna, niepowtarzalna, najpiękniejsza.

- Naprawdę tak myślisz?

Zachwyconadziewczyna machnęła pod stołem gołą stopą tak intensywnie, że aż spadł jej kłapek.

Rozhuśtany, seksowny, zapinany na delikatny paseczek, wylądował wprost pod nogami policjanta.

Przyklęknał, podniósłbucik czarownej istotki (dziwiąc się przez moment, że nie jest tak mały, jak opisują to w bajkach) i przyłożył go do ust.

- Naprawdę wysapał.

- Jesteś kobietą z moich snów.

Musiałoby być coś we wzroku i głosie starszego sierżantata niecodziennego, że nieznajomanatychmiast mu uwierzyła.

Dziwił się policyjnym raportom, statystykami biuletynom opisującym sytuacje, w których zwykły mężczyzna na godzinę staje się casanową gotowym ranić i zabić w miłosnym afekcie.

A dziś on, unikający kobiet policyjny urzędnik, poznał smak władzy, którą dają odpowiednio dobrane do sytuacji słowa.

Mówił i mówił o urodzie, inteligencji i powabie swojej wybranki, jak czyni to poeta jednegowiersza.

Ona zaś słuchała, tak jakby całe życie czekała na te

145.

właśnie słowa: wyznanie miłości beznadziejnie zakochanego sierżanta.

Przyklekła, przysuwając go bliżej jego ust, przez co sypiające z nich lepkie od cukru słowa trafiały przez labirynt ślimaczka, napięty bębenek i zabawne kowadełkowprost do wnętrza jej mózgu.

Tam rozplywały się ciepłakałużą po wzgórzach przyjemności, usypiając ciało smutku i topiąc wyrostek kompleksów, pchający każdą kobietę globu dosamounicestwiających myśli i nieludzkich wyrzeczeń.

- Mów jeszcze - wyszeptwała.

Mężczyzna usłyszał w jej głosie ton znajomy z samotnych nocy, gdy przychodziła doń w półśnie erotycznych fantazji.

- Nie śmiem powiedzieć nawet połowy tego, co siedzi w mojej głowie.

Onieśmielasz mnie swoją obecnością.

- Mów!

- rozkazała, zaniepokojona, iż strumień wypływający z jej ust może wyschnąć.

Słowa od zawsze były fetyszem wszystkich kobiet z jej rodziny.

Były jedyną słabością, której ulegały, i przyjemnością, której nigdy nie doznawały w nadmiarze.

- Mów.

- powtórzyła delikatnie.

- Moją głowę wypełniają najbardziej natrętne i najbardziej niesamowite myśli o tobie.

Takie, których nikt inny nie umiałby sobie wyobrazić.

- Dalej!

- Zapytałem kiedyś jednego takiego.

miejscowego, który pracuje w bibliotece.

Zapytałem o człowieka, który pisze tak wybitnie, że czytając go, mógłbym zapomnieć o najcudowniejszej kobiecie.

- Jakiej kobiecie?

- Aktoreczka przeciągnęła się jak kocica spragniona piąszczot.

- O tobie.

- I co?

- Ponagliła.

- Wariat dał mi książkę Tomasza Manna.

Twierdził, że w jego przypadku lektura zawsze leczy złamane serce.

146

- Kto to taki ten Mann?

- Nikt.

- Nikt.

- Nikt w porównaniu z moimi marzeniami o tobie.

Policjant usłyszał jęk.

Nie miał już wątpliwości, którądy [wiedzie ścieżkarozkoszy Wyśnionej Kochanki.

Mówiąc tak, posuwał się dalej i dalej, skracając dystans między sobą a niedościgłym ideałem.

W końcu mówił; wprost do jej ucha.

Jego różowa muszla zbyt mocno kojarzyła mu się z tematem przedsennych fantazji, żeby wytrzymać.

mać torturę powściągliwego dystansu.

Zapytał, czy mógłby dotknąć ucha bogini, a ona zgodziła się bez wahania.

Zadrzał jak porażony prądem - świadomego efektu swoich słów - od razu jej o tym powiedział.

- Tak bardzo cię elektryzuję?
- Gdybyś kazała mi odejść, umarłbym jeszcze tej samej nocy - mówiąc to patrzył w mroczną dziurkę różowego śli" mąka.
- Umarłbyś napowaznie?
- Tak, umarłbym - głos policjanta brzmiał uroczyście jak w dniu pierwszej służbowej przysięgi.
, Kobieta za nic miała wiarołomność mężczyzn, kładących na swe życie na ołtarzu jednego nieznaczącego miłosnego uniesienia, ponieważ odejście w tej chwili równałoby się odcięciu od ożywczego nektaru sączącego się z głębi jego krtani.
Nie musiały jednak go kochać ani na niego patrzeć.
Wystarczyło, że słuchały o sobie.
Ona kochała się sama z sobą, on sam ze swoim marzeniem.
Żadne z nich nie dowiedziało się ziarnka prawdy swym partnerze.
Żadnej z nich tej prawdy nie było ciekawe.
Narcystyczny onanizm we dwoje, zamkniętych w łupinach własnych ciał i umysłów.
Miłość idealna.
; Tej nocy starszy sierżant napisał najpiękniejszy miłosny wiersz swemu życiu.
Nie było w nim słowa prawdy obiektywnej, lecz te same, ubrane w słowa fantazji, które

przeżywał każdego dnia i których do dzisiejszej nocy niepotrafił opisać.

Nazajutrzopatrzyłgo wielce wymownymgodłem "miękką różową roleczką" i wysłał na poetycki konkurs im.

Eleonory Kalisty.

Nie znałosobiście ani patronki konkursu,anijej kochanka, ani nawet skruszonego męża.

Zbyt zaślepionywłasnym szczęściem, nie mógł przypuszczać, w jakim stopniu zależało onood tamtych ludzi.

Stając się poetą, stracił instynkt policjanta - pomyślał Ireneusz Blady, odbierając pocztę zawiadomienie o umorzeniu śledztwa przeciwko Pępкови.

Po upływiepewnegoczasu odniezwykłej uczuciowej iluminacji starszysierżant zaczął powoli dochodzić do siebie.

Ten nieubłaganie nadciągający naturalny processzarzenia pamięci zachodziłstopniowo, aż pewnego dnia,siedzącw pracy i starym zwyczajem doglądając zamkniętych w szafce insygniów obywatelskiej władzy, zaczął żałować, iż niepokazał dziewczynie kajdanek i pałki. Ten żal zaśmiecającyjego duszę był wyraźnym sygnałem definitywnego zmierzchu dnia pełnego poezji.

Irek, myśląc o tym, w głębi duszy żałował jednak, że onsam wciąż nie potrafi napisać wiersza za milion dolarów.

Umyślał pusty, a spokój serca zmacony.

Cokolwiekby rzecoz rzeczach dokonanych, tamtego dniabeznadziejniezakochany starszy sierżant na kilka godzinwygrał swój życiowy los.

Z drugiej stronyIrek Blady nieurodziłsię wczoraj, by nie wiedzieć, że miłość niejest żadnąloterią.

Miłość z łódzkiego osiedlabyła beznadziejnie przewidywalna, jak pogoda w listopadzie.

Wśród kilkuset żyjących tu kobiet i mężczyznkażdy miał swoje miejsce wkolejce do ołtarza.

Przypominało to trochę dziecięcą zabawęw kolory, gdy doroślidzielili się na rzucających i łapiącychpiłkę.

Ci, którzy łapali sprawniej, zaliczali kilka kolejek,

148

fajtłapowaci przepuszczali piłki i wylatywaliz kolejki.

Alewszyscy dostawali tylesamo szans.

Tak samo rzecz miała się z miłością, choć wciąż na świecie pełno jest takich, comają zgoła odmienne zdanie.

Uważają, że miłość spada jakgrom z jasnegonieba lubniedorzecznie fantazjują o przypadkowychstrzałachAmora.

Irek skrzywił się na samą myśl o dorosłych zakażonychbrakiem poczucia realizmu.

Gdyby nie powszechność tej"romantycznej" przypadłości u kobiet, miałyby na swoimkoncie znacznie więcej złapanychpiłek.

-12

Pewna część życia Bladej, Mileny, Pępka, Irka, Leonaorazich matek i ojców toczyła się poza pozornie rzeczywistą egzystencją.

Od czasu kiedy Polacy zrozumieli, że niesą sami na świecie, ich życie z każdym rokiem coraz ściślejspłatało się z życiem celebrities, wesoło mrugających donichz gazetowych okładek w kiosku, ekranukina czy telewizji.

Wielcy tego świata byli wszechobecni przy obiedzie,kolacji i śniadaniu.

Tak jak i wiecznie włączony telewizor.

Z pięknymi, sławnymi i bogatymi żegnano się zdecydowanie tylko raz w roku: podczas wigilijnej wieszki.

Wówczas matka stanowczo groziła:

- Baranek Boży albo Bar bez reszty, wybierajcie!
I choć ojciec najchętniej wybrałby to drugie, potulnie dreptał na jednej nodze, żeby raz w roku wyłączyć telewizor.

Wówczas wiadomo było, że przyszyły prawdziwe święta.

- Siedzimy jak w kaplicy - marudziła pozostała część Bładych zaproszonych na wigilijną ucztę.

- Aż nieswoją się odezwać, gdy nic nie mówią w telewizji.

- Chyba nie sądzicie, że Jezus miał wstąpić do telewizora?
błyskotliwie odpierała ataki matka.

Cóż, reszta wcale nie była tego taka pewna.

Ostatecznie wyłączenie telewizora stało się elementem świątecznej tradycji, ale wcześniej czy później, gdy wyczerpały się tematy dotyczące bezpośrednich znajomych, rozmowy i tak schodziły na temat zasłyszanych lub przeczytanych plotek.

Wszyscy tych plotek nienawidzili i wszyscy nie mogli się bez nich obyć.

Również dziś Irek, jedząc jak codziennie rano tę samą jajecznicę na pomidorach, wcale nie musiał patrzeć na nieogoloną twarz ojca czy zasmażoną czymś Maryśkę.

Ongapił się na sfotografowane z ukrycia nogi niejakiej Geri, anglosaskiej gwiazdeczki pop.

Komentarz głosił, że kąpiąca się w ciepłym morzu Geri przybrała trochę na wadze, a sadełko złośliwie osadziło się na udach (co naturalnie potwierdziła fotka).

Dalej widniały ślubne zdjęcia innej blond gwiazdy.

Żadnych nóg, tylko sporo starszy od niej pan młody.

Podpis głosił, że ma wąsy.

- Istotnie - potwierdziła matka, zerkająca zza pleców Irka.

- Urosły mu!

- Zarost w jego wieku już nie powinien zdumiewać.

Przytyk dopodstarzałego, choć pięknie wyretuszowanego żonkosia nie spodobał się matce, kochającej się w aktorze już w młodości.

Wyrwała synowi gazetę, mażąc ją przy okazji masłem.

Warując pod stołem pitbull warknął wrogo w jej kierunku.

Nie wiedzieć czemu zapałał do Irka prawdziwą psia miłością.

Niestety, bez wzajemności.

Czuła na humory czworonożnego podopiecznego matka już zamierzała potulnie oddać gazetę.

- Zetrę masło, jeśli chcesz.

- Jakoś odechciało mi się patrzeć na małżeńskie szczęście tego pryka.

Błada opowiadała właśnie wzruszonej matce i sennemu ojcu, jak wczoraj przeczytała o kryzysie małżeństwa Victorii

150

i Davida Beckhamów.

Z reakcji siostry widać było, że nie przeżyłaby tego doniesienia bardziej,

gdyby Beckhamowie byli jej osobistymi znajomymi.

- I teraz pozostaje pytanie: czyja to jest wina?

- Błada rzuciła pytanie rodzinie.

- No.

jego?

- podchwyciła niepewnie matka.

- Skąd!

- Maryśka postanowiła bronić przystojnego Angoła.

- A moim zdaniem, jeśli mają kryzys, to oznacza, że albo pije, albo chodzi na dziwki - dodała matka po chwili namysłu.

- Albo obie te rzeczy naraz.

Ojciec zarechotał.

- Matka dobrze mówi.

- Tato!

- oburzyła się Błada.

- Gdyby był nasz, nie miałbym wątpliwości, że tak właśnie jest, ale skoro to nie-Polak.

Możliwe, że mógłby niesprostać zadaniu.

Nie nasz, niech się inni martwią.

- Jak to: nie nasz?

A czyj?

- Właśnie!

- poparła córkę matka.

-Czyj?

- Zasadniczo niczyj.

Zresztą mało mamy własnych kłopotów, żeby zajmować się tymi zeksportu?

Teraz matka na całego zaatakowała ojca:

- A jakie my możemy mieć kłopoty?

Mała renta?

Dziuraw gaciach?

Co?

Blady senior oburzony niesłusznym atakiem próbował się wycofać, ale dwie potężne jak niemieckie tanki kobiety skutecznie zatarasowały mu drogę.

- David i Victoria tonasza wspólna sprawa- wygłosiła ostrzegawczym tonem córka.

-A dziuraw gaciach twoja!

-matka pogroziła mężowi ręką.

Ojciec wybałuszył oczy ze zdziwienia tak mocno, że Irkowi zrobiło się go żal.

Jego stary był człowiekiem innej daty i zapewne nie orientował się w niuansach związku Beckhamów.

- Mężczyzna- stanął w obronie przedstawiciela swej płci -

151.

nie wzrusza się z powodu byle artykułiku w szmatławcu, baby!

I w tym momencie popełnił taktyczny błąd niedo naprawienia.

Bo siostra natychmiast przypomniała mu, że nie dalej jak wczoraj Pępek na wieść o złamaniu nogi przez jakiegoś włoskiego gracza pierwszej ligi poryczał się jak dzięciak.

Nie pomogły tłumaczenia, że był wstawiony, i Irek musiał ulec naporowi argumentów kobiet.

Osobiście uważał, że gdyby rodzona matka Pępka złamała sobie obie kończyny, mniejby go to obeszło.

Bycie sławnym i wstąpienie do panteonu gazetowych bożków, w przeciwieństwie do bogactwa i zdrowia, było marzeniem z wyższej półki, które każdymiał, aleni śmiał się do niego przyznawać.

Tu oprawdopodobieństwie osiągnięcia celu decydowały cechy dalekie zwykłym śmiertelnikom:

wybitna uroda, kolosalny talent, nieprawdopodobne szczęście.

Nic dziwnego, że strach przed porażką w wyścigu o złote runo sławy paraliżował, zmuszając jednocześnie do biciapokłonów tym, którym się udało.

Jakdo tej pory żaden promień słońca nie przebił ołowianego nieba zwyczajności nad smołowanymi dachami osiedla.

Dzięki nagrodzie Kalisty -bardzo łatwo można było mieć wszystko: i pieniądze, i sławę.

Wszyscy z nami Irka Błatego wystartowali w konkursie.

Ponieważ jedną z nagród był występ w prawdziwej ogólnopolskiej telewizji, każdy zapragnął rzucić parnasowi wyzwanie.

Nikt anina chwilę nie poczuł, że jego życie nienadawało się na temat poezji.

Park śledzia zawrzał od rozmów.

Rozmów wstydlwych, niecodziennych, wzniosłych.

Odsunięto zrobione z kapsli w arcaby, wyciągnięto pomietekarteluski z portfeli, fragmenty gazet, pocztowych poręczeń odbioru renty.

W ruch poszły pożółkłe zeszyty sprzed ćwierćwiecza zapełnione nieudolnymi sztubackimi wierszykami, często chowskie rymy o niczym i usilne szukanie piękna tam, gdzie nikt wcześniej nie potrafił się go dopatrzeć.

Ci, którzy najgorli 152

wiej wypatrywali niepowtarzalnego tematu, zaglądali do koszy na śmieci, szafek na buty, przepełnionych szaf córek, piwnicznych gniazd półdzikich kotów.

Pozornie nie działo się nic, a letego lata powietrze iskrzyło się od poezji.

Dziadek Leona nastawił głośno radio na baterie, bo w bloku wyłączono prąd.

Ani on, ani towarzyszący mu wnuk niemogli skupić się w pozbawionej odgłosów telewizji, kompletnej ciszy.

- Ci, którzy chcą badać sny, muszą pamiętać, że nie ma uniwersalnej recepty na odkrycie ich znaczenia.

Śniąc się ryba, jak mieszkaniec wody, czyli sfery nieświadomości uczuć, reprezentuje treści obecne w głębinach duchowych - wyjaśniała monotonnym głosem radiowa spikerka lokalnej rozgłośni.

Spikerzy pracujący w wielkich, ogólnopolskich stacjach kryzeli do mikrofonów jak podochoczone młode byczki, a prowadzące weekendowe programy kobiety mrucały i wdzięczyły się jak głodne kocice.

Słowem, dało się ich słuchać nawet wtedy, gdy nie rozumiało się ani słowa z wystrzelwanej z ich ust paplaniny.

Dźwiękowe show obfitowało hałaśliwą, rytmiczną muzykę, dzwonki telefonów i furkot loteryjnych kół fortuny, codziennie losujących samochody, meble i wczasy w rajach.

- Ryba, o którą nasi słuchacze wciąż się dopytują ciągnęła dalej anemiczna spikerka - według Junga może oznaczać wydobywanie pewnych treści z podświadomości, poszukiwanie prawdy o sobie i naturze swoich uczuć.

- Ten Jung wciska nam, dziadek, lipę - wtrącił Leon.

- Ciii!

Słuchajmy dalej.

Marian nigdy nie wpadłby na pomysł objawiać się ludziom z tak oryginalnego powodu.

- Co prawda, to prawda - zgodził się wnuczek, nadstawiając uszu.

Po wypaleniu skręta zawsze chętniej przyznawał dziadkowi rację.

153.

- Ale jest jeszcze coś!

- tupani z radia trochę się ożywiła.

Ryby wielkie i tłuste mogą powiadać korzyści materialne.

-Bingo, dziadek!

Leon radośnie klepnął dziadka w kolano.

Ponieważ zrobił to dość mocno, starzec zawył z bólu.

- Mieliliśmy rację, że przygarnęliśmy bydlęce wcielenie Mariana Fortuny - zarechotał, próbując poklepać dziadka po plecach.

Ten jednak przezornie odsunął się na drugi brzeg wersalki.

- Ryba sama do mnie przyszła, bo wiedziała, gdzie mieszka uczciwy człowiek.

Ty, nicponiu, nie masz z tym nic wspólnego.

- Na poły ostrzegawczo, na poły lękliwie łypnęła wnuczka.

-Tylko nie wąż się znowu walić mnie po kolanach!

Skonfundowany Leon opuścił rękę.

- Nie, to nie.

Myślałem, że lepiej znasz się na żartach.

Dziadek ostentacyjnie masował kolano.

- W kwestii nienaruszalności cielesnej i prawa własności do karpia nie odczuwam rodzinnych sentymentów.

Leon, czując, że jego akcje gwałtownie spadają, starym sposobem sięgnął po broń ostateczną.

- Niezapomniałeś, dziadek, kto przynosi te papieroski, do których tak się przywiązałeś?

- Ruskie mocne fajki?

- zapytał skruszony.

- Te same.

- Wnusi.

Dziadek zapomniał o bolącym kolanie i przybrał minę łagodnej owieczki.

Leon zajął do łazienki, gdzie tłusty karp spożywał swój czwarty obiad.

- Zatem- rozpoczął, czując przypływ energii- uważam, że powinniśmy zacząć na bydlaku zarabiać.

Dziadek wzniosł rękę do nieba.

- Czy to konieczne?

154

- Ludzie będą przychodzić do nas po duchowe porady jak do wróżki, a ty jak Cyganka będziesz rozmawiał z bestią wyciągał z niej prorocтва, pewniaki w zakładach sportowych i tak dalej - rozmarzył się Leon.

Błogosławił marihuanę za jej dobroczynne działanie.

Mózg miał ukojony, spokojny, trzeźwy i pełen złotych koncepcji.

Rozłożył się w przejściu do pokoju, fantazując, że jest kimś na podobieństwo doradcy samego prezydenta albo wręcz biblijnego króla Salomona, w którego głowie toczy się zjadłyszachowomecz o przejęcie władzy nad światem.

Dziadek coś mówił, ale nie zważał na to, czując, jak wielka ryba z łazienki (w wizyjnej jeszcze większa niż w rzeczywistości) przemawia wprost do wnętrza jego głowy.

- Cicho!

- wrzasnąła dziadka,któremu po głębszymniuchu papierosowego skręta nagle rozwiązał się język.

Staruszek jednak, pochłoniętywłasnymi fantazjami, nie miał zamiaru reagowaćna ostrzeżeniawnuka.

On również rozmawiał z karpem, opowiadając mu zawzięcie coś, w czym osoba z zewnątrz na próżno mogłaby dopatrywać się jakiegokolwiek ładu i składu.

- Zamknij się, bo nic nie słyszę!

- darł się Leon, zakrywając uszy dłońmi.

- Ta pieprzona ryba mi coś dyktuje.

Dziadek, nie zwracając najmniejszej uwagi nawnuka, mówił swoje.

- Ona.

Ona dyktujemi wiersz!

- zdumiony Leon przekręcił się nabrzuch, energicznie szukając pod sobą napodłodze ołówka.

Rzecz jasna, takiej rzeczy w domu dziadkaLeona mógł szukać do wigilii Bożego Narodzenia, bo staruszek wszystkie istotne informacje zapisywał wyłącznie w jedynym dostępnym mu sposobie: ryjąc gwoździem w ścianie nad telefonem.

Sposób ten był niezwykle trwały, łatwy i zawsze do ^ępnny.

Niestety, Leon nie miał onim pojęcia.

- Kurwa mać, jaki piękny wiersz!

zawył Leon, do ży 155.

wego dotknięty nieszczęściem niemożności znalezienia jakiegokolwiek pisaka pod własnym tułowiem i w odległości metra od tegoż.

Nagleznieuchomiał, świadomy, iż przez własną szamotaninę traci słowa Wielkiego Przesłania, a po jego twarzy popłynęły łzy wzruszenia. Słuchał całymi sobą.

Był anteną odbiorczą między niebem a ziemią.

Mojesz w chwili rycia swoich przykazań nie mógł czuć się bardziej wyróżniony.

Czas ciągnął się jak cienkie ciasto na niedzielny makaron, a Leon non stop beczał jak bóbr, bijąc się raz po raz w chuderławą pierś.

- Jeśli to ty zatym stoisz, Marianku, obiecuję ci, że nie zapomnę tego wierszadko kończąc.

Na próżno.

Pół godziny później, gdy zwierzył się swojemu olśnieniu Irkowi i usiłował zapisać ten cudowny utwór, kluczo do sławy, sukcesu i miliona dolarów nagrody, nie mógł przypomnieć sobie ani jednego wersu.

Bezskutecznie walił się w głowę encyklopedią, masową skronie i liczył od trzydziestu do zera od tyłu.

Iluminacja się skończyła i pamięć postanowiła wrócić.

Pieniądze z konkursu determinowały sny ludzi z miastatkaczy.

Były jak odgórnie zapewniona wygrana w totolotce, ponieważ nikomu nie przychodziło do głowy, że wygrać mógłby ktokolwiek inny niż właśnie on.

O nagrodzie niemyśleli tylko najbogatsi z bogaczy, wierząc, że marzenia spadających z nieba pieniądzech, jak świat światem, były domeną nędzarzy.

Gdziekolwiek spojrzeć, siedzieli lub przechadzali się ludzie noszący na twarzy naiwny uśmiech zadumania.

Żyjąc dnia na dzień, mieli czas zapomnieć o poezji, kojarzącej się bardziej z martyrologią i łzami po porażkach wyzwoleniczych zrywów niż zbawczym powiewem bez troski.

156

Irek odpalał papierosa od papierosa, kartkując kieszonkowe wydanie Tonię Krógera. Biblioteka wyrzucała stosy starych, zużytych woluminów, a on postanowił uratować tylko to opowiadanie Manna, skazując na śmierć w stercie makulatury doskonałego Tołstoja, Bellowa i kilka lektur szkolnych.

Nigdy nie dopuściłby, żeby to broszurkowe wydanie mistrzowskiego opowiadania zostało przerobione przez bezduszną maszynę na papier toaletowy poorestniej jakości.

Los pozostałych książek, podobnie jak los objawionego kumplowi wiersza, był w tej chwili drugorzędny i, choć nie przyznawał się do tego głośno, niespecjalnie go obchodził.

Zdaniem Leona Irek za słabo wierzył w moc ryby, żeby pomóc mu wyluskać z morsa pamięci te właściwe słowa.

Jego własnym zdaniem to niechęć do nadużywania i trawysprawiała, że nie bardzo chciał angażować się w fantazje przyjaciela.

- Jeszcze nic straconego - pocieszał Leona bez większego przekonania.

- Kup sobie wreszcie długopis, a kiedyś natchnienie wróci.

- Sądź się?

- w zamglonych oczach kumpla oprócz śladów narkotycznych orgii wciąż widać było dziecięcą ufność.

- Jasne - rzekł, nie patrząc mu w oczy.

Leon rozpromienił się.

- A swoją drogą, czy to nie znak dla ludzkości, że Rybadokontakt z Ziemianami wybrała sobie właśnie mnie?

Irek Blady popatrzył na niego jak na wariata.

- Ty naprawdę wierzysz w te bzdury.

Przyjaciel udawał, że nie ma zamiaru brać do siebie przytyku.

- W takim razie to cholernie znaczący znak, że się tak wyrażę.

- Irek odłożył żółką książkę do kieszeni.

- Jeśli to coś, co twój szurnięty dziadek trzymaw swojej obłędnej wannie, ma choć trochę oleju w głowie - w co, wybaczyć, wątpię - i wybrało sobie ciebie na pośrednika, to chyba wie, że szybko to zapomnisz, bo jesteś ćpunem.

157.

Leon rozdziawił gębę z osłupienia.

- Żejak?

-Ze nijak.

Takie objawienia podejrzenie za często zdarzają się alkoholikom, ćpunom i świrom, żeby mogły nieśćże sobą jakąś konkretną treść, kapewu?

- Nic a nic, ale dobrze wiem, że Marian Fortuna ufał wyłącznie takim ludziom, jak wymieniałeś.

Prostym.

To był swój chłop, a ludzie twierdzą, że terazśni im się jako ryba.

Więc z kim ma rozmawiać, jak nie ze starymi przyjaciółmi?

- Leon zamilkł, zbierając odwagę na zupełnie niemęskie wyznanie.

-Ja, jakbym miał sprawę zzaświatów, ruszyłbymz nią do ciebie albo do tej twojej cholernejpuszystej siostry.

- Puszystej?

A co to, u diabła, znaczy?

Zakochałesię

w niej czy co?

Irek Bładyz litością popatrzył nakumpla, na którego

umyśle ponadmiesięczna narkotyczna orgiaodcisnęła aż nazbyt widoczne piętno.

Zarówno słownictwo, jak i dziwaczna tematyka ichostatnich rozmów pasowały jak ulał dodysput na podokiennej matczynej wersalce, co niewątpliwie wyraźnie wskazywało na ostateczną degenerację przyjaciela.

Słowo "odwyk" nie było jednak tym, na co w najbliższych nawet stosunkach dawało się przyzwolenie w tej części miasta.

- Leon, gadamyjak stareprzesądne baby,pojmujesz?

Puknij się w łeb albo zmień fajki na lżejsze.

Urażony Leonjuż unosił encyklopedię.

- Żartowałem!

- Irek złapał go za rękę.

Zaraz potemdodałdelikatniej: - Tylko proszę, nie wspominaj miwięcej

o rybie twojego dziadka, dobrze?

Zamiastodpowiedzi usłyszał głośny trzask zapalniczki.

To Leon odpałał następnegoskręta.

Pomyślał, że świat ogarnęła dzuma ciemnogrodu.

Sezonogórkowy, który zwykle o tej porze zbierał swoje żniwa głupoty, tego lata przesadził z epidemią urodzaju.

158

13

Najlepszym dowodem nato, że przemysł rybny ruszał w mieście, był delikatny, unoszący się w powietrzu zapachs rybiej skóry.

Wyczuć gomożna było o poranku i tylko wtedy, gdy odwracało się twarz ku północy.

Zwracając sięwktórymkolwiek innym kierunku, nie czuło się nic opróczzwykłej woni miasta.

Ten zapach, dla jednych będący odorem geograficzno-politycznego paradoksu, dla innych pachniał wiatrem zmian.

Tajemnicza "Eleonora Fish" - ogromna firma Kalisty -wciąż rozrastała się, wyburzając dawne włókiennicze fabryki i kopiąc na ich miejscu ogromne dziury podprzyszłe staiwy rybne.

Niewyczerpany strumień pieniędzy z Zachodu' topiłsię w nich jak deszcz wpustynnych piaskach Afryki.

Kalista rósł w siłę.

Nic więc dziwnego, że zwabieni kolosalnymizyskami w szybkim tempie przyłączali się doń następni i jeszcze kolejni mali oraz duzi przedsiębiorcy.

Wkrótce korporacja pod wspólnym szyldem "Eleonora Fish" jak wirusowa choroba objęła niemal całe miasto.

Mało było takich, którzy wiedzieli, jak zapełnić stawy, a jeszcze mniej byłoby tych, którzy mieli pomysł, czym je zapełnić.

Już samo prostespostrzeżenie, że ryby podobnie jak inne stworzenia sklasyfikować można w jakieś gatunki i rodzaje, był dla wielkich potentatów kłopotliwe.

- Ryby tonasza europejska przyszłość!

- powtarzali nieszczerym śmiechem ci, których naród obrał na przywódców.

Całej reszcie pozostało tylko w teogłupiające zapewnienia wierzyć.

Był wczesny ranek i zapach nieistniejących ryb dało się w Łodzi czuć tak dobrze jak nigdy przedtem.

Poranne słońce, pojawiające się w wychodzącym na wschód oknie punktualnie o szóstej, przedwcześnie zbudziło Milenę.

Chłopcy spali jak zabici.

159.

Uśmiechnęła się na wspomnienie, jak przez pierwszetrzy lata swego życia sypiali tak spokojnie, że przykładała im w nocy lusterko do ust, aby sprawdzić, czy wciąż oddychają. Kiedy budzili się, komunikując przeraźliwym wrzaskiem, że natychmiast muszą coś zjeść, nie mogła wprost wierzyć, iż pomiędzy dziećmi dziennymi i dziećmi nocy

może być aż taka różnica.

Wciąż byli jej najlepszymi kompanami na życie.

Antek wyciągnął się, obejmując za szyję Adasia.

Ten odwzajemnił się, mocno i serdecznie przytulając brata.

- Dziwne - powiedziała na głos - iż tak niewiele osób zauważa, że są przesympatycznymi brzdącami.

Chłopcy jak na komendę zamruczeliz zadowolenia.

Czasami Milena Fortuna ulegała pasjonującemu złudzeniu, że stwarza świat.

Poświęcała temu boskiemu przywilejowi cały swój wolny czas, z premedytacją wykradziony bezbarwnej rzeczywistości.

Przestrzeń swą tajemną projekcją marzeń najczęściej znajdowała o świcie lub w środku nocy, gdy nikt nie mógł jej przeszkodzić w oddawaniu się marzeniom.

Wydawało jej się, że wszystko, począwszy od półki w szafie, a skończywszy na budynkach, drogach i wodociągowej sieci, jest dziełem jej własnego dążenia do absolutnej harmonii.

Wyobrażała sobie płynącą w rurach wodę, syczący gaz, miarowo szmerzący w drutach wysokiego napięcia prąd i doznawała przyjemnego uczucia pełnego zjednoczenia z planetą i kosmosem.

A potem czuła przykrość na wspomnienie każdej popękanej płyty chodnikowej, skrzywionej latarni i brudu podwórek.

Świadomość nieśmiertelnej, władającej światem entropii nie dawała jej spokoju.

Gdyby choć na jeden dzień mogła zamienić się z Bogiem na miejsca, zmieniłaby przede wszystkim prawa statystyki, zastępując przypadek regułą, a wszechobecny kłębiący się chaos - idealnym ładem.

Bóg, podobnie jak człowiek, nie jest pedantem - żałowała, patrząc w przekrzywiającą się nad głową sufit.

- Bóg

160

jest efekciarzem, a jak znamyście, z efekciarstwa jeszcze nicna dłuższą metę dobrego nie wynika.

Ta smutna refleksja nigdy jednak nie zaburzała jej optymistycznej natury.

Nadając wszelkim bliskim sobierzeczom i osobom wygenerowane w swej wyobraźni kształty istot idealnych, każdego dnia rzucała Stwórcy rękawicę.

Każdego dnia również wyzwanie to było nanowo podejmowane.

Milena czuła obecność Najwyższego bardzo wyraźnie, bo cokolwiek by zrobiła, zostawało to tak czy owak zniszczone.

Zdmuchnięte przez wiatr jak tybetańska mandala malowana w pocie czoła kolorowym piaskiem.

Był to najlepszy dowód, że nie jest Bogu obojętna.

Może był to wręcz jedyny namacalny dowód na to, iż Bóg ją kocha.

Śmieciarka zadudniła zgrzytliwym hałasem przewracając się metalowych puszek na odpadki.

Przez chwilę patrzyła, jak mężczyźni w pomarańczowych kombinezonach zaszczą kontenery do wozu, krzycząc coś niezrozumiale dokierowcy.

Brzmiało to mniej więcej jak:

- Te hene urrrry!

Później dorzucili jeszcze dwa słowa, z których jedno zabrzmiało jak dość nieelegancka, aczkolwiek powszechna nazwa męskiego narządu płciowego.

- Jak ci się ten (znowu wiadoma nazwa)urwał - odkrzyknął mu kierowca - to zostaw (znów nazwa!) tam, gdzie stał, bo i tak nikt nie zauważy.

Mężczyźni odciągnęli kulawy kontener na miejsce, podłożyli kamień w miejsce urwanego koła i spokojnie odjechali dalej w akompaniamencie trzasków i ryku silnika.

Na podwórku bibliotekarka z parteru bezskutecznie nawoływała swojego kota. W jej sześćdziesięcioparoletnim dorobku ten pręgowany dachowiec był zdecydowanie najważniejszy.

- Widzieli gdzieś mojego kota?

- zawołała, gdy tylko dostrzegła Milenę za odsuniętą firanę.

Pokręciła przecząco głową.

Od kiedy miasto spowiło się dyskretnym zapachem ryb, koty samowolnie opuszczały przytulne więzienia swych mieszkań i wiedzione instynktem drapieżników, ruszały w świat w poszukiwaniu przygód.

Na razie nikt nie potrafił zapanować nad tą niezwykłą epidemią ucieczek.

- Pechowy dzień - stwierdziła sąsiadka.

- Raczej tak - potwierdziła ostrożnie Milena.

- A tak w ogóle, co wy możecie wiedzieć o pechu!

Milena zasunęła firanę.

Nie miała ochoty na udawaną przejmność.

Widząc to, bibliotekarka prychnęła z wyższością.

Nic nie mogło się przecież równać z chwilowym zagubieniem się niedyscyplinowanego kota.

Wdowa po Marianie przez dłuższą chwilę zastanawiała się, czy nie wyciągnąć jakiegoś głębszego wniosku z wydarzenia i nie dopisać czegoś do listy życiowych porażek, ale przypomniała sobie, że listę przed chwilą podała i dopisywanie czegokolwiek było już bezsensowne.

- Sąsiadko!

- zawołała staruszka, wiedząc, że dziewczyna nie mogła oddalić się zbyt od okna.

Tajemnik postanowiła ją zignorować.

- Pani Mylenko!

- wołała tak długo, aż ujrzała jej głowę.

- Słuuucham.

- Jesteście młoda.

Milena założyła rękę na rękę.

- Co powiedziałam?

- Że jestem młoda.

- A, właśnie!

- ucieszyła się staruszka.

- I zazwyczaj bardzo uczynna.

Choć naturalnie niezawsze - poprawiła się

szybko.

Milena miała szczerą chęć się uśmiechnąć, ale postanowiła nie dawać sąsiadce przedwczesnej satysfakcji.

Dobrze wiedziała, z czym mogawiazać się wygłaszane o szóstejrano komplementy.

162

Naturalnie, nie myliła się w swych przypuszczeniach, bo nim minęła minuta, ta zaproponowała jej udział w poszukiwaniu kota, nadmieniając, że nie obraziłaby się, gdyby dokładnie i sumiennie przeczesała całe osiedle.

- Ze szczególnym uwzględnieniem śmietników - dodała bibliotekarka, ucieszona, że tak łatwo przyszło jej namówić młodą sąsiadkę do tego niewdzięcznego zajęcia.

Milenę Fortunę kusiło, żeby opowiedzieć, iż widziała, jak sprzątający przed dwoma kwadransami pracownicy MPO wyrzucali coś hałaśliwego z kontenerów na śmieci, ale wspaniałomyślnie powstrzymała się od złośliwości.

- Spacer dobrze mi zrobi - przekonywała samą siebie.

Następnie pół godziny spędziła na bardzo pouczającym spacerze wokół osiedla.

Obserwując wystawy w otwierających się sklepikach, Milena zauważyła, że ceny wzrosły nieoczekiwanie o dziesięć procent.

Kiełbasa podwawelska kosztowała 24 zł, a żeberka 12 zł.

Ponieważ większość mieszkańców uznała takistan rzeczy za skandal, sprzedawcy solidarnie obniżyli ceny wódek orówny pięć złotych na butelce.

Początkowy entuzjazm ostygł, gdy okazało się, że rabat obejmuje tylko smakowe alkohole z najwyższej półki, które ludzie kupują jedynie w niezwykłych okolicznościach.

Szła, zaglądając do nowych zadaszonych śmietników, tych ledwie ogrodzonych i tych, które powoli zaczynały zmieniać się w wielkie przydomowe śmietniska, pełne starych wersalek uwielbianych przez bezdomnych i koty.

Mając nadzieję na odnalezienie Mruczka, przyglądała im się bardzo wnikliwie.

Przy każdym ze śmietników spotykała ludzi, milkiwych i zajętych swoimi sprawami, które najczęściej ograniczały się do przerobionego na mini wagonik dziecięcego wózkadła niemowląt, pełnego złomu i makulatury.

Jeśli synowie bardzo doceniali, że są jeszcze dorośli, którzy tak niezmordowanie kultywują zabawy z dziecińczych lat.

Sami niejed163.

nokrotnie wspominali, że marzą o takiej zabawce i - mimostanowczego protestu Mileny - wymogli na kulawym seniorze Jebace Bładym solenną obietnicę załatwienia podrasowanego wózka od jednego ze znajomych zbieraczy makulatury.

To karkołomne przedsięwzięcie mogło dojść do skutku, bo podziemny handel podprowadzanymi sobiewzajemniwózkami kwitł w najlepsze.

A odnalezienie wózek własnej konstrukcji u kogoś innego nieodmiennie kończyło się bitwą na śmierć i życie, połączoną z obelgami i najgorszymi wyzwiskami, jakie tylko pokrzywdzonemu mogły przyjść do głowy.

Złodziej lub ten, który świadomie nabył lipny towar, nigdy nie pozostawał dłużny i o żadnych wyrzutach sumienia nie mogło być mowy.

Współczesna cywilizacja miejska zmieniła prawo dżungli na prawo śmietników.

Milena co krok mijała twarze, na których nie było ani sympatii, ani wrogości, tylko tępa obojętność skazanego nadość monotonna praca zbieracza najlichszych z lichych skarbów. Wszyscy oni byli mniej lub bardziej do siebie podobni.

Raczej bardziej - zauważyła w duchu, obserwując ciemne, zamknięte twarze, do złudzenia przypominające oblicza hinduskich pariasów.

Szli, starannie unikając wzroku obcych i swojego nawzajem.

Nie ulegało wątpliwości, że spotykając się codziennie na obchodzie osiedla musieli znać się bardzo dobrze, a jednak niewymieniali między sobą ani pozdrowień, ani uścisków, ani uśmiechów.

Zupełnie nic.

Nie szukając śmieci ani nie wyrzucając ich nowej dostawy, zupełnie niczemu niesłużąca i niepotrzebna Milena poruszała się wśród nich, jakby miała na sobie czapkę niewidkę.

Wtem po drugiej stronie ulicy usłyszała huk towarzyszący wyrzucaniu zawartości kosza na chodnik.

Podejrzewając, że może to świadczyć o bliskiej obecności kota z temperamentem, szybko przebiegła przez jezdnię, zwracając nagłos kocurowi.

Ku własnemu zdziwieniu znalazła nie tylko kota, ale również 164

niez dawną znajomą: ubierającą się w hipisowskie szmatkistara wariatkę.

- Dzień dobry!

Cieszę się, że znów się spotykamy - Mili lena przywitała się aż nazbyt wylewnie.

Częściowo z radością z odnalezienia kota, częściowo na wspomnienie serca, jajki oryginalna kobieta okazała jej w momencie straty pracy.

Od razu zauważyła, że niezachowała się tak jak trzeba, bo kobieta automatycznie zrobiła wielki krok w tył.

- Oho ho!

- mruknęła bez entuzjazmu.

- Jeszcze chwilę byś rzuciła się na mnie z łapami.

Milena spojrzała na towarzyszący zbieraczczemu wózek i jej nieprzystępną dziś twarz.

Wózek udekorowany był fantazyjnymi frędzelkami i pomponami podcinanymi z czapek różnych kolorów, wielkości i wieku.

Do kółek przytroczone były obfłuczone odpustowe dzwoneczki, wydające niskie, chrapliwe dźwięki.

Kobieta z satysfakcją odnotowała zainteresowanie Mileny swoim dziełem, gładząc pustawy wózek, zapełniony w znacznej części kocurem starej bibliotekarki.

- Och, zupełnie tam nic nie mam.

To nie sezon!

- Tak pani mówi?
- zdziwiła się Milena, zerkając na wyjątkowo spokojnego kota.
- No, jasne.

W taką pogodę nawet powietrze stoi w miejscu, a co dopiero interesy!

-oburzyła się właścicielka wózka, lecz oburzenie szybko ustąpiło miejsca rozmarzeniu.

- Tydzień przed Bożym Narodzeniem, albo jeszcze lepiej - przed Wielkanocą.

Teporządki, oczyszczanie przestrzeni, wyrzucanie zwitków banknotów schowanych przed latyw zjedzonym przez mole płaszczubabci.

Smutnemu szczupłemu mężczyźnie, który przysłuchiwał się im dyskretnie, jednocześnie bez entuzjazmu przeczesując aluminiową łaską środkowy kontener, na chwilę zabłysły oczy.

Na ten ułamek sekundy wydał się Milenie całkiem sympatyczny, co nieopatrznie wyraził uśmiechem.

Mężczyzna błyskawicznie odwrócił oczy, na powrót zatrzaskując się swojej skorupie. Kiedy pospiesznie odleciał.

dała się od śmietnika, kobieta przybrała poważny wyraz twarzy.

- Znasz go?

-Nie.

- Więc nie powinnaś obrażać go spojrzeniem.

-To jakieś bzdury!

Nic nie zrobiłam temu człowiekowi.

Rozmówczyni ze współczuciem pokiwała głową.

- Ich nie da się obrazić słowem ani czynem, tylko spojrzeniem kogoś takiego jak ty.

Chyba to dość oczywiste, że ludzie mogą nie życzyć sobie, żeby się na nich gapić?

Milena odezwała się.

- Jeśli chcesz - zaproponowała tamta - mogę go za ciebie przeprosić.

-W takim razie powiedz, że nie znam jego kodeksu honorowego.

Parsknęła.

- Powiem, że jesteś głupia.

To wyrówna rachunki.

Milena odpowiedziała coś z przekąsem, co kobieta zbyła obojętną miną.

Chwilę potem, gdy mężczyzna zniknął za horyzontem zastawionym przez czerwoną ciężarówkę z coca-colą, spojrzała na młodą wdowę przyjaźniej.

- Więc- rozpoczęła - znalazłaś sobie nową pracę.

-To widać?

- Milena zdecydowanie nie miała zamiaru podejmować tego tematu.

Uważała, że w jej sytuacji opiekowanie się dziadkiem Leona, choć bardzo opłacalne finansowo, w sensie rozwoju zawodowej kariery było zupełnie degradujące.

- Widać, widać!

Początkujący, moja droga, zawsze nim zainwestują w narzędzie pracy - tu z dumą wskazała na swój wózek - męczą się ręcznie z siatkami, foliami i czym tam jeszcze chcesz.

Chwali się, że w przeciwieństwie do większości ładnie się do pracy ubierasz.

Ale - tu ostrzegła ją zyczliwie - dźwigając ręcznie pudła, nigdy nie zadasz prawdziwego szyku na ulicy.

Dużo się w życiu Mileny ostatnio zmieniło, nawet fakt,

166

że rozmawia z tą wyglądającą jak zdrowo szurniętą babcią, był czymś, co nie mogłoby mieć miejsca jeszcze miesiącem.

Jednak podejrzenie, że wstała od rana, by zbierać makulaturę, wydało jej się tak absurdalne, iż na moment zapomniała o strachu, jakiego napędziły jej bóle wężłochłonne, i po raz pierwszy tego dnia serdecznie się roześmiała.

- Dzięki Bogu znalazłam taką pracę, która nie wymaga inwestycji.

-Doprawdy?

- starsza kobieta wydała się zawiedziona.

-Rezygnujesz z wielce pasjonującego życia.

- Trudno.

W głosie Mileny jakoś ciężko było się dopatrzeć żalu.

- Twoja sprawa - upierścieniona (biżuterią najprawdopodobniej własnej produkcji)

ręka pogłaskała kota.

- Prawda, Mimi?

- Nie, on nie nazywa się Mimi - zaprzeczyła Milena.

-Znaczy, chciałam wyjaśnić, że kot, którego pani trzyma, należy do mojej sąsiadki.

A ja, choć to głupio zabrzmiało, szukam go po wszystkich śmietnikach, żeby zwrócić właścicielowi.
Nie interesuj mnie ani makulatura, ani zadawanie szyku.

Rozmówczynie przecząco pokręciła głową.

- To zdecydowanie mój kot.

Jego poprzednie życie zupełnie nie obchodzi.

Prawda, Mimi?

Mimi, zwany w swoim poprzednim życiu Mruczkiem, miauknął uprzejmie.

Milena przyznała głośno, że takich przeżyć nigdy by się nie spodziewała.

- Odkąd pozwoliłam Mimi pomieszkiwać kątem w moim wózku, jego maniery stały się bez zarzutu.

Kot istotnie wyglądał na szczęśliwego.

- Polubił panią - zgodziła się Milena.

- Tyle że dla mojej sasiadki ten koci powiniog jest całym życiem.

- Nie szerzymy kociego niewolnictwa, dobrze?

- Mam powiedzieć bibliotekarce, że wpadł pod samochód?

Kobieta popatrzyła na starego kocura z ukosa.

Czującej

167.

wzrok, fiknął w wózku kozła i wzorem małego kociaka położył się, odstawiając do głaskania łysawy brzuszki.

- No.

- zawałała się- tegonie powiedziałam.

Mruczek vel Mimi, czując, że ważą się jego losy, ponownie fiknął kozła.

Dla jego starych gnatów musiało być nie

ładawczyn.

- Jeśli chodzi o mnie - uczciwie przyznała Milena - możesz sobie pani go zatrzymać.

Lubił kiedyś mojego męża.

Ale ani ja, ani mojedzieci jakośdo tej pory nie mogliśmy sięz nimdogadać, więc nie będziemy wylewać łez.

Kobietanie odrywała wzrokuod kota, ciągle ważąc cośw duchu.

- Skoro Mimi miał poprzednieżycie, musi się z nim rozstać z godnością.

Kot miauknąłżałośnie.

Załatwianie spraw z godnościąstanowczonie leżałow jego wygodnickiej naturze.

Kolorowe poplątanechusty zsunęły się z wciąż silnychramion kobiety, gdy ta przyklękała nad wózkiem.

Patrzącw brudny rudy pyszczek, chuchnęła węń trzy razy.

Milena, patrząc na osobliwą parę, westchnęła ciężko.

- Trudno - kocia kidnaperkapodniosła się z kolan -póki co, będę się dzielić Mimi.

Włożyła szamocącego się Mruczka w ramiona Mileny.

- Dziękuję w imieniu właścicielki.

Zamiast odpowiedzi kobieta demonstracyjnie odwróciła się i ciągnącza sobą wózczyk, odeszła przy dźwiękudzwońków.

Wracając z kotem na rękach, Milena odwróciła się na moment.

Przed słupem ogłoszeniowymkobietacudak baczniecoś analizowała.

Najpierw dokładnie obejrzała się, czy niktjej nieśledzi, a w końcu jednym sprawnymruchem zerwała wszystkie znajdujące się na nim identyczne karteczki.

Jedną z nich schowała głęboko za dekolt bluzki, pozostałe zaśgniotła i wyrzuciła do kosza.

- Co onarobi?

- zaintrygowana Milena rozluźniła uściski kot jednym sprawnym susem oswobodził się.

168

Spojrzała w śladza nim zrezygnowana.

Przeklęła cicho, apotem pod wpływem impulsu ruszyła wprost do kosza, w którym znalazłapęk ściśniętych w zbitą kulę ogłoszeń.

Wszystkie zawierały dokładnie tę samą treść.

Milena osłupiała.

W centrum każdej kartki był wizerunek niedbale nakreślonej ryby i jedno jedyne pozornieniewinne hasło:

Kim był naprawdę Marian Fortuna?

Milena, której zdanie naten temat mogłoby najbardziej się liczyć, wpatrywała się w pytanie, jakby zrozumienie jego" treści przekraczało jejzdolność pojmowania słów.

Nie ona; jedna.

Ludzie zachodzili w głowę, kto mógł coś takiego poroz!

wieszać i co autorpytania miał namyśli.

Niektórych pytanie bawiło, innych niepokoiło albo nurtowało, zmuszając do!

głębszej analizy życia rzeczonoMariana.

Wnioski nierazbywały niezwykle.

Pytanie o Mariana powtarzano sobie z ust doust.

Ci, którzy kiedykolwiek mieli okazję z nim zetknąć, odpowiadali jednym krótkim:
- Nikim!

Lecz prawem plotki wiadomo było, że gdyby istotnie był nikim, nikt też nie zadawałby sobie trudu pytania o to, kim w istocie był.

Wówczas ci, którzy nie potrafili przypisać Marianowi żadnych sensownych przymiotów ducha, zastanawiali się intensywnie i dochodzili do nieco naciąganych wniosków, iż w gruncie rzeczy Marian zmienił nieco ich życie na lepsze.

A to kradnąc rower- i zmuszając tym samym do chodzenia na pieszo i lepszego obcowania z naturą, a to ogrywając w karty, a co za tym idzie - skutecznie oduczając od nałogów.

Kumple z pracy z ręką na sercu mogli przysiąc, iż śmiertelny upadek Fortuny wprost do stygnącego betonu nauczyli ich, żeby odsuwać koryto z betonem pod drzewo.

Żaden z nich bowiem nie marzył o własnym udziale w polu 169.

wtórce spektakularnego zejścia z tego świata.

Naturalnie nikomu z kolegów z pracy nie nasunął się oczywisty wniosek o ograniczeniu spożywania w pracy trunków, ale też nikt, kto zaintrygowany tajemniczym hasłem dociekał całej prawdy o M.

F., nie spodziewała się aż takich cudów.

14

Tego samego dnia, zanim nastał południe, Milena Fortuna przystąpiła do wyprostowywania obyczajów panujących w domu Leona.

Stwierdziła, że sławetny dziadek okazał się łagodny jak baranek.

Jego towarzystwo było dla niej, przyzwyczajonej do całodobowej obecności dzieci, zabawną odmianą.

Pod wieloma względami dziadek przypominał sześciolatka.

Nawet upodobania kulinarne miał równie oryginalne jak bliźniaki.

Blada ostrzegła ją przed nim, twierdząc, że staruszek trudno będzie polubić.

Zapowiadało się jednak całkiem inaczej.

- Wiesz, co oznacza dobra kuchnia?

- Dziadek Leona zapytał, zanim jego nowa opiekunka zdążyła postawić stopę w drzwiach.

- Co? - odpowiedziała niepewnie, mając wrażenie, że bierze udział w jakimś dziwnym teleturnieju.

- Dobra kuchnia to tłusta kuchnia.

Żadnego więcej pytania.

Ani słowa o kwalifikacjach, referencjach i stażach.

Ani jednego pytania na temat idiotycznego włókna.

Milena była zaskoczona, że jej tak łatwo poszło.

Już za to sama gotowa była szczerze polubić dziadka.

Od niepamiętnych czasów doskonale знаła rodzinę Leona, lecz po raz pierwszy miała okazję znaleźć się w ich mieszkaniu.

Spotykała ich w sklepie, na ulicy w kościele.

Dopiero teraz jednak zrozumiała, jak znając wszystkich mieszkańców osiedla, niewiele wie o ich życiu.

170

Domy ludzi, wciśnięte jak ptasie dziuple w szare kilkupiętrowe budynki, zawsze kojarzyły jej się z oazą spokoju i ucieczką przed gwarem podwórkowego życia.

W mieszkaniu dziadka Leona było zgoła odmiennie.

Przekraczając jego progi, opuszczało się świat, który okazywał się ostoją niemal prowincjonalnej głuszy.

W środku ogromny plazmowy telewizor, podłączony dopięciu głośników, huczał tubalnym głosem jednego z sejmowych mówców tak donośnie, że Milena zaczęła się zastanawiać, czy dziadek nie cierpi na swoistą formę masochizmu.

Miała ona polegać na zmuszaniu się do nieustannej; wysłuchiwanie politycznych wiadomości, gadających jak nakręcenie spikerów telezakupów i innych wierutnych bredni przez kolumny o mocy kilkuset watów, rozmieszczonych tak precyzyjnie, by nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że przerośnięty telewizor mówi doń naraz z kilku różnych punktów dookoła głowy.

Zaskoczona mocą domowego kina dziadka Leona, nie od razu zauważyła włączone w kuchni radio i migający bum-box w drugim pokoju.

Wyłączenie całej tej maszynerii zajęło Milenie dobry kwadrans.

Dziadek Leona, zaskoczony ciszą, która zapanowała;

w domu, nabrał przekonania, że w bloku wysiadły korki.

Milena postanowiła chwilowo niewyprowadzać go z błędu.

Zdawała sobie sprawę, że rodzice Leona są zamożni, ale w żaden sposób nie przypuszczała, że na powierzchni czterdziestu metrów kwadratowych dwupokojowego mieszkania może zmieścić się aż tyle elektronicznego sprzętu.

Ich dom przypominał gangsterską dziuplę łupami lub wielki lombard.

Z tym że tam zdarzały się rzeczy używane, a tu stały wyłącznie fabrycznie nowe modele błyszczących cacek.

Milena mimo nieskrywanego zaskoczenia była wystarczająco przytomna, by dostrzec smutek ziejący z tej kosztownej, niepotrzebnej nikomu kolekcji.

Wszyscy jej sąsiedzi byli biedakami, niezależnie od ilości pieniędzy, które przy171.

nosili do swoich domów.

A biedacy najbardziej na świecie kochali kupować.

Im gorzej powodziło się ludziom, im bardziej byli przygnębieni i zaszczuci, tym bardziej pożąдали rzeczy.

Zwykle prawo nędzy.

Tak jak to, że marzenia biedakom potrzebne są o wiele bardziej niż bogaczom.

Nie były to jednak wesołe marzenia, bo rozpałały duszne żądze, które popychały do kradzieży, zbrodni hazardu.

Ci, których nie stać było na nic, zapożyczali się w bankach i lombardach.

Życie "na kreskę" nigdy nie było tu powodem do wstydu.

W domu, w którym Milena znalazła się, tandetnie mieszała się z bijącym w oczy blichtrzem.

Rozpadające się meble były podparte przez stosy wysyłkowych katalogów z najróżniejszymi zbędnymi gadżetami.

Bez trudu nabrała podejrzenia, że większość zgromadzonych tu przedmiotów pochodziła właśnie z katalogów i telewizyjnych programów wysyłkowych.

Rodzina Leona żyła jak bogaci kłoszardzi, a na straży całego ich dobra stał dziadek.

Niestety, pamięć nieco mu szwankowała i opowiadał niewiarygodne zdurzyo tym, że skarby te zajął Niemcom lub (w zależności od dnia) Rosjanom z Kamczatki.

Czasem chował telefon bezprzewodowy lub drukarkę pod kołdrę, twierdząc, że wykonuje służbowe rozkazy.

Innymi razy zachowywał się zupełnie spokojnie, jakby całe te gry w podchody w ogóle nie miały miejsca.

Milena szybko sklasyfikowała przypadek dziadka Leona jako zupełnie niegroźny, a pracę polegającą na spędzaniu z nim kilku godzin dziennie uważała za całkiem relaksującą. Odkryła również, że dziadek Leona nieźle gra w karty.

- Należałoby poważnie rozważyć, czy nie wziąć go na parę do brydża - wyznała nawet Bladej.

Ta oznajmiła jednak, iż nie zna nikogo, kto by pożywał towarzystwo dziadka Leona.

Testowa zaniepokoiła Milenę.

Przypomniały jej czasy, kiedy także ona bała się samotności i ufała, że Marian będzie remedium na te lęki.

Nie był.

Od tego czasu polegała

172

głównie na sobie i w tym dostrzegała swoje podobieństwo do dziadka Leona.

Poza tym tak jak on lubiła grać w karty.

- Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma szczęście w miłości - twierdził dziadek.

- Musiałem przeżyć całe życie, żeby w końcu postawić na to pierwsze.

- To tak jak ja - westchnęła Milena.

- Ukochany uciekł?

- Usiłował inteligentnie wybadać wdowę.

W własnym mniemaniu szło mu doskonale.

Z powodu słabej pamięci dziadek nie pamiętał już, czy nie zadał tego pytania wcześniej, ale absolutnie mu to nie przeszkadzało.

Z zainteresowaniem nadstawił uszu i uważając, by nie zgnieść pilota do wieży, umościł się w starym trzeszczącym fotelu.

- W pewnym sensie.

W zaświaty - odpowiedziała spokojnie na pytanie.

- Łobuz.

-Nie - Milena potrząsnęła głową.

- Zperspektywy czasu widzę, że to był najszlachetniejszy czyn w całym jego życiu.

Uśmiechnęła się nieskrywaną dumą z samej siebie.

Przez całe dziesięć lat małżeństwa nie powiedziała o swoim mężu tyłu dobrych słów, co ostatnio.

Uważała, że postępuje bardzo szlachetnie.

Najlepszym dowodem jej wielkoduszności był fakt, iż Marian całkowicie znikł z jej życia.

Słyszała tu ówdzie, że pojawiał się w postaci pękatej ryby-dziwa, lecz syn jej i dzieci przezornie omijał szerokim łukiem.

Widać czynił to ze szczerej wdzięczności za dobre wspomnienia.

A może, po prostu, Milena była już zbyt uodporniona na jego kiepskie sztuczki?

- Więc nie masz pretensji do męża?

- dziadek podświadomie podniósł głos, aby pływająca w wannie ryba mogła go usłyszeć.

Zamiast odpowiedzieć wzruszyła ramionami.

Postanowienie o niewiązaniu się nigdy więcej z żadnym żywym lub martwym mężczyzną podjęła już w dniu śmierci 173.

ci Mariana.

Było to, co prawda, drugie tej treści postanowienie w jej życiu, lecz na razie, nie znalazł się nikt, za czyją sprawą chciałaby to postanowienie zmienić.

Pierwszy raz, kiedy zrozumiała, że nie warto się zbyt przywiązywać ani do ludzi, ani nawet do życia jakotakiego, miała miejsce piętnaście lat temu, kiedy umarł jej ojciec.

Milena pobłażliwie pokiwała w stronę dziadka Leona, który pocieszająco zapewniał ją, że widocznie nie odziedziczyła po ojcu tej nieszczęsnej słabości, bo wygląda nataką, która serce ma nie tylko mocne, ale i gorące.

- Skoro pan tak mówi, musi coś w tym być.

Nie była wcale tego taka pewna.

Dziadka Leona najbardziej zdziwił w Milenie zupełny brak zainteresowania jego niecodziennym współlokatorem.

Sława przemawiającego karpia ogarnęła nie tylko całą dzielnicę, ale rozprzestrzeniła się poza granicę Bałut, a nawet miasta.

Nie było nikogo, kto spotkawszy dziadka lub kogoś z jego rodziny, nie napomknąłby o rybie. Byli teżtacy, którzy wężąc w pojawieniu się na świecie tak wymownego chrześcijańskiej tradycji symbolu, posuwali się w swych przypuszczeniach do bałwochwalczych tez o niebiańskim zwiastuniecie ziemskiej apokalipsy.

Ci byli najgorsi, bo nie mając szacunku dla przyjaźniczłowieka i zwierzęcia, potrafili męczyć dziadka pytaniami o naturę rzeczy, o której ten niemógł (i nie chciał) mieć pojęcia.

Tymczasem Milena nie pytała zupełnie o nic, jak gdyby dziadek zwyczajnie pomieszkiwał z psem lub kotem.

Powoli nabierał przypuszczeń, że albo nie chce nic na temat ryby wiedzieć, albo też sama wie o niej o wiele więcej od innych ludzi i pytać - tym samym - nie musi.

Z niewiadomych przyczyn ryba również nie chciała spotkać Mileny.

- Już na sam dźwięk jej imienia gadzinie odbierało ino 174

we - wyznał dziadek Leonowi dzień przed pierwszą wizytą nowo zatrudnionej opiekunki.

- Martwię się, żeby nie zdechła ze strachu przed wdową po tym utracjuszu.

Fortunie.

Na szczęście nie zdechła.

Natomiast milczała zacięcie tak długo, aż wnuczek nie zszedł do sklepu zoologicznego po najdroższą eksportową mieszankę.

W tym czasie dziadek wlał do wanny setkę trzymanego na czarną godzinę spirytusu, słusznie mniemając, iż ten zabieg rozluźni trochę skołataną nerwy rybiego towarzysza.

Od tego czasu musiało robić zawsze przed wizytą Mileny (czyli codziennie).

Dziadek Leona przed nikim nie przyznawał się do nowego zwyczaju, bo nikt z sąsiadów nie chciałby słuchać prorocत्व pijanej ryby.

Najgorsze było, że im bardziej staruszek wpędzał karpia w alkoholizm, tym bardziej ten przypominał mu Mariana.

Nawet jego mowa stawała się coraz bardziej sepleniąca, niewyraźna i rozlazła jak niegdysiejsze wywody świętej pamięci nieboszczyka Fortuny.

W celu badania relacji ryba-wdowa dziadek od czasu do czasu udawał, że zasypia, i uchylając powiekę, bacznie obserwował, czy znana z praktycznego podejścia do życia dziewczyna wyczuje w karpia ducha dawnego męża.

Tymczasem Milena, zupełnie nie przejmująca się symulującym sensem dziadkiem, natomiast bardzo przywiązana do porządkującej życie pedanterii, wywietrzyła pokoje, zrobiła wielkie odkurzenie, nauczyła się ściszać zestaw do domowego kina i nie okazując szczególnych emocji, wkroczyła do łazienki.

Dziadek Leona po chwili pełnego napięcia namysłu cichcem podążył za nią.
W samą porę.

Obraz, który zobaczył,:

tylko cudem nie doprowadził go do nagłej śmierci.

Milena stała pochylona nad starym żółtym lustrem trzymając w dłoni ścierkę nasączoną spirytusem (ukryta czarna godzina i zły humor karpia), śpiewała coś bez troski.
Dziadek Leona, nie zastanawiając się nawet zbytnio, czy pogrążonej w żałobie wdowie wypada tak otwarcie

175

żyć się z życia, oniemiał całkowicie, gdy wycisnęła ścieręwprost do wanny z karpem.

Na domiar złego z każdą upływającą sekundą wannaz wodą i karpem stawała się coraz bardziej wanną z samym karpem, bo gęsta od rybich przysmaków woda spływała przez wyciągniętą zatyczkę do kanalizacji.

Jeszcze moment, a ryba-dziwo udusiłaby się z braku wody.

Stojąc na progu łazienki, niezauważony przez Milenę, bezskutecznie próbował zaczerpnąć powietrza.

Poruszał otwartymi ustami dokładnie tak samo jak jego niemy przyjaciel - karp.

- Ehhh, heee.

- dyszał tak długo, aż trzymając się ściany, dopadł wanny.

Widok wciągającego rybę wiru w spływieomal nie uśmiercił go na dobre.

- Poo-ohmoo-czy!

- wyzipał w końcu.

Naszcześnie zauważyła go Milena, natychmiast przerywając skoczną piosenkę.

- O, Boże!

Zaraz panu pomogę!

- Nie, nie mnie!

Ryyybiee!

- Jakiej rybie?

Dziadek drżącym palcem wskazał na wannę.

W płytkiej brudnej zawieszynie coś przyspane do siatki odpływu wody zamotało się wściekle. Milena zmarszczyła nos, próbując odgadnąć, co też mogło wpaść do wanny.

(Później długo musiała się tłumaczyć, że skoronie jest weterynarzem, nie miała możliwości szybkiej identyfikacji podejrzanego wyglądu stworzenia).

W końcu ryba ostatkiem siły uwolniła się zkleistej mazi i na krótką chwilę odstoniła swój rybi pysk.

- O, kurczę!

- kobieta wyglądała na szczerze zafrasowaną.

- Najmocniej przepraszam.

Przysięgam, że jej niezobaczyłam.

Staruszek, zamiast zastanawiać się, czy jej wierzyć, czynnie, poprosił tylko słabym głosem:

- Ratuj rybę.

176

Na te słowa Milena, niewiele myśląc, jednym wprawnym ruchem amazońskiego rybaka chwyciła w nasączoną spirytusem szmatę odkryty rybi łeb i dziarsko pociągnęła rybę do góry.

Jęk, który wydobył się z płuc dziadka Leona, nie był westchnieniem ulgi.

- Mam ją!

- Do wody, szybko do wody.

- jęczał błagalnie.

- Z panem?

- Broń Boże!

- staruszek w tej jednej kwestii na wieki pozostał nieugięty.

- Z Marianem!

To jest: z moim karpem!

Nie bacząc na należyty gardłowej sytuacji pośpiech, Milena spokojnie zatkała korkiem odpływ wody i uzupełniła ją świeżą.

Popewnym czasie - zdaniem dziadka zdecydowanie za długim - wypuściła rybi łeb z spirytusowych oparów wprost do świeżej wody.

- Widzi pan!

- nie kryła dumy.

-Uratowałam jej życie.

W tej wodzie pański karp będzie mógł spokojnie doczekać Wigilii.

Gospodarz z przejęciem obserwował, czy ryba nie wypłynie do góry brzuchem.

Tej jednak, choć dość mocno zamroczonej spirytusowym kneblem ze szmaty, nadal miał się na życie.

- No, w tej brudnej zupie żadna normalna ryba nie przeżyłaby nawet godziny.

-Ta by przeżyła!

- Naprawdę?

- Milena nieoczekiwanie baczniej przyjrzała się karpowi.

Obrotne kulenie się i szorowanie ryby brzuchem po dnie świadczyło, iż zwierzę ma coś do ukrycia.

Tego dnia dziadek rozmyślał długo w swoim, po raz pierwszy lśniącym czystością domu.

Ledwie żywa i śmiertelnie obrażona ryba pływała w wyczyszczonej lizole w wannie.

Nie znosił świeżego powietrza, lecz zapach pachnących

177.

cytrynami środków do szorowania podłóg rozpraszał go dotego stopnia, że uchylił okno. Ku miłemu zaskoczeniu zauważył, że powietrze na zewnątrz swojsko pachniało rybą. Wychylił się więc śmieiej.

Na ulicy stała kobieta i głaskałaśazącego się do niej kota.

Jej bardzo oryginalny,dość niedbały strój wskazywał, że za nic ma nudne konwenase.

Pomyślał, że w pewnym stopniu są dosiebiepodobni, i to zaskakujące odkrycie spodobało mu się.

- Wszystkosieżmienia.

Nadaśana ryba obojętnie machnęła ogonem.

Jej nietowarzystkie zachowanie zupełnie nie zniechęciłostarca, któryodszedł samotnie zmagać się ze swoimi myślami.

Myślał tak długo, że wyjął z szuflady najostrzejszygwózdź i wystraszony widmem swej nieuchronnej śmierci(i utratą najukochańszego przyjaciela) napisał na ścianiew pokoju stołowym swój poetycki testament.

Miał on tylkodwie strofy głoszące prawdę o jego życiu.

Pierwsza częśćpoświęconabyła życiu przedkarpim, druga -pospotkaniu z rybim towarzyszem.

Niestety,jego wyskrobanej na murze pisaniny nikt nie potrafił odcyfrować i jej treść na wieki pozostać miała tajemnicą.

Po tym mrozącym krew w (karpich) żyłach wydarzeniucudowna ryba nie odezwała się przez cały tydzień, pogardliwie prychnąc na wszystkich, którzy tylko zbliżyli siędowanny. Stałosię zupełnie zrozumiałe, że Milena musi odejść.

Jej natychmiastowezwolnienie nie poprawiło jednak sytuacji,bo głupie zwierzę najakiś swój pokreconyrybi sposób zdawało się tęsknić za niedoszląoprawczynią.

- Ciesz się, że nie kazała zciebie zrobić gdańskiego rolmopsa- pocieszał karpia dziadek, lecz na próżno.

Ryba zbuntowałaśię przeciwłudziom.

Milena F.

, zdruzgotana nieoczekiwaną stratą pracy u dziadka Leona, ujrzała na murze bloku starannie wykaligrafowane hasło:

178

Czy już wieszcoś o MarianieFortuna?

Przeczytała uważnie.

Błąd w odmianie nazwiska zdenerwował ją, więc rozejrzawszy się skreśliła "a" i zamieniła na"ie".

Mimo korekty sens pytaniawydał jej się równie zawiłyjak poprzednio.

Westchnęła.

Milena w stosunkach z Bogiem była jak skrupulatna księgową.

Robiła bilans zyskowi strat, z którego niezbiciewynikało, że to Bóg wciąż jestna wierzchu.

Dziwnie jednak toodkrycie wcale jej nie martwiło.

Zawsze uważała, że ta wysoko ustawiona gra trzymała ją w dobrejformie.

Jedyne,czego niemogła przewidzieć, to strata dobrezpłatnej pracy.

W domu zapaliła papierosa, zaparzyła kawę i z braku innychśłodyczy zrobiłasobie na pocieszenie dwa opakowaniamocno przesłodzonego błyskawicznego kisielu z papierka.

Wszystko to pochłoneła w szaleńczym tempie bulimiczki.

- Żadnejulgi - Milena zrobiła rozzaloną minę.

- Gdybym umarła dzisiaj.

no, mozenie dzisiaj, za tydzień, miesiąc, zostawiłabym za sobą najbardziej głupiei beznadziejnezycie.

Zatkała cicho, gasząc papierosa w doniczce.
Nigdy wcześniej nie postępowała w ten sposób.
Wiedziała, że robi coś dziwnego, paskudnego i występnego.
Jednaknie czuła żalu za burzonym misternym porządkiem.

Płakała nad sobą, podduszonym kwiatkiem i nad brzydkiem okopconym brzegiem doniczki.

Od chwili fatalnych skutków zamachu na życie dziadkowego pupila zdarzało się jej płakać na tyle często, że powoli zaczęła znajdować perwersyjną przyjemność w wylewaniu łez.

Milena przypominała sobie wówczas wszystkie najgorsze rzeczy, które zrobiła, i najlepsze, których zrobić nigdy nie miała odwagi.

A że tych drugich zawsze było zdecydowanie więcej, pograżała się w swoim żalu ze zdwojoną energią.

Aby oddać rzeczom sprawiedliwość, Milenę nawet

179.

w chwilach wielkiej rozpaczycie ciężko było zaliczyć do trzpiotek, więc żeby nie zapomnieć, co leży jej na sercu, wyciągnęła kartkę czystego papieru i zapisała, co następuje.

Do spraw oczywistych, a zaniechanych bezpowrotnienależały:

Notoryczny brak pracy niezrobiona kariera.

(Jako inżynier włókiennictwa jakoś przewidywała już dalszego rozwoju zawodowego).

Wszystkie nieodbyte podróże.

(Ostatniawycieczka do Częstochowy okazała się bardzo tania tylko z tego powodu, że przez całą drogę jakiś namolny ludzianamawiali ją zakupić drogiego garnka).

Mężczyźni?

(Po dłuższym namyśle - brak komentarza).

Milena przeczytała swój spis dwukrotnie iostatecznie,po zastanowieniu podarła go, uznając listę za dowód, jak pustą osobą może się w istocie wydawać.

Ten fakt zmartwi ją nie mniej niż trzy punkty z kodeksu przegranego życia.

Tym samym w czwartek 20 sierpnia o godzinie 14.

02 Milena Fortuna podjęła życiowe postanowienie, aby stać się lepszym człowiekiem.

W liście osobistych priorytetów wpisała je na jednym z czterech czołowych miejsc, tuż przedpłatą mężowskich długów i znalezieniem godnego, dobrze płatnego zajęcia.

-15

Nieraz najgenialniejsze pomysły przychodzą zupełnie nieoczekiwanie.

Dowód na to dał najpierw Izaak Newton, pozwalając jabłku spaść na swoją głowę, przyobleczoną w arcy modną, lokowaną perukę, a potem wszyscy inni wielcy tego świata, na Albercie Einsteinie kończąc.

Irek niezbyt dokładnie wiedział, na czym konkretnie polegało genialne odkrycie

cię Einsteina, ale widział zdjęcie rozczochranego staruszka z wywieszonym jęzorem i uznał je za bardzo inspirujące.

Dziś miał się przekonać, że i on, Ireneusz Błady, nosi w sobie zalążek wielkiego dziedzictwa geniuszu.

Nigdy nie myślał, że iskra boża wystrzeli w chwili, gdy będzie przysłuchiwał się niechętny (bo świadomie nigdy tego nie robił) narzekaniom swojej matki.

- Szczeniaki tej rasy są tak drogie - brzmiał początek matczynych wywodów - że gdyby suka znalazła odpowiedniego partnera, ci starsi państwo, o których wam mówiłam, nie musieliby pracować do końca życia.

-Gadanie!

- mruknął zduszony ojciec, rozmasowując na oczach wszystkich obnażonego kikutą nogi.

-Psy rozmnażają się tak, że nie można za nimi nadążyć.

- Alenie ta suka.

Ona ma samych niesprawdzających

Się..

- ...

gachów - pomógł ojciec.

Irek zachichotał.

- Nie ma się z czego śmiać!

- zrugła go matka.

-Cipaństwo nie mają własnych wnuków isą tak zdesperowani, że gotowi są odpalić tysiaka każdemu, kto pomógłby im w ich psinie zaznacznego tego.

rozkoszy.

macierzyństwa!

- Tysiaka?

- zdziwił się ojciec.
 - To dopiero trafiłaś naskretyniałych ludzi!
 - Akurat!
 - matka niedawała zawygraną.
 - Takich, jakpowiedziałeś, "skretyniałych ludzi" jest o wiele, wielewięcej.
 - Miała w tej kwestii spore doświadczenie inie przepadała, gdy ktoś je kwestionował.
 - Cośtakiego.
 - Irek już się nieśmiał.
 - Naturalnie - matka patrzyła na wszystkich z wyższością.
 - Bo w świecie psiej arystokracji o odpowiednie kontakty trzeba zdrowo zabiegać!
 - Bardzo interesujące.
 - Irek intensywnie drapał się pogłowie.
- 181.

W tym momencie w miękkich zwojach jego mózgu, jakna urodzajnej próchnicznej glebie, zakiełkowało ziarno mające dać początek drzewku.

Ba, drzewu, by nie rzec:prawdziwemu baobabowi wśród zwykłych drzew.

Pomysł odpłatnego pośrednictwa erotycznego dlapsówzrodził sięnagle jak armatni wystrzał zwycięskiej salwy.

Gdyby się postarał, przy pomocy rozległychkontaktówmatki mógłby objąć swą działalnośćianie tylko dzielnicę,

ale wręczałe miasto!

Tysiąc złotych zainkasowane od każdej żądnej wrażeńsuki i tyle samo od psa dałoby mu pensję, jaka ustawiłabygoną całe życie.

Irek zaczął żałować, że wcześniej nato nie wpadł.

Po raz pierwszy patrzył na śpiącego u jego stóp pitbulla z iskrą zainteresowaniaw oku.

-On i suka nimfomanka nasam początek budowaniapsiej agencji towarzyskiej będą mi musiały wystarczyć.

Pitbull w kwestiach obronności był zupełną nogą, alemiał wygląd budzący respekt i istniała realna nadzieja, że w sprawach suk sprawdzać się będzie zupełnie przyzwoicie. Nim przystąpił do omawiania swojego planuz matką(niestety, interes beztej współpracownicy nie miałby większego sensu), wyłuszczył wszystkim podbudowęobyczajową,która pozwalała sądzić, iż biznes skazany jest na wielki

sukces.

- Żyjemy w społeczeństwie wyedukowanym seksualnie, czyż nie?

- zapytałpoważnym głosem.

Matka i ojciec skwapliwie kiwnęli głowami.

Irek postanowił swe przemówienie oprzeć na ogólnonarodowym przekonaniu, że pies musi się wyszaleć, a sukęraz do roku należy dopuścić.

To niezbywalneprawo wszelkiego stworzeniado zaspokajania biologicznychimperatywów wprost przenosiło się napieniądze, mające spływać do kieszeni Irka.

- Pomysłten jest takgłupi, że aż genialny!

- zakończył,oczekując zasłużonych owacji.

182

- Zgadza się - zachichotał ojciec, rozbawiony myślą, że doczekał się w domu zooburdelu, a jego jedyny syn postanowił zostać psim sutenerem.

Matka i siostra, dla równowagi, wyglądały na załamane.

Nazajutrz, w czasie, który na południu od Alpnosi nazwę sjęsty, Irek udał się do centrum, żeby zamieścić ogłoszenie w najpoczytniejszych dziennikach w mieście. Przedtem dyskretnie wypytał kioskarkę o preferencje właścicieli psów. Ku jego nieopisanemu radości okazało się, że są one całkiem inne niż kociarzy, chomikarzy czy rybakarzy dzięki tym badaniom zaoszczędził sporo pieniędzy.

Pomyłkę kasjera z punktu prasowych ogłoszeń (52 złotych korzyć Irka) przyjął za dobrą wróżbę, więc w ramach pierwszej inwestycji kupił pitbulowi wybijany ćwiekami, bardzo seksowny puszonek. Miał cichą nadzieję, że z tym odważnym strojem uda się zatuszować kilka braków niemłodego już psa.

Nie pomylił się za bardzo, bo już wieczorem trafił się pierwszy klient. Irek rozpoznał w nim chłopaka bez zębów, handlującego czarnym popadnie na bałuckim rynku, który przywitał go najpierw swojskim i radosnym:

- Bierę!

A potem chciał koniecznie odkupić pitbulla twierdząc, że cena nie graroli.

- Nie da rady - skwitował krótko Irek zapał handlarza.

- To pies rozplodowy.

Niewiarygodny ogier!

Chwył okazał się dobry, bo handlarzowi z chciwości aż ślina pociekła po brodzie. Nie mały w tym udział miała, naturalnie, imponująca kórza na uprzęż z ćwiekami.

- Ja cię pitole!

- chłopak bez zębów zawył z zachwytem, próbując prawą ręką zachęcić psa do agresji.

Kurozpaczy Irka spina swoim zwyczajem podkulila ogon i schowała się za pana.

Handlarz rozdziawił gębę ze zdumienia.

- Przebieraniec?

183.

- Niiieeee.

Zapewniam, że oryginał i normalnie bardzo cięty.

- Czy ja wim?

Irek dałznak chłopakowi, żeby nachylił się ku niemu.

- Jest na prochach - wyznał konspiracyjnym szeptem.

-Normalnie jest takostry, że gotów jest rozszarpać nawet właściciela.

Na twarzy handlarza zakwitł szeroki uśmiech uznania.

W tym momencie Irek mógł naocznie stwierdzić, że brakujemy znacznie więcej zębów, niż początkowo przypuszczał.

-Przystąpmy zatem do biznesu!

- zdecydował chłopakz rynku, pokazując na śpiącego w klatce kundla.

- Suczka?

- upewnił się Irek gwoli formalności.

- A jak!

- handlarz zatarł chude dłonie.

-Wybrałem ją, bo gadzinapioruńsko podobna do rotwajlera, tyle że niższa.

Suka istotnie była sporo niższa, bo z powoduabsurdalnie krótkich łap miaław kłębiezaledwie dwadzieścia centymetrów, co dawało średni wzrost miniaturowego pudła.

Napocieszenie, w pozycji leżącej wyglądała prawie normalnie.

- Ale od czego masię łeb do interesów?

- młodymężczyzna popukał się znacząco w czubek nieuczesanej głowy.

-Rozmnożę sukę zpitbullem i będzie takamieszanka, że nikt się nie pozna, że rotwajler był trochę lipny!

Zachwyconypomysłem, zaśmiał się szczerze i hałaśliwie.

Plotka o wyjątkowo podłym charakterze psa podbiłacnę i Irek, licząc pieniądze, mógł kątemoka zerkać, jak pupilek mamy radzi sobie z kundlicą.

Handlarz dał mu trzystówki zaliczki i drugie tyle obiecał dorzucićpo oszczeniu.

W czasie, gdy psy poznawały się bliżej, mężczyźniz nieoczekiwaną wręcz delikatnością postanowili nie peszyćswoich pupilkówi udaćsię na papierosa.

- Wiesz pan co- zagał handlarz - dosyć pana lubię.

Irek grzecznie podziękował za niespodziewanewyznanie.

- I dlatego proponuję panubiznesik.

- Biznesmen z ba184

łuckiego rynekuzmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Pośrednictwo!

Ireneusz Blady inteligentnie okazałjedynie szczątkowezainteresowanie słowami rozmówcy.

- Słuchaj pan!

Znam jednego klienta.

Prawdziwy konesor psów.

- Koneser - poprawił go Irek.

-Przecieżmówię!

Tylko że on lubi ostrebydlaki.

- Tuhandlarz porozumiewawczo puścił oko i wskazał palcem napupilka emerytowanej nauczycielki.

-Jak ja mu powiem, że mam na oku takiego rewolwera, to obaj zarobimy, że ho, ho!

Wchodzisz pan w to?

- Czy ja wiem?

Wchodzę.

- No to łopata.

Irekuściskiem dłoni przybił umowę roku.

Potem handlarz skoczył po dwie butelki piwa i podniecony perspektywą niebotycznego zysku, zaczął rozwódzić się nadmitycznym majątkiem hodowcy "ostrych bydłaków", który naco dzień pracował jako bliżej nieokreślona ważna osobistość, a po godzinach obstawiał psy do walk.

Ponoć próbował robić to samo ze szczurami i kogutami, ale nikt nie chciał płacić za widok obskubującego się niemrawo drobiu.

Niejasna reputacja klienta, który miał być złotą żyłą dla firmy Irka Bładego, sprawiła, że nie był pewny, czy trafił na najwłaściwszego partnera.

Ale gorące zachęty handlarza bez zęba sprawiły, że postanowił się nie wycofywać.

Tym bardziej że podopieczny matki spisał się całkiem dobrze i rokowania na przyszłość rysowały się optymistycznie.

Godzina 14.

20, umownie nazwana przez tajemniczego klienta lunchem bossa, była jednocześnie porą ich tajnego spotkania.

Irek spóźnił się trochę, bo w środku upalnego dnia nie mógł złapać taksówki.

Na postoju stały same rozklekotane polonezy i podrdzewiałe volkswageny.

Żaden z powyższych modeli nie spełniał jego oczekiwań co do wyglądu wozu z fasonem.

Irek uważał, że zarobione wczoraj 185.

raj trzysta złotych upoważniały go do zaznania odrobiny luksusu.

Poza tym chciał dziś zadać szyku przed ważnym klientem.

Ubrał bardzo starannie siebie i psa, zakładając, że dobrym wejściem można sporo zyskać.

Przekonał się zresztą tym, ubijając interes z rynkowym handlarzem, i telekcyjmarketingu traktował ze śmiertelną powagą.

Dziękowałw duchu Lali, że poraz pierwszy w życiu trafił mu się garnitur, w którym nie wyglądał na handlarza fałszywymi dolarami.

Ta mała zmiana dodawała mu pewności siebie w takim samym stopniu, jak szpanerskipuszor dodawał charakteru pitbullowi.

W taksówce odchylił ku sobie lusterkopasażera i przeciągnął dłońmi pogłowie, wygładzając włosy obficie nabłyszczzone pianką siostry.

Miał nadzieję, że podobniając się do lidera najbardziej kasowego zespołu cygańskiego w kraju, będzie wyglądał dokładnie tak, jak sobie wymyślił, czyli jak człowiek, któremu finansowy sukcesuderzył do głowy jak świeżutka woda sodowa.

Dla podkreślenia "gangsterskiego" efektu swojego image'u Irek rozpiął trzy ostatnie guziki koszuli, uwidaczniającnie tylko tors, ale i złoty medalik odkomunii, zawieszony na grubasnym żółtym łańcuchu oderwanym od sylwestrowej torebki matki z czasów, kiedy ojciec miał jeszcze dwienogi.

Z daleka łańcuch wyglądał jak najprawdziwsze złoto, a cała kiczowata oprawa przedstawienia wydała się Irkowi Błademu bardzo na miejscu.

Taksówkarz zmierzył bacznie najpierw psa, potem jegopana, a na koniec wyciągnął niezbyt dyskretnie spod tapicerki paralizator elektryczny.

- Na podryw to pan chyba nie jedziesz?

- Zagaił nieufnie.

Irek doskonale wiedział, że facet tej powierzchowności nie rozmawia z byle kierowcą, ale dla rozładowania stresu czuł nieprzewartą chęć porozmawiania z kimkolwiek o czymkolwiek.

- Właściwie pan w pewnym sensie trafił - wyznał.

- Tylko nie ja będę miał przyjemność, lecz mój pies.

186

- Ma kurdupel szczęście!

Irek potwierdził skinieniem.

- Wiele się ostatnio w jego życiu odmieniło na lepsze.

Boo urodzenia mieszkał biedak z nauczycielką łaciny.

Samotna kobieta.

Baba piła, sam pan rozumiesz.

Taksówkarz kręcił z niedowierzaniem głową.

- Co pan powiadasz?

- Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał.

Ona w mówiła temu psu, że nie ma jaj.

Wytresowała go jak małpę w cyrku.

Żadnych suk, seksu, nocnego szlajania, alkoholu.

- Jak jato znam!

Mężczyźni solidarnie westchnęli nad najtragiczniejszym z tragicznych losów.

- Ale teraz trafił na mnie - swój złoty los.

Pieszycze jak luksusowa call-girl w kagańcu.

; Taksówkarz, jak się zaraz okazało, nie przepadał za hi' storiami z happy endem, więc zaczął dopytywać się, czy pitbull gryzie ikogo ma na koncie swoich ofiar.

W tym momencie Irek, nie podejmując tematu, przyjął pozemałomów;nego twardziela, ze znużeniem patrzącego w okno i rytmicznie miażdżącego zębami miętową gumę Wrigley's.

Upewniając się, że nikt nie patrzy, z ciężkim sercem przełamał na cztery owalną niebieską tabletkę viagry i, idąc za radą Pępka, jedną z ćwiartek wepchnął psu do pyska. Napastliwy taksówkarz nie przestawał dopytywać się, czy łagodne wychowanie aby nie "zmiękczyło" temperamentu psa.

Czując presję, Irek wcisnął psu kolejną część tabletki.

Miał w duchu nadzieję, że ulubieniec matki będzie na tyleniły i przeżyje medyczne eksperymenty.

Sapnął ciężko i odciał się od świata szybą ciemnych okularów.

Chcąc nie chcąc, zlekceważony taksówkarz w końcu umilkł.

Ku ogromnemu zaskoczeniu Irek Błady spotkał na parkingu ochroniarza Kalisty.

Był zwalistym, gładko ogolonym typem, jakich pełno kręci się wokół bogatych ludzi niejasnej

reputacji.

Irek widział tak wielu podobnych do niego, że niepoznałby w nim starego znajomego, gdyby ten nie wysiadł z jedyne w swoim rodzaju samochodu z rejestracją "Eleonora".

- A to ci dopiero numer!

- gwizdnął cicho ze zdumienia, gdy okazało się, że owym mitycznym "niezwykle ważnym hodowcą wojowniczych psów" jest kierowca Kalisty.

Ten na szczęście nie był ani zbyt rozmowny, ani przesadnie błyskotliwy, więc Irek mógł spokojnie odgrywać swarolę w tej psiej pantomimie.

Zainkasował pięćdziesiąt procent ogromnej, wypłaconej weuro należności i poszedł wypalić papierosa.

- Warn też, chłopaki, radzę nie peszyć naszych czempionów i odprężyć się w tym czasie - zaproponował z wytrenowanym uśmiechem.

Ochroniarz z pitbullką i jego bliźniaczy kumpel, trzymającyna rękę dwa identycznie ufryzowane pudle, najwidoczniej nie znali słowa "speszyć" lubrozumieli jezgołaopacznie, bo świntuszając w najlepsze, z radością podążyli zapodnieconym viagrą psem.

Irek Błady, kierując się rodzinną intuicją Bładych, poczuł, że dobre wiatry opuszczają żagle jego łodzi.

Widząc nienormalnie wręcz ruchliwego pitbulla, dziękował opatrności, że zainwestował w małe opakowanie viagry, ale nawet zaaplikowanie jej psu nie dawało gwarancji sukcesu. Gdyby potrafił się modlić, i tak niezdolałby wymyślić intencji odpowiadającej tej niejednoznacznej religijnej sytuacji.

Nigdy nie przypuszczał, że prowadzenie psiej agencji towarzyskiej będzie takie trudne.

Podskakujący pupilek matki, biegnący w pełnej gotowości bojowej swej psiej męskości, z wywieszonym do ziemiozorem, zdaniem Irka wyglądał jak kliniczny przypadek rzadkiej odmiany wściekliczny.

To, co nie budziło zachwytu Irka, ochroniarzowi i jego koledze bardzo przypadło do gustu. Teraz pozostało tylko czekać na rozwój sytuacji.

Irek Błady obszedł powoli limuzynę Kalisty, kopiąc ba188 dawczo opony i chuchając we wsteczne lustro.

Miał dużo czasu, a przynajmniej wydawało mu się tak do momentu, gdy w rzeczonym lustrku ujrzał pędzącego pitbulla.

Zanim biegł ochroniarz, jego pitbullicai kumpel bliźniak.

Nasamym końcu pędziły dwa ufryzowane pudle.

- Ja ciękręcę!

- Irek z niedowierzaniem przekrzywił głowę.

- Ale towarzystwo!

Nie zdążył wychylić się zza auta, kiedy jego uszu dobiegł ostrzegawczy krzyk:

- Pedal!

Darł się kumpel ochroniarzai bynajmniej nie miał namyśli ani swojego przyjaciela bliźniaka, ani Irka.

Oskarżenie o homoseksualizm najwyraźniej odnosiło się do pitbulla.

- Cholera jasna!

- Irek przykucnął, zlorzecząc losowi, skazującemu go na notoryczne ukrywanie się przed Kalistą i jego bliskimi.

Frustrację pogłębiał fakt, iż zawsze w pechowej sytuacji miał na sobie luksusowy garnitur Lali.

Tymczasem wystarczył jeden rzut oka na pudelki, by Irek zrozumiał wszystko.

Padające z ust rozwścieczonych mężczyzn inwektywy wyjaśniły całą niedopowiedzianą resztę historii.

Okazało się, że wiodący dotąd spokojne życie piesek po przedawkowaniu viagry zaspokoił nie tylko chuc pitbullicy ochroniarza, lecz korzystając z nadarzającej się okazji, zgwałcił również pudle żony jego szefa.

Najgorsze były podejrzenia, że świadomy wszystkiego Irek chciał ośmieszyć ich szefa, handlując usługami "kochającego inaczej".

Nie należało liczyć, żeby jego erudycyjne popisy wzruszyły serca ochroniarza Kalisty i jego małego wrażliwego kumpla.

Jednym słowem: istnieją w życiu mężczyźni kłopotliwi -
we sytuacjach, w których lepiej się oddalić.

Czasami trochę szybciej.

Irek uciekał co sił w nogach.

Niemiał czasu ani specjalnej ochoty oglądać się za siebie.

Dziesięć lat temu, kiedy nie po 189.

siadał obecnej mądrości życiowej, wdałby się niechybniew nierokującą zwycięstwa bójkę.
Teraz koncentrował się jedynie natym, żeby nie dać się dogonić.
Doświadczenie podpowiadało mu, że chłopcy mocni w pięścierzadko mają ochotę na ganień swych ofiar.

A ci, którzy dobrze gonią,

kiepsko zazwyczaj biją.

Wbiegł na oślep do znajdujących się nieopodal magazynów i z ulgą dopadł pierwszych lepszych otwartych drzwi.

Ich przesunięcie wymagało od niego użycia resztek sił.

Ale adrenalina dodała mu energii.

Drzwi zamknęły się zezłowieszczym łoskotem.

Irek jednak czuł wyłącznie ulgę.

Nie od razu uświadomił sobie, iż jednym ze źródeł polepszenia nastroju jest wyraźnie odczuwalne ochłodzenie.

Zadowolony z siebie, uśmiechnął się i zaczął szukać włącznika światła.

Jego palce przesunęły się po oblodzonej powierzchni ściany.

Przejechał dłonią w górę i w dół, w lewo i w prawo, zaskakująco szybko wyczuwając miejsce, gdzie owaściana się kończyła.

Wokół było bardzo mało miejsca.

- Cholera, coś jest nietak - odezwał się półgłosem, próbując jednocześnie znaleźć inną ścianę, na której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł znajdować się pstryczek.

Bolesne uderzenie aż nazbyt świadczyło o tym, że kolejną ściankę ma tuż zasobą.
Nie było też szans na wyprostowanie się z kucek.

- Jestem w.

LODÓWCE!

To nie była jakaś specjalna lodówka, ale zwykły, wielki Mińsk obudowany tymczasowo zwykłymi drzwiami.

Niestety, tego taniego, lecz efektownego designu Ireneuszowi Błademu nie dane było docenić z tego prostego względu, że żaden sposób nie mógł wydostać się na drugą stronę swej klimatyzowanej klatki.

Irek wrzasnął jak oparzony, choć wiadomo, iż ze względu na niską temperaturę panującą we wnętrzu jakiegokolwiek oparzenie było zupełnie niemożliwe.

Zaraz to zresztą odczuł na własnej skórze, bo przyjemny początkowo chłód zaczął robić się coraz bardziej dotkliwy.

190

Skulił się, próbując cokolwiek wymyślić.

Było to naturalnie niemożliwe co najmniej z dwóch względów.

Pierwszy był taki, że w tej sytuacji i tak nic nie dało się wymyślić, a drugi, że - jeśli chodzi o myślenie - ziąb jest znacznie bardziej obezwładniający niż upał.

-16

Po stracie pracy udziałka Leona przed Mileną Fortuną stanęło widmo odziedziczonego pomężu długu.

Cheć zarobienia owych czterech tysięcy, które od śmierci Mariana spędzaly jej sen z powiek, pchnęła ją do ostateczności.

Jak dotąd najskuteczniejszymi metodami w jej zawodowej karierze były te najbardziej nietypowe.

Toteż, zamiast na wstępie przyznawać się do mało popularnego wykształcenia, postanowiła zagrać swoją ulubioną kartą przetargową i starym sprawdzonym sposobem Szecherezady uwieść znudzone urzędniczki Państwowego Urzędu Pracy.

Milena po opowiedzeniu porywającej historii o zagubionej w śniegu siostrze (nie pamiętała, gdzie ją znalazła, ale przy dzisiejszym upale wprowadzenie do opowieści odrobiny kojącego zimowego chłodu wydało jej się wielce rozsądne) została przydzielona przez urząd pracy na prestiżowe (zdaniem bardzo wzruszonej urzędniczki) stanowisko kontrolerki jakości wędlin.

Po zastanowieniu należało przyznać, iż mroźne skojarzenia śniegu i sklepowych chłodziwydawały się w tej sytuacji najzupełniej na miejscu.

Porozumiewawcze mrugnięcie urzędniczki tylko utwierdziło ją w przekonaniu, iż dając się ponieść wyobraźni, popełnia niewybaczalny błąd.

Zgodnie z najnowszymi europejskimi trendami w Łodzi miało się produkować rybne przetwory, a zakład "Eleonora Fish", do którego została przydzielona Milena, przebił 191.

w swych innowacjach całą konkurencję, proponując spragnionym konsumentom ni mniej, ni więcej, tylko rybnewędliny.

Nikt nie wiedział, co to jest, tak jak nikt nie miał ochoty się tego dowiedzieć.

Jednakże sam fakt wprowadzania istotnych zmian sprzyjał restrukturyzacji firmy.

Głównym menedżerem właściciela firmy - pana Kalisty - uznano za stosowne zwolnić

dziesięciu amolnych (tj.

domagających się podwyżek) pracowników i utworzyć z tym trzynoś stanowiska.

Dwa pierwsze dostały się dorastającym córkom brygadzysty, trzecie - przypadkiem - Milenie.

Sama, od kiedy pamiętała, jadła bardzo mało mięsa, a odgórny przykaz Mariana wymuszający na niej przyrządzanie przynajmniej dwa razy w tygodniu ogromnych, smażonych na smalcu kotletów spowodował jedynie to, iż na samą myśl o dotykaniu mięsa robiło jej się słabo.

Z dwójgażłego jedynie kara surowego więzienia za niespłacone długi wydawała jej się gorsza od pracy przy kontroli wędlin.

- Idzie się przyzwyczaić - pocieszała ją pracująca przy przeróbce rybich zwłok całkiem uprzejmi panowie.

Pod ową eufemistyczną nazwą rozbiórki kryło się coś, czego barbarzyństwa Milena nawet nie chciała sobie wyobrazić.

Na samą myśl zaś o zalegających półki osławionych produktach mięsnego marketu obiecywała sobie dokońca życia nie brać do ust niczego, co nawet w przybliżeniu ma kolor czerwony.

Najlepszą metodą na przeżycie tego koszmaru było unikanie pracy.

Już pierwszego dnia pracy, a dokładnie po godzinie czterdziestu dwóch minutach patrzenia na rybne wyroby wędliniarskie firmy "Eleonora Fish", Milena Fortuna leżała na zapleczu przed drzwiami chłodziarki "Mińsk" i symulowała atak serca.

192

Jak zwykle po czasie uświadomiła sobie, że wygodniej byłoby udawać wymioty, bo w tym przypadku nawet szczególna symulacja nie byłaby potrzebna.

Już na samą myśl o najprostszycobowiązkach kontrolera wędlin mdliło ją jak na zawołanie.

Niestety, jak to często bywa, genialna myśl nawiedziła ją za późno i teraz musiała leżeć z uniesionymi do góry nogami w najchłodniejszym miejscu w budynku.

Ważąc dobre stokilkanaście kilogramów ekspedientka wyznała, iż w jej rodzinie każdy przynajmniej raz przeszedł zawał z komplikacjami, więc ona właśnie ma najlepszą kompetencję, aby opiekować się chorą.

Dowód swego przyjacielskiego nastawienia dała zresztą od razu, pocieszając nową pracownicę tym, iż na zapleczu przechowujecie wyłącznie świeże mięso, a to lekko śmierdzące po odświeżającej kąpieli wyklada się w promocji jako rybną szynkę prowansalską w ziołach.

- A skoro i tak nikt nie wie, co to jest, nie dziwi się zielonkowatemu kolorowi.

- Och.

- Milena westchnęła, tym razem nie na żarty gotowa dostać ataku.

- Dziękuję za tę informację.

Grubaska aż zatarła ręce.

- Tylko nie podjadaj nam z lodówek - zażartowała.

- Nie ma obawy!

Ekspedientka podciągnęła rękawy, odsłaniając niewiarygodnie grube przedramiona.

- Zaraz tu do ciebie wpadnę, torazem coś zjemy!

- mrugnęła porozumiewawczo powieką.

- Trzeba nabierać sił, prawda?

Młasnęła, dodając, iż już czuje się głodna, ale musi jeszcze obsłużyć paru klientów.
Milenie błysnęła w oczach lampka alarmowa z napisem "Wiać!
", leczna jej nieszczęście szybkie przemieszczanie siępo dopiero co odbytym zawale serca nie
wchodziłow rachubę.
Chcąc nie chcąc, została sama.
Sprawdzając, czyniktjej nie podgląda, opuściła nogi.
193.

Dokładnie w tym samym czasie i (niemalże) w tym samym miejscu Irkowi Błademu robiło się coraz zimniej.

Powietrze wdychane przez nos zmieniało konsystencję, twardniejąc w kostki lodu.

Ciemność panująca w pomieszczeniu nastrojała zbyt optymistycznie.

Chętnie usiadłby gdzieś, ale obawiał się, że nowespodnie przymarzłyby mu na amen dodna zamrażarki i już nigdy by ich nie odkleił.

- Właściwie na cholerę mi garnitur Kenzo, kiedy nigdy się stąd nie wydostanę?
- zdziwił się na głos.

Lodówka, wypełniona tuskami rybich (prawdopodobnie - bo w tej ciemności Irek niczego nie mógł być pewny), ciał skutecznie tłumiła odgłosy echa.

- Ale - pocieszył się, siląc na uśmiech - przynajmniej umrę z klasą.

Ryby usunęły mu się spod pleców, tworząc coś w rodzaju krzeselka.

Słyszał kiedyś przypadkach, gdy ludziom rozbijającym się w spadającym samolocie w ciągu kilku sekund udawało się przemyśleć całe swoje życie.

Irek miał nato trochę więcej czasu.

Usiadł narybimstołku i niespiesznie zaczął analizować dzień po dniu, rok po roku, aż doszedł do trzeciej - i jak mniemał - ostatniej dekady swego żywota.

Brak w nim było wdzięku Cipolli i spektakularnych sukcesów w biznesie, ale w sumie było ono całkiem w porządku.

Miał nadzieję, że napędzony viagrą pitbull jakoś sobie poradzi w życiu, a przyjaciele nie zapomną gotak szybko.

Pożegnawszy się ten sposób z najbliższymi, zapragnął oddać się ostatnim marzeniom o Milenie Fortunie.

Te myśli rozgrzały goznaczając, podnosząc przy okazji na duchu i dając nadzieję, że może nie wszystko jeszcze stracone.

Po raz pierwszy poczuł, że chętnie by się pomodlił, a nawet "Ojcze nasz" umknęło gdzieś zmrożonej na kość pamięci.

Coś jeszcze próbował poskładać, lecz w końcu zaufał przeznaczeniu.

Bo przecież - pomyślał - jeśli istniałaby w życiu jakaś siła wyższa, to stosownie by było, aby teraz się objawiła.

194

Przewrócenie krzesła w magazynie za drzwiami lodówki obudziło go z letargu.

- Ratunku!

Jest tam kto?

- zapytał ciut za cicho, żeby w jakikolwiek sposób mógł go usłyszeć.

W tym czasie świadoma spowodowanego łoskotu Milenaprzezornie błyskawicznie wróciła do starej pozycji z nogami do góry.

Zrobiła przy tym trochę hałasu.

- Słyszę, że ktoś tam jest!

- w głosie Irka słychać było desperację.

Dziewczyna skoczyła na równe nogi, ponownie przewracając krzesło.

- Słyszę, że ktoś tam jest!

- powtórzyła jak echo.

Przyłożyła ucho do lodówki.

- Ja tu jestem.

Otworzysz mi czy nie?

- Ja, czyli kto?

- zapytał nieufnie.

Irek poczuł się spokojniej.

Postarał się, aby jego głos brzmiał tak samo.

- Ja, czyli Ireneusz Błady, zamieszkały w Łodzi przy ulicy.

- TY?

Irek postarał się, żeby głos nie zdradzał, jak bardzo wkurza go wścibstwo wybawicielki.

- Otwieraj!

Nieufnie zrobiła to, o co ją prosił.

Energiczne zaparcie się i szarpnięcie klamki spowodowało gwałtowne wypadnięcie Irka wprost na plecy dziewczyny.

- Kurwa mać, Milena?

- To ja - wzruszyła ramionami swobodnie, jakby codziennie uwalniała kogoś z zamrażarki.

Wtedy stało się coś, czego żadne z nich nie przewidywało.

Irek chwycił Milenę i z całej siły przyciskając jej usta do swoich, pocałował ją namiętnie.

Chłód jego ust i silny powiew lodówki omal nie powalił jej na ziemię.

Kiedy już ją puścił, zapytał zmieszany:

195.

- Chciałaś mnie tam zamrozić?

-Przeżyłamzawałserca.

- wyznała, przekonana, iż teraz już na pewno mówi zgodnie z prawdą.

- Możesz mi wierzyć, że ja też - Irekuśmiechnął się.

-Dziękuję.

Otrząsywał się jak pies, który właśnie przybiegł z podwórka.

Kiedy skończył, popatrzył jej w oczy i pokręcił głową.

- To się nazywa znaleźć odpowiedniego człowieka w odpowiednim momencie życia.

TychsłówMilenieFortunienikt nie musiał dwa razypowtarzać, bo po raz pierwszy w życiu wszystko było absolutnie jasne i oczywiste.

Wyciągnęła Irka z lodówki i zaświeciło słońce.

Zrozumiała, że teraz może zrobić coś, czego nikt po niej się nie spodziewał.

Jednym słowem:musi uporządkować życieIrka.

Tajemniczy uśmiech, który zagościł na jej twarzy, zwiastował zwycięstwo porządku nad chaosem.

Dostrzegła w nim pragnienie Harmonii.

Spodobało jej się to.

Zrozumiała, że podjęła właściwą decyzję.

Spontaniczność, która towarzyszyła temu odkryciu, była najlepszym dowodem na słuszność jej postanowienia.

Zdaniem Mileny bowiem sprawom i rzeczom właściwym zawsze towarzyszyły "właściwe" znaki, podobnie jak sprawom skazanym na klęskę towarzyszyły znaki zdecydowanie "niewłaściwe".

Nikt poza nią samą nie miał większego pojęcia o zawiłościach mechanizmu działania tej prywatnej skali wartościowania rzeczy i decyzji im towarzyszących.

I tylko Milena Fortuna, we własnej osobie, miała dar rozszyfrowywania tajemnego, niemalże "wyższego" przekazu, nakazującego jej robić rzeczy niemożliwe.

Opierał się on na głębokim przekonaniu czynienia dobra i przywracania harmonii wszędzie tam, gdzie zawodzą wszelkie konwencjonalne środki.

Ten sam podświadomy imperatyw dyktował Milenie pomysł opieki nad dziećmi brata Mariana Fortuny,

196

nad upadłym Marianem, a teraz- nad zagubionym w poszukiwaniu prawdziwego bogactwa Irkiem.

Milena daleka była odkojarzenia szczęścia z pieniędzmi, więc Irkowi wiara, że tam je właśnie odnajdzie, jawiła jej się nie tyle jako poważny błąd (choć to również), ile zboczenie z właściwego życiowego kursu.

Ci, którzy w żaden sposób nie mogli pojąć niektórych pasjonujących pomysłów młodej wdowy, twierdzili - naturalnie nie bez racji- że jako nieprzeciętnie wrażliwa, samotna kobieta musi bardzo się nudzić stąd wpada na koncepcje, na które nie porwałby się nikt przy zdrowych zmysłach.

Pozostała, dość liczna grupa jej znajomych niezmiennie od lat uważała Milenę za nieszkodliwą wariatkę, co doskonale tłumaczyło wszystkie jej życiowe wybory.

Irek patrzył na promieniejącą zadowoleniem twarz Mileny i uświadomił sobie, że zamknięcie się w lodówce wcale nie było takim złym pomysłem.

Spontanicznie wyznał jej, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

Milena pokiwała zezrozumieniem głową.

Nic bardziej nie utwierdziłoby Mileny w przekonaniu o psychicznym niezrównoważeniu przyjaciela.

- Jesteś w kiepskim stanie - oceniła trzeźwo.
- Pewnie dlatego, że łykaś za dużo powietrza!

Ten człowiek wyraźnie wymagał pomocy, a ona była jedyną osobą na tym zwariowanym świecie predysponowaną do wspomagania Niebios.

W każdy wtorek o godzinie 8.

30 rano Milena Fortuna myła podłogę w kuchni, słuchając audycji radiowej o życiu ludzi egzotycznych.

Program objął w pierwszych dwudziestu odcinkach Afrykę, obie Ameryki Australię, potem było jeszcze dziesięć odcinków o Azji i zaczęli nadawać good początku.

W związku z tym łąkająca wiedzy wdowa zdała 197.

żyła powtórzyć i utrwalić sobie kilka zarówno fascynujących, jak i nikomu niepotrzebnych informacji.

Nic dziwnego, że dzisiaj, stojąc pośrodku sklepu, naprzeciw kierownika działu wędlin i konserw rybnych, czuła, że nie mogąc wysłuchać historyjek z życia aborygenów, traciła istotnego.

I gdyby nie przekonanie, że wczorajszy zawał serca wymagał jakiegoś usprawiedliwienia, oraz zamiar wymuszenia zwolnienia w trybie natychmiastowym - Milena fatygowałaby się, żeby w dniu dzisiejszym w ogóle opuszczać domowe pielesze.

Całkiem nieegzotyczny, zgięty w wielki precel kierownik działu rybnego firmy "Eleonora Fish" dłużył długopisem w bucie, tłumacząc się, że w ten sposób rozpycha niewygodne obuwie na boki.

Milena, zazwyczaj wyrozumiała w trudnych losowo sytuacjach, teraz szybko przypomniała sobie cel swojej wizyty.

- Zdrowa już pani?

- zapytał kierownik, niezadowolony, że musi z kimkolwiek rozmawiać.

- Niezupełnie - dziewczyna zatrzepotała rękami, co, rzecz jasna, nie mogło spotkać się z zainteresowaniem, bo szef skupiony na butach wcale na nią nie patrzył.

- Cieszę się - oznajmił.

- Może pani iść!

Teraz próbował to samo, co z długopisem, zrobić z linijką.

Milena Fortuna ani drgnęła na polecenie szefa.

Pomyślała, że jeśli przepracuje tu godzinę dłużej, skończy fatalnie.

Do dzieła zwalniania się z pracy przystąpiła ostrożnie.

Napoczątek z miną niewiniątka wyznała, iż przeżyty wczoraj zawał serca był jedynie skutkiem ubocznym dość poważnej i zaraźliwej choroby płucnej, którą nabyła niedawno, obcując seksualnie z przybyszami ze środkowej Afryki.

Kierownik działu wędlin i konserw słyszał widać w swoim życiu niejedno, bo na deklarację ową wcale nie zareagował.

Zareagował natomiast cały personel, ciekawie nadstawiając uszu.

198

- Niech pan je w końcu zdejmie!

- Milena wskazała nabuty szefa, zdobywając wreszcie cień jego uwagi.

- Jeszcze pani tu jest?

- Tylko przez chwilę - nabrała powietrza w płuca.

- Chciałam powiedzieć, że mam jeszcze kilka stydliwych chorób, nie stronię od kieliszka inarkotyków.

Ale to nie przeszkadza, prawda?

Nim ktokolwiek zdołał otworzyć usta, Milena chwyciła but szefa i jednym szarpnięciem oswobodziła jego stopę.

- No, wreszcie będzie pan mógł mnie wysłuchać!

Kierownik ujął ściągnięty but w dwie dłonie i zaglądał ciekawie do środka.

W tym czasie niezrażona oryginalnym zachowaniem szefa Milena ciągnęła dalej, opowiadając w zaufaniu, że sporadycznie zdarza jej się dokonywać domowym sposobem aborcji, jak również należy do seki zabijającej, a następnie wypychającej domowe zwierzęta.

Zastanawiała się, czy bujna wyobraźnia i tym razem nie zapędzi jej na niebezpieczne manowce, lecz fakt, iż cały personel zgromadzony przy drzwiach słuchał tego niewiarygodnego opowiadania z osłupieniem połączonym ze szczerym zachwytem, dopingowała ją do dalszego wysiłku.

Milena zgrabnie przewróciła oczami i uśmiechnęła się szeroko, dbając, by wypaść jak najbardziej szczerze.

- Przecież powinniśmy się lepiej poznać, skoro mamy dalej razem pracować?

Okazało się, że niekoniecznie.

Milena, ku swemu zadowoleniu, została wyrzucona z marketu mięsnego po pierwszym dniu unikania pracy.

Aby nie być posądzonym o jakąkolwiek dyskryminację, kierownik dał jej miesięczną odprawę, referencje oraz cztery puszki przeterminowanego pasztetu z flądry bałtyckiej.

Musiał ją najwidoczniej polubić, bo na odchodnym kazał sobie obiecać, żeby była bardziej ostrożna w kontaktach z czarnymi.

skorymi oraz znalazła sobie inny od aborcji sposób zapobiegania niechcianym ciążyom.

Wyznał też, że choć sam sięna tym nie zna, jest całkowicie przekonany, iż w tym względzie kobiety muszą miećjakieś "swoje metody".

W rewanzu Milena zdradziła kierownikowi wędlini konserw niezawodny sposób, jak przypomocy garnka ciepłego mleka poszerzyć buty.

Rozstając się w atmosferze pełnej ciepłai wzajemnegozrozumienia, Milena zadeklarowała się, że gdyby kiedyśpotrzebował wegetarianki - włókiennika, ona jest zawszedo usług.

- Oczywiście.

- Kierownik ponamyśle założył foliowarekawkiczkę i serdecznie uściskał kobiecą dłoń.

17

Po trzech dniach od straty pracy u dziadka Leonai jednym dniud wyrzucenia (nawłasne życzenie) z prestiżowego stanowiska kontrolerarybich wędlinpaczkowanychi konserw Milenę przed załamaniem nerwowym chronił jedynie fakt postawienia sobie za cel główny, przed sprawamifinansowo-zarobkowymi, szczytnej idei niesienia pomocyIrkowi Błademu.

Człowiek będący w jej położeniu nie spodziewa siępodzwoniącym od rana telefonie nic dobrego.

Właściwie spodziewała się wszystkiego opróczdziadka Leona.

- Halo.

- odezwała się ostrożnie, upatrując w słuchawce potencjalnegozagrożenia.

- Jakie halo?

- rozdarł się przy uchu dobrze znajomygłos.

-To ja powinienem chyba w tej sytuacji zadawać pytania!

DziadekLeona nie krył swojegowzburzenia.

- To pan?

200

- A co?

Myślałaś, że umarłem?

Otóż nie, nieumarłem i jako całkiem jeszcze żywy życzę sobie, żeby dzisiaj na obiadbyła wątróbka.

Milena milczała, oniemiała ze zdziwienia.

- Ho!

- wrzeszczał dalej dziadek.

-Ja tę wątróbkę zaplanowałem już przedwczoraj, ale nie przyszłaś.

Aniwczoraj!

I co ty na to?

Możemarihuana, amoże choroba Alzheimera zrobiła swoje, ale jedno było pewne: dziadek Leona zapomniało wydarzeniu z karpim na amen.

- Eeee.

-Eee?

Ty też masz mnie zastarego sklerotyka?

- Nie.

To była ewidentna nieprawda, będąca zarazem najpiękniejszym kłamstwem jej życia. Wyglądało na to, że odzyskała pracę!

Wcześniejszepakowiedzi dziadka, iż w życiu nie dopuści, by przestąpił próg jego domu, poszły w niepamięć.

Wdzięczna Milena, wiedząc, że staruszek jest uzależniony od wątróbki niczym kotsąsiadki, obiecała przyrządzać mu janie tylko dzisiaj, ale przez najbliższy tydzień non stop.

- Jesteś miła i podwyższam ci pensję - oświadczył dziadek tonem bliskowschodniego naftowego krezusa.

Dziewczyna była gotowa nawet z tego powodu się ucieszyć, gdyby nie trafne przeczucie, że w dziesięć minut później dziadek Leona o całej obietnicy zapomni.

- Tylko nie zapomnij o kurczaku!

- dodał nakoniec.

- Chyba o wątróbce?

- próbowała upewnić się Milena, ale dziadek z impetem odłożył słuchawkę obok widełek, blokując jej i sobie, przy okazji, linię na cały dzień.

Tego samego dnia Milena wróciła do pracy.

Ten niespodziewany come-back okupiony został znacznymi wyrzeczeniami ze strony dziadka, który w ramach karty przetargowej obiecał rozpatrzyć powrót do zwyczajów, kiedy jeszcze mieszkał z kobietą.

Najgorsze, czego się

201.

obawiał, to strata twarzy przed wnukiem wierzącym w męskie prawa starości.

Na szczęście niefortunne rozpoczęcie znajomości z Mileną nie miało większego wpływu na dalszy jej przebieg.

Staruszek miał słabą pamięć, więc wdzięczna wdowa po Marianie, żeby urozmaicić mu czas, postanowiła przedstawić się od nowa w dość zaskakujący sposób.

Z czasem uczyniła z tego regułę irozrywkę.

Swoje najlepsze role lubiła jednak starannie zaplanować.

Zjawiała się wówczas przed czasem w drzwiach pachnącego konopiami mieszkania i zamiast zwyczajowego pozdrowienia witała się z dziadkiem słowami:

- Agencja Matrymonialna "Jak kulą w płot" przysyła mnie do pana.

- Szukacie zamożnych starców jedną nogą w grobie?

- Coś w tym rodzaju.

- I co, pewnie wykańczacie ich potem.

- To już wedle wcześniejszej umowy.

- To można taką zawrzeć? Dziadek leniwie podrapał się za uchem, po czym z zainteresowaniem obejrzał brud zgromadzony za paznokciem.

- Myślałem, że to nielegalne.

- Och!

- Milena machnęła lekceważąco ręką.

- Nie bądźmy służbistami!

- Co?

A tak.

rozumiem.

Milena oparła się plecami o jedną część futryny drzwi, jednocześnie zapierając się z drugiej strony uniesionym wysoko nagim kolaniem.

- To jak będzie?

Idzie pan na to?

- Jak najbardziej - odpowiadał zachwycony staruszek, dysząc ciężko.

- Więc jak, mówiłaś, nazywa się ta agencja?

- Jak kulą w płot.

- I czym się zajmujesz?

W tym momencie Milena uśmiechała się przepraszająco, zrzucała szpilki i uzupełniała lodówkę.

Nigdy nie miała pewności, czy dziadek istotnie jej nie poznaje, czy też z pre202

medytacją przyłącza się do zabawy, czyniąc z niej ich wspólną tradycję.

Innym razem zakładała biały fartuch matki, pamiętając czasy gabinetu stomatologicznego dla tkaczek.

- Pielęgniarka środowiskowa - przedstawiała się wówczas, próbując zachować kamienną twarz.

- Będziemy sprawdzać, jak realizujecie w praktyce, obywatelu, przepisy sanitarne.

- Jasny gwint!

- kłódziadek, żałując, że wpuścił ją za próg.

Stopa Mileny już tkwiła jednak w drzwiach, sprawnie zdejmując łańcuch.

Nauczyła się tej sztuczki, gdy musiała się dostawać do domu, jeśli pijany Marian nie był w stanie jej wpuścić.

- Taki los, panieszanowny!

- Milena udawała, że ogląda dziadka.

- Mówi się w dziale sanitarnym, że z higieną was krucho.

- E, gdzie tam.
- jej pracodawca uśmiechał się pokojowo.
- Niepotrzebnie panią fatygowali.

- To się jeszcze okaże!

Milena wyciągała kalendarz i pod pretekstem czynienia urzędowych notatek udawała, że chce powąchać i obejrzeć dokładnie niezdystryplinowanego pacjenta.

Czasem, gdy zabawa przekraczała granice poczucia humoru staruszka, dziadek Leona nagle niespodziewanie przytomniał i rzeczowo przywoływał Milenę do porządku.

- Straszna figlarz cię, dziecko!

Jakbym był młodszy, wiedziałbym, jak praktycznie wykorzystać naszą znajomość.

A tak - wzdychał z żalem - zjedźmy chociaż razem obiad.

- Z największą przyjemnością.

- Milena uśmiechała się od ucha do ucha i wyciągała z pielęgniarskiej torby zawczasu przygotowane garnki z ulubionymi potrawami dziadka.

- Szczerze mówiąc, nigdy nie miałam wątpliwości, że pan jest bardzo przebiegły!

- Wyznawała wówczas.

Mile po łaskotany dziadek mokał z uznaniem nad wyraz.

finowaniem gry, jaką dziewczyna z nim prowadzi.

W tymczasie Milena z tajemniczą iskrą w oku układała w duchu sekretny plan kolejnej operacji.

W pewnym dość głupim serialu podejrziała scenę, w której młoda i piękna kobieta staje się losem na loterii kolumbijskich mafiosów.

Jej pracodawca wówczas bardzo żałował, że sam nigdy nie doznał losu przywileju takiej niezwyklej wygranej.

Milena postanowiła więc nie tylko udawać loteryjny fant, ale wręcz przebrać się za taką piękność.

Wykonanie makijażu i fryzury zajęło jej dobre dwie godziny, ale efekt przerósł najśmielsze oczekiwania.

A kiedy po pięciu kwadransach przedniej zabawy odkryła przedziadkiem Leona swe karty, ten nie mógł uwierzyć, że jak dotąd nigdy nie wykorzystała swej urody.

- Prawdopodobnie żyłam i żyjęna dwadzieścia procent możliwości zdrowego osobnika z moim zdrowiem w moim wieku - skalkulowała smutno - i pewnie tak zostanie.

Bo ja - wyznała po momencie zawahania - nie mam talentu do życia!

- Ależ skąd!

- Dziadek zaperzył się niena żarty.

- Kto, jak nie ty, ma mieć talent?

Mój głupi wnuczek?

- Matalent do agronomii - zauważyła Milena, przypominając sobie szwedzkie Leonowe zasiewy konopi.

Staruszek pokiwał głową.

- A to akurat nie jego zasługa.

My jesteśmy ze wsi.

Milena próbowała jeszcze podjąć interesujący ją wątek talentu do życia, ale na próżno.

Jakaś osiadła w pamięć ciężść wiejskiego życia dziadka nagle dała o sobie znać, bo tracąc świadomość miejskiej egzystencji i obecności pracownicy, udawał się czym prędzej do łazienki, żeby nad wanną niczym nad dzikim stawem oddawać się bez troskiej kontemplacji przyrody.

- Na drugi raz - Milena obiecała sobie solennie - będę udawała pastucha.

Ich wspólne życie dzięki aktorskim sztuczkom wdowy

204

dawno przestało być nudną pracą, stało się pierwszorzędną rozrywką.

Dziadek Leona z nietypową dla swego wieku tolerancją znosił najoryginalniejsze pomysły i najdziwniejsze przebrania do czasu, kiedy Milena nieopatrznie przedstawiła mu się jako wdowa po rybie.

Wówczas staruszek zrobił się dziwny i bardzo podejrzliwy.

Tym samym Milena F.

straciła już zupełnie rozeznanie, na ile dla niego coś jest grą, a na ile prawdą.

Ekscentryczność Mileny zawsze wśród jej najbliższych uchodziła za poważne uchybienie natury.

Wedle matki piękne białe zęby nie były żadnym gwarantem szczęśliwego życia, natomiast skromność i "normalność" - i owszem!

Już jej babka praktykowała to przez całe życie, przekazując okrucy tej zbawiennej umiejętności najpierw córce, a potem wnukom.

Mimo wszystko Milena jak całe szeregi jej bez trosk bliznich odwlekała w nieskończoność wykonywanie czynności nudnych i nieprzyjemnych, a do nich należało między innymi spłacanie długów i odwiedzanie lekarzy.

I choć rodzona matka Mileny uważała, że do życia należy podchodzić z fantazją, bolała nad zaprzepaszczonym losem córki, jej oryginalnymi wyborami, skłonnością do dziecinady i przebieranek.

Swoją drogą trudno było powiedzieć, po kim Milena przejęła skłonność do przebierania się. Żadna ze znanych jej przodkiń, o ile nie była całkowicie tyśa, nie dałaby sobie naciągnąć na głowę peruki.

Żadna też nie miała ochoty na prowadzenie wszystkich tych absurdalnych gier i zabaw stanowiących istotę egzystencji ich zwariowanej potomkini.

Tego wieczoru, kiedy przemarznięty Ireneusz Błady wrócił do rodzinnego mieszkania w bloku przy Pawiej 4, pod tym samym adresem zjawiał się ktoś jeszcze. Nie był to nieszczęście ochroniarz Kalisty ze swym bliźniaczym kum205.

plem, lecz zziębnięty i szczęśliwy pitbull w porwanym puszorku z ćwiekami. Psina przeżyła bezwzględnie najciekawszy dzień swego życia, którego wymierne owoce miały niebawem rozprzestrzenić się tak bardzo, że jeszcze w piątej generacji wszystkich łódzkich szczeniąt widoczne będą geny pupilki pani Bladej.

Nie wybiegając tak daleko w przyszłość, należy uczciwie przyznać, iż nauczka, jaką Irek otrzymał od losu, nie poszła na marne.

Dużo myślał o kobiecie, która uratowała mu życie.

Ponieważ jednak przyznanie się jej do zajmowania się psim stręczycielstwem nie wchodziło w grę, bez żalu postanowił rozwiązać ryzykowny biznes.

Drugim powodem zaniechania tego zajęcia był strach przed zemstą ze strony bodyguardów Kalisty.

I o ile Irek po zrzuceniu (trochę już nadwreżonego) garnituru Lali mógł uchodzić za niewidzialnego, o tyle w towarzystwie psa poznać go

mógł prawie każdy.

- Tylko nie to!

- jęknął więc na widok stojącego na schodach psa i zastanawiał się poważnie, czy nie zamknąć miedzy przed nosem, tym samym odcinając się od niechlubnej przeszłości.

Zanim jednak zdążył rozważyć tę możliwość, pies znajdował się już w środku.

Aby matka nie zauważyła zmiany w zachowaniu Irka, zwyczajowe popołudniowe spacerowanie osiedlu zastąpił czymś o wiele bezpieczniejszym.

Zaprowadzał pitbulla do kina.

Kładł go dyskretnie w drugim rzędzie (gdzie, jak wiadomo, nikt nie siada), obok ustawiał puszkę jedzenia dla kotów (jako tańsze, nie rujnowało jego budżetu) oraz miskę z wodą.

Zjawiał się po czterech seansach i zabierał zachwyconego psa na spacer.

Tak było aż do dnia, kiedy w okienku kasy zamiast bileterki pojawiła się pierwsza kartka napisana tą samą ręką co napis nabłoku.

Podszedł bliżej, by odczytać jej treść.

Irek Blady od co najmniej trzech lat powinien nosić okulary, przepisane

206

przez całkiem miłą okulistkę z ośrodka zdrowia, ale uznał, że wygląda w nich jak palant, i nigdy w obecności osób trzecich nie ważył się ich zakładać.

Szybko nauczył się domyślać numerów tramwajów zrozmytych kształtów cyfr, ale teraz musiał podejść bardzo blisko, żeby odczytać treść wiadomości.

Do Ireneusza Bladego - widniał wielki napis na górze, a dalej litery zmniejszały się:

Niestety, w dniu dzisiejszym seans filmowy okazał się jeszcze gorszy niż zazwyczaj. Zwolniłem więc bileterkę z nudnego Czekańca natwój powrót! wyszedłem na spacer. Twój Buszan PS,

. Tylno noga trzeciej ławki od fontanny w parku śledzia.

2. Spokojnie, nie zostałem porwany!

Ostatni wers napisany był tak małymi literami, że Irek czytał go z nosa przy szybie.

- No, myślę!

- mruknął, odszyfrowawszy uspokajającą wzmiankę o porwaniu.

- Tego psa nikt nie chciałby z dołu płata.

Przy okazji mógł stwierdzić, że w kinie istotnie nie było bileterki, a zaraz potem przekonał się, że również sala projekcyjna zamknięta została na cztery spusty.

Zapukał donośnie we wrota, a potem, początkowo dyskretnie, a później bardziej śmiało, zaczął nawoływać pitbulla.

Bez skutku.

Pitbulla nie było w kinie.

Wszystko wskazywało na to, że list istotnie jest adresowany do niego. Oglądając się za siebie, czynił go nie obserwuje, odkleił kartkę, złożył ją na cztery części i wsunął do kieszeni.

Zauważył, że choć drogę z kina do parku przemierzał niemal codziennie, idąc nią, nigdy nie odczuwał ani krzty

207.

emocji.

Dziś biegł zaafierowany treścią listu.

Zgubienie pitbulla, które do niedawna jawiło mu się, co najwyżej, marzeniem ściętej głowy, teraz nie było takie zabawne.

Ale ten

podpis.

Buszan.

- Buszan!

- powtarzał na głos, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Pitbull musiał nosić jakieś imię, aleskoro matka zapomniała dowiedzieć się onie od właścicielki, w domu Bładych nazywano go jak popadnie.

A najczęściej, z wrodzonego wszystkim Bładym lenistwa, zwracano się doń bezosobowo.

Tymczasem Buszanbył imieniem szczególnym.

Wymyślił je Tomasz Mann, nazywając tak psa z opowiadania Pan i pies.

Ktoś, kto napisał tę kartkę, świetnie wiedział, jak wyrzucić na Irku wrażenie.

Zdawał też sobie sprawę, że szukając uciążliwego pitbulla matki, będzie miał

okazję przemyśleć sobie o wiele więcej spraw, niż kiedykolwiek zamierzał.

Skoro literaturawkroczyła w sam środek jego dnia, sprawa musiałaby być szczególna.

Zabawy w podchody odczasów dzieciństwa wciągały go, a teraz był dodatkowo

zaintrygowany nietypowym pomysłem z Buszanem.

- Trzecia ławka - powtarzał, przyspieszając kroku.

- Trzecia ławka, tylna noga.

Wokół fontanny stało sześć ławek, jak zwykle w samym środku dnia okupowanych przez tłum emerytek.

Ponieważ mieszkali na niewielkim osiedlu, większość ich prawdopodobnie musiał znać z widzenia, a te, których nie znał, najprawdopodobniej znały jego.

- Dzień dobry, dzień dobry, moje uszanowanie - kłaniał się na lewo i prawo, budząc zdumienie pań.

Cały czas patrzył na ich nogi.

Na wszelki wypadek przeszedł się jeszcze raz, obchodząc ławki od tyłu, czym podsycił jedynie zainteresowanie kobiet.

- Szuka panczegoś?

- zagadnęła ostro jedna z nich.

Najwidoczniej nie uznawał za stosowne wysilić się na przyjacielki.

- Psa.

208

Prychnęła, jakby odpowiedź wydała jej się nieprawdziwa lub trywialna.

Siedziała na krańcu ławki i prychnięcie spowodowało, iż przesunęła się jeszcze bardziej do brzegu.

Jej trzy mocno zbudowane towarzyszki od razu skorzystały z okazji i rozepchnęły się, próbując zdobyć więcej miejsca dla siebie.

Jego rozmówczyni wyglądała na rozsierdzoną całym zajściem, bo w porze poobiedniej znalezienie sobie wygodnego miejsca w ocienionej części parku graniczyło z cudem.

- Niech mi pani, na Boga, pomoże!

Mój pies miał stać przywiązany do trzeciej ławki - próbowała apelować do sumienia tracącej nim zainteresowani starszej pani.

- A co, może jeszcze panu o tym powiedział?

- Napi.

- Irekurwał pół słowa, świadom, że przemawia do osoby łatwo obraźliwej.

Tana szczęście, pochłonięta już obserwacją zanieczyszczających chodnik gołębi, zignorowała go zupełnie.

- Szukam Buszana - bez nadziei na powodzenie chwyciłam ostatniej deski ratunku.

- Ach, Buszana!

- zareagowała tymrazem, choć przedchwilą postanowiła traktować go jak powietrze.

- Od razu trzeba było mówić, że jest pan przyjacielem Buszany!

- Hm, kimś w tym rodzaju - odpowiedział zgodnie, powstrzymując się, żeby nie poprawić emerytki źle odmieniającej rzeczowniki.

- Krewnym?

- zapytała sąsiadka zajmująca sam środek ławki.

- Skąd!

- Szkoda.

- Wyglądało na to, że rzeczywiście się zmartwiła.

Irek poczuł, że albo pał źle wpłynęła wiekowe rozmówczyni i bredzą od rzeczy, albo to z nim jest coś niew porządku.

- Czy mogą mi panie opisać, jak Buszan wyglądał?

Chciałbym się po prostu zorientować, czy to mój Buszan.

Proszę, proszę, jaki zarozumiał!

209.

- I jeszcze mówi: mój, jakby Buszan była jakimś samcem!

Irek uspokoił gestem kobiety, które zaczęły kręcić się tak, że omal nie pospadały z małej, góra trzysobowej ławki.

Dopóki siedziały bez ruchu, ten układ jakoś funkcjonował, ale teraz wszystko chwiało się niebezpiecznie.

- Ta Buszan to całkiem miła dziewczyna, choć ma idiotyczne imię.

- I taka.

bardzo buszmeńska!

- kobiety zaczęły przekrzykiwać się jedna przez drugą.

- No i chyba była z psem, a pan pytał o psa.

- Oj, bzdury pani mówi, pan pytał o kota!

- Rzecz jasna, że o kota!

- potwierdziła najmniej rozmowna z czwórki.

- Niech pan sam potwierdzi.

- Eee.

- Irek próbował pozbierać myśli, gdy ta ze skrajnej lewej strony ławki zawołała:

- Tam masz pan Buszanę!

Odwrócił się gwałtownie w ślad zawyłaniającym się zzadzewa pitbullem.

Pies prowadzony był przez dziwnie znajomą postać ubraną wstertę kupionych na wagę ciuchów.

A co najdziwniejsze, głowę porywaczki wieńczyła imponująca peruka, imitująca modne w latach siedemdziesiątych afro.

Niemógł opanować uśmiechu, gdy pojął, dlaczego emerytki skojarzyły Buszana z buszem.

Chciał zawołać psa, lecz uświadomił sobie, że głupio jest krzyczeć, nie znając jego imienia.

A samo "hej, ty!

" w takiej sytuacji by raczej nie wystarczyło.

Afro z pitbullem, najwidoczniej świadome odkrycia ich obecności, oddalało się stronę wybudowanych po wojnie bloków.

Kiedyś stał w tym miejscu osławiona, największa w Europie synagoga, ale teraz rozciągała się przed nią najbardziej zagmatwany węzeł drózek, małych sklepików i zakamarków, jakie wymyśliła ludzkość.

Porywaczka jego psa najwidoczniej zamierzała go po wszystkich oprowadzić, bo ilekroć przyspieszał kroku, ona robiła to dwukrotnie szybciej, tak że nawet na moment tego quasi-poścignie zbliżył się ani o metr doukrywającej się pod peruką kobiety.

210

Dogonił pitbulla dopiero wtedy, kiedy ona mu pozwoliła.

Stał przywiązany do rozdzielni telefonicznej, zachwycony, że zamiast w kinie spędził dzień na bieganinie po pełnych nieznajomych zapachów osiedlowych uliczkach.

Do obroży psa przymocowana była karteluszka wielkości znaczka pocztowego z papierem.

Po obu jej stronach było coś napisane.

Irek nie miał problemów z odczytywaniem napisów z bliska, więc bez trudu odcyfrował równe, staranne pismo.

Dla ułatwienia nadawca liściku ponumerował strony kartki.

Przekonałeś się, że różne drogi prowadzą do tego samego celu.

Czy wszystkie są tak samo dobre?

Twój (całkiem rozsądny) pies.

Uśmiechnął się.

- Hej, kim jesteś?
- zawołał.
- Nie chcę prowadzić dialogu z psem.
Pies popatrzył na niego obojętnie.
- W porządku - poddał się.

- Chyba będę musiał.

Jeszcze raz spojrzął na zamkniętą w dłoni karteczkę.
Coś zaczęło mu świtać.

Ujawnienie twarzy przebranej kobiety, której tożsamości Irek się domyślał, nie udało się wyłącznie dlatego, iż Milena nie złośnie tkwiła w postanowieniu, że powinna swoje plany wprowadzać w życie delikatnie.

Do wyprostowania życia Ireneusza Błatego zaplanowała podchodzić taktemi szczególną ostrożnością.

Wiedziała, że pochopne lub pospieszne działanie może spłoszyć nieszczęśnika.

Myślała o tym dużo przez ostatnie dni.

Skoro przeznaczenie pozwoliło jej uratować Irka, zrzuciło na nią odpowiedzialność za jego dalszy los.

Ponieważ tak uważali azjatyccy mędrcy i afrykańscy czarownicy, Milena skłonna była uznać opinię za słuszną i godną uwagi.

Niespodziewanie Irek zajmował teraz większość jej myśli, tych przeznaczonych na wykonanie zamierzonego planu oraz tych całkiem prywatnych.

Świadomość, że powoli przestaje być konserwatorką

porządku, była znacznie przyjemniejsza, niż się tego spodziewała.

Jeszcze tego samego dnia Irek Blady po przeszukaniu komórki sąsiada zgromadził wszystko, czego potrzebował - wiadro farby i dwa pędzle: jeden solidny, z końskiego włosia, a drugi wąski, malujący z kaligraficzną wręcz dokładnością.

A w nocy, zmieniając zwykłą trasę spacerów z psem, udał się pod wielką, oświetloną nocą reklamę przemysłowego.

Choć za młodu nie był szczególnie zdolnym malarzem, teraz przerobienie obrazu ryby na wizerunek psa zajęło mu kilkanaście minut.

Pozostały czas przeznaczył na wykaligrafowanie drobnymi literami pewnego dość intymnego przesłania.

Jeśli to czytasz, zapal światło - głosiły ostatnie słowa tekstu.

Prawie niewidoczne z dołu, były doskonale widoczne okien kamienicy przy Wróbla.

Skończywszy swoje dzieło, Irek wypatrywał choćby delikatnego ruchu firanki w oknie

Mileny.

Na próżno.

Światło, na które czekał, nie zapaliło się.

Zamiast tego na horyzoncie zamajaczył połyskliwy błękit koguta radiowożu.

Irek, dzierżąc w dłoni obciążający dowód w postaci pędzla, rzucił się do ucieczki, zostawiając zamalowany afisze całe wiadro pierwszej jakości emulsji do malowania ścian.

Kiedy klucząc w labiryncie bram, dobiegał kresu ucieczki, spojrzął raz jeszcze w okno na Wróbla.

Światło się zapaliło!

- Zatem różne drogi prowadzą do tego samego celu - roześmiał się.

Ten mały sygnał uskrzydlił go, tak jak miłość lub strach podrywają gnuśne domowe ptactwo do lotu.

Irek Blady dziś był fruującym drobiem.

Był po prostu najszczęśliwszym facetem w mieście.

- Buszan!

- zdopingowany sukcesem krzyknął w stronę pitbulla.

212

Pies naturalnie zareagował w ogóle.

- Trudno - dziś Irkowi nic nie było w stanie zepsuć humoru.

Głupawy pitbull nie nadawał się na imiennika bohatera Mannowskiej noweli, ale nudne strony powieści jego życia powoli zaczęły zapełniać się treścią.

Irek wziął psa na smycz, pozbył się pędzla w najbliższym kontenerze na odpadki i jakby nigdy nie spacerował się pod rybim neonem.

Robotnicy zakładu Kaliscy pod okiem policji zmieniali plakat na dokładnie taki sam, jaki wisiał poprzednio.

- Coś się stało?

- zagadnął z niewinnym wyrazem twarzy zasnętego faceta z wąsami.

- Wandale, panie!

- E, tam!

- pracujący na drabinie robotnik z wdzięcznością przyjął ofiarowanego przez Irka papierosa.

- Dzieciaki się wygłupiają i wypisują wiersze.

Irek Blady pożegnał się grzecznie z panami, kiedy ci, naoglądawszy się kryminalnych magazynów, zaczęli sugerować, że sprawca zawsze wraca na miejsce przestępstwa.

Zaraz potem ulotnił się szybko, usiłując nie oglądać się za siebie.

Jedyną osobą, nie licząc pijaków i zakochanych, którą spotkał w pogrążonym we śniemieście, była zbierająca makulaturę kobieta, do złudzenia ubiorem przypominająca peruwiańskiego muzyka.

Stała z oderwanym z dna pudełkami kartonem w dłoni i skrupulatnie spisywała ostatnie, zaklejane przez robotników słowa.

Widać było, że jej wprawa w pisanie jest niewielka, bo po każdej literze sprawdzała jej kształt z oryginałem.

Kiedy skończyła, zadowolona wepchnęła karton pod bluzkę, jakby chowała swój największy skarb.

- Totalnie pomyłona.

- westchnął Irek, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Kobieta wygładziła karton na piersi, wsunęła bluzkę jedną z trzech spódnic, jakie miała na sobie, zarzuciła na

213.

plecy chustę z pomponami i dumna z własnej pomysłowości, w asyście podrudziałego kota ruszyła w przeciwnym kierunku.

Irek spojrział na pitbulla, zdziwiony brakiem reakcji na kota śmieciarki.

Pies zaś patrzył na dziwną parę ogłupiały, kiwając głową jak w transie.

Raz w jedną, raz w drugą stronę.

- Porana nas - zdecydował Irek, pociągając smycz w kierunku domu.

Powoli zbliżał się poranek i woń miasta znów zdominował zapach ryb z powstających na obrzeżach zakładów Kalisty

18

Nim przyszedł na świat pierwszszesczeniaki Buszana, Irkowi udało się zapomnieć o niedo końca udanym interesie pośrednictwem erotycznym dla rasowych psów.

Działosił tak częściowo za sprawą intensywnego zainteresowania się jego życiem przez Milenę, a częściowo za sprawą poezji.

Do obu tych spraw Irek Błady podchodził ze śmiertelną powagą.

Dom rodzinny, okupowany przez rodziców i psy, nie nadawał się do ćwiczenia rymów i cyzelowania wersów.

Musiał więc znaleźć sobie inne miejsca do rejestrowania wzlotów kapryśnej muzy.

Biblioteka tylko na początku nastrajała Irka do przemyśleń.

Potem łapał natchnienie wszędzie tam, gdzie przebywał.

Najczęściej w zupełnie nieoczekiwanych miejscach.

W trakcie rozmowy zapisywał dwa wersy na zużytej paczce papierosów albo nerwowo rozwiniętej bibułce.

Gdy ich tematyka nie wychodziła poza refleksje poświęcone życiu, porzucał je z równą łatwością, jakby nie były niczym poza zużytym skrawkiem papieru.

Inaczej rzecz miała się w przypadku wersów poezji mi214

łosnej.

Ich intymność zbyt naruszała niewidoczne granice jego prywatnego terytorium, by oddawać wiersze na pastwę przypadkowych śmieciarzy.

Denerwowała go własna ułudność w pisaniu zakończeń.

Kiedy zaczynał pisać o uczuciach, słowa wymykały się spod kontroli sceptycznego umysłu.

- To pewnie dlatego, że nie znam zakończenia tej historii - powtarzał częściowo sobie, a częściowo w psu, z którym wychodził jedynie wieczorami.

Buszan nie rozumiał, że to jego źle ukierunkowany miłosny apetyt zmusił Irka do zmiany przyzwyczajzeń, więc całymi dniami zajmował się demolowaniem łazienki.

Wyznania swojego pana traktował z właściwą czworonogom pobłażliwością.

Zakochany Irek zapominał czasami, że należy do doopornego na uczuciowe wstrząsy klanu Bładych.

Coraz więcej czasu zajmowały mu myśli orbitujące wokół znaczenia słów i gestów Mileny.

Rozpatrywanie delikatnych niuansów nie leżało dotąd w jego prostolinijnej naturze, więc Irek ostrożnie badał nieznaną mu dotąd teren uczuć.

Po raz pierwszy otwarcie mówił sobie, że to jest miłość.

Mówił to jeszcze psu raz.

no, właśnie.

Szacunek dla niezwykłości ukochanej nie pozwalał mu na otwarte zaloty.

W zamian wymyślił coś na kształt poczty.

Zaczął swój wiersz, pisząc go po zmroku na murze śmietnika, i czekał na odpowiedź.

Kierowanie się pokrętną logiką w odpowiedzi ze strony właściwej kobiety zmuszało go do przychodzenia w to miejsce tak długo, aż do dwóch pierwszych wersów wiersza staranną, kobiecą ręką dopisana została cała strofa.

To dawało nadzieję na znalezienie zakończenia utworu.

Irek szukał go pracownicy, pomijając żmudny obowiązek zapisywania dotychczasowych dokonań.

Wpisywał swoje niedokończone wiersze-zagadki w księgach pamiątkowych zapomnianych przez naród muzeów tradycji niepodległościowej, w zakurzonych księgach wnios 215.

ków i zażaleń, na zagrabionym świeżo piachu.

Napisawszyje raz, odczytywałgłośno i odchodził w swoją stronę.

Czasem sprawdzał, jak potoczyły sięich dalsze losy, a najczęściej po prostu zostawiał je - jak mniemał - własnemu losowi i erozji czasu.

Wszystko było, tak jak miało być: kiedy miasto eksplodowało od nadmiaru rzeczywistości, pojawiła się poezja.

W dużym mieście wszystko bowiem toczy się swoimi torami, których tajemniczy bieg znany jest tylko najbaczniejszymobserwatorom.

Duże miasto niejest mieszaniną, ludzkim i architektonicznym tygłem, jak miasta rozwijające się, doktórychwciaż ktoś napływa z nowąenergią i potrzebą niesieniazmian. Miasta, których siła napędowa zgasła lata temu, bardziej przypominajązbiór rozrzuconych miasteczek lubwrcz wsi, które nie kontaktują sięze sobą.

Ulice jak żywegardziele tajemniczegoorganizmu zamykają się dla przygodnie zabłąkanych tu obcych, odcinając ich od tlenu i słońca.

Nie mogą oni dotrzeć ani do tajemnic miejsca, w którymsię znaleźli, ani nawet do najmniejszej prawdy o nim samym.

Odstraszeni wrogością obcych zaułkowi ciszą milknących wokół rozmów, wycofują się czym prędzej w bardziej swojonerejony.

Miejskie zagrożenia nie paraliżowałyjedyniezakochanych, gołębi i włóczących się po śmietnikachkotów.

- Niewiele rzeczy jest wstanie zadziwić prawdziwychmarzycieli -zauważyła Milena Fortuna.

Czyżby Poezja stanowiła duszę naszego miasta?

- napisała nakartce, którą ztrudem doczepiła do obroży szamoczącego się Mruczka.

Nim MilenieFortunie dane było doświadczyć działania poezji, z samego rana znalazła pod drzwiami kartkę.

Przezcały wczorajszy dzień nie dostała znaku życia od Irkaimimo że się do tego nie przyznawała, sam fakt, iż mógłby

216

tak z dniana dzień zerwać ich korespondencję, niepokoiłjąbardzo poważnie.

Spodziewała się listu, żartu słownego, czegoś przyjemnego i niezobowiązującego, tymczasem na wielkiej kartce, zdolnej opakować solidne pudło po butach, napisane byłojedno tylko zdanie:

Kobieta bezmiłości jest jak samochód terenowy, któremu wydaje się, że jest drezyną.

Przykucnęła w drzwiach, wpatrując sięw ślad czerwonego flamastra naniebieskawej bieli papieru.

Ktoś z zewnątrz mógłby przyrzec, że jest trzydziestodwuletnią analfabatką, usiłującą na podstawie krojuliter przeczuć ich znaczenie.

Treśćtego jednego zdania poruszałyją tak bardzo, że dokońca dnia nie potrafiła znaleźć sobie miejsca.

Odpuściłanawet, co byłocałkiem do niej niepodobne, codzienny zwyczajmycia podłogi w kuchni, nie zapytała bliźniaków, czy umyli zęby, awychodząc domu, założyła dwa różne buty.

Była rozbita.

Mało tego, wiedziała, kto jest przyczyną tego stanu.

Najgorsze zaś było, że ten, który dopuścił się taktrafnego rozkładu jej świata na czynniki pierwsze, sam miał stać się ofiarą jej edukacyjnego eksperymentu.

- Czy jestem jeżdżącą po sztywnych torach drezyną?

-pytała sama siebie, przypalając kaszę dziadkowi Leona.

Ale ten nie odpowiedział jej nicsensownego, bo spędził przedpołudnie, popalając w towarzystwie wnuka nielegalne skręty, a teraz paplał dużo i bez sensu. Nadodatek głównie o karpie, do którego Milena po porzuceniu pracy przy rybich wędlinach miała jeszcze większą awersję.

Czy ktoś, komu niezależny na kontakcie z rzeczywistością, może tę rzeczywistość nagiąć do swoich oczekiwań?

Zadając sobie to i wiele innych pytań, patrzyła na przemawiającego do opastej ryby staruszka. Milena Fortuna pomyślała, że dziś w jej widzeniu świata coś bezpowrotnie uległo transformacji.

Dziadek Leona z werwą przemawiał do karpia.

Było to

217.

niczym mowa Fidela Castro za najlepszych czasów: bez refleksji, bez wątpliwości, bez przerwy.

Przymknęła drzwi.

Oparła się odsłoniętymi plecami o zapisaną gryzmołami ścianę.

Nigdy nie odcyfrowany wierszaktatuaż odznaczał się na nagim fragmencie jej ciała.

- Rzeczywistość dawno nas przerosła.

Jesteśmy wszyscy jak ci jednorazowi, niedzielni poeci.

- Poeci, mówisz?

- znad wanny dochodził głoś naćpanego dziadka.

Uśmiechnęła się do siebie.

Staruszek naturalnie był święcie przekonany, iż nadal rozmawia ze swoim zimnokrwistym przyjacielem.

Wyszła, nie burząc spokoju mieszkańców domu.

Tego wieczoru Milena wypła w samotności dwie butelki zostawionego włodowce w spadku po Marianie piwa.

Następnie, czując się całkowicie, niestosownie pijana, napisała do Irka długi, pełen wyrzutów, strachu i nadziei list, podpisując go cytatem z kartki "kobieta bez miłości".

I jak to zwykły czynić kobiety pozbawione tego jedynego, niezwykle go uczucia - zamiast wysłać list adresatowi zakopała go pod poduszką.

Gdyby zamiast użalać się nad sobą tej nocy zechciała wyjrzieć przez okno, zobaczyłaby, jak ciemnozielone drzewiaki naprzeciwko tracą swój jednolity kolor, pokrywając się smugami żółtej farby.

Nazajutrz wszyscy mogli ujrzieć dzieło nocnego malarza zawarte w pięciu lakonicznych słowach:

Marian czeka na twój głos.

Wkrótce za sprawą pewnej petycji stało się jasne, co napis ten oznacza.

Milena kategorycznie twierdziła, że petycja w sprawie kanonizowania Mariana Fortuny nie była dobrym pomysłem.

Wiedziała to od razu.

Naturalnie, dobrze byłoby, żeby

218

to zapomniane przez historię miasto miało swojego świętego.

Centralne usytuowanie geograficzne (lepsze niż Częstochowy!

) w sposób naturalny predestynowało je do zaszczytu pielgrzymkowego punktu spotkań.

A jednak ci, którzy znali Mariana lepiej od innych, nie wątpili, iż wśród setek tysięcy żyjących i nieżyjących mieszkańców miasta znalazłby się ktoś znacznie godniejszy zaszczytu wyświęcenia.

- Szczerze mówiąc, każdy byłby lepszy od Fortuny!

- zapewnił Błady senior trzy zażywe, wiekowe damy, które nie wiedząc czemu za swój punkt honoru przyjęły nie tylko zebranie odpowiedniej liczby podpisów pod petycją, ale też zawieszenie jej osobiście do samego papieża do Rzymu.

Trzy damy, będące oddanymi przyjaciółkami mamusi tragicznie zesłego z tego świata Marianka, zmierzyły go bezlitosnym spojrzeniem.

Od dobrych dwóch godzin czyhały przed kościołem na każdego przechodnia i chlubiły się stu procentową skutecznością w zdobywaniu podpisów pod petycją.

- Tak?

A niby kto miałby być lepszy: może ty?

- zachichotały zjadliwie.

- Nie ośmieszajmy się lepiej - zaproponował pokojowo, czując, iż jedna z kobiet, niezwykle podobna do karcianej damy trefl, usiłowała podciąć mu kulę parasolką.

- Podpisujesz czy nie?

- A w życiu!

W tym momencie, niby przypadkiem, parasolka damy trefl z impetem uderzył w kulę, a na pozór niewinną próbą podtrzymania jej przez miłosierną damę pik z zupełnie wytrąciła z równowagi Bładego, przewracając go na łopatki.

- Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy - oznajmiła z satysfakcją trzecia dama, wskazując na nieciekawe położenie inwalidy.

Istotnie leżał teraz na plecach, złorzecząc na czym świat stoi.

Odstając od ziemi w najwyższym swoim punkcie nanie więcej niż 30 cm, patrzył na kobiety z perspektywy karłowatego psa.

Damy zaświsały nad nim, trzymając

219.

w garści spódnice, pod które - jak niesłusznie mniemały - on jako zepsuty samiec chętnie by zajrzał.

Przez chwilę damy upajały się swoim triumfem, aż w końcu jedna z nich przerwała jego nasyconą epitetami bezsilną tyradę.

- Nie litowałybyśmy się nad tobą, gdybyśmy nie potrzebowały podpisów podobnych do ciebie grzeszników - dama refleksywnie wyciągnęła ku niemu rękę, ustawiając się tak, by cała ulica mogła bez przeszkód obserwować jej miłosierny gest.

- Won, wstrętne babiszony!

- wrzasnął rozszereżony błady, dzielając kulą pomocną dłoń damy.

- Niech wasz szlag jasny trafi!

Błady senior darł się jak opętany, nie wzbudzając większego zainteresowania wśród gapiów.

Nie używał przy tym słów, które powszechnie przystoją w rozmowie z kobietami w pewnym wieku, nic więc dziwnego, iż ów brak dyplomacji nie przysporzyło mu uznania wśród przechodniów.

Damy natomiast, podbudowane moralnie zaistniała scenką, nie tylko bez trudu zebrały wśród obserwatorów zajęcia tak pożądanego podpisu, ale wśród kilku podobnych do nich dami niemłodych już waletów znalazły gorliwych zwolenników i kanonizacji kogokolwiek (w tym na przykład Mariana Fortuny).

I znów życie kilku pozbawionych celu jednostek nabrało koloru i sensu.

A iście ludzka potrzeba misji i pozostawienia po sobie śladu przerosła wcale nietak oczywistą potrzebę myślenia.

Żeby oddać światu sprawiedliwość, należałoby stwierdzić, iż nie wszyscy ulegli niezdrowej obsesji wyświęcania swoich znajomych.

Byli też tacy, których ta sprawa (podobnie jak cała reszta problemów bliźnich) wcale nie obchodziła.

Jedną z nich była z całą pewnością kierowniczka osiedlowej biblioteki.

Pani Kazimiera, mieszkająca w Łodzi na parterze maleńkiej, obrośniętej bluszczem kamieniczki, miała wystarcza

jąco dużo lat, żeby skorzystać z przywileju spokojnej, choć nie zbyt dostatniej emerytury.

Wiek emerytalny osiągnęła reszta kilkanaście lat temu, lecz wykorzystwała już wszelkie środki (od podstępów i oszustwa łącznie), aby zwieść bezwzględnych urzędników i uniknąć obowiązkowej deportacji do krainy pogodnych babć dziergających swym wnukom czapeczki.

O ile wieść gminna nie kłamie (a raczej nie kłamie) sędziwa kierowniczka osiedlowej biblioteki straciła swego męża tak szybko, że nawet nie zdążyła zobaczyć dzieci, a co zatem idzie - i wnuków.

Praca, czyn społeczny i partia (dopóki istniała) z nawiązką rekompensowały pani Kazimierze małe potknięcia w życiu osobistym.

Wszystkim było przykro, że ten okres właśnie definitywnie się kończył, bo prawdopodobieństwo, że bibliotekarka będzie zatruwać życie innym, było bardzo wysokie. Chyba że pani Kazimiera znajdzie sobie nowy cel w życiu.

Wszystko to miało się wyjaśnić tego dnia, kiedy rząd rozpatrywał ustawę, w myśl której katolicy Polacy łączący się kumenicznym duchem z protestancką częścią Europy powinni nauczyć się kalwinistycznej czystości.

I mimo że niemal wszyscy przyklaskiwali mądrej idei bałwołochy o ogólnonarodowy porządek, mało kogo nieoburzała forma, w jakiej polityka wkraczała w osobiste sprawy obywateli.

Nim Milena zdążyła wyłączyć nadawane właśnie napierwszym programie wiadomości, do drzwi zapukała sąsiadka z dołu.

Pani Kazimierzy nic a nic nie obchodziło powszechne skalwinizowanie Polaków.

Nie ukrywała jednak, że trapiją coś zupełnie innego.

- Idę na emerytuuurę - zawyła wprogu.

-A todopiero!

-zdziwiła się Milena, życzliwie podsuwając jej kuchenny stołek.

Nie mogła uwierzyć, że w końcu udało się komuś wysłać dożywnią bibliotekarkę na obowiązkowy państwowy odpoczynek.

- Ico ja pocznę?

221.

Sądząc po tym, iż sąsiadka nie zwróciła uwagi na bliźniaki złodziejsko grzebiące w kieszeniach jej swetra, musiałoż nią być bardzo, bardzo źle.

- Możeżacnie pani wreszcie korzystać zżycia pocieszała bibliotekarkę Milena.

Nie była możenajwłaściwszą osobą do wygłaszania tegotypu mądrości, ale jej troska była zupełnie szczerą.

- Aniby co ja miałabym robić?

- paniKazimiera oburzyła się tak gwałtownie, jakby usłyszała wielce nieprzyzwoitą propozycję.

- Może pozna pani kogoś miłego - Milena brnęła kuwłasnej zgubie.

- Ja,dajmy na to, pracuję właśnie u dziadkaLeona, który.

- Który co?

-Przygarnął sobie,hm.

zwierzątko.

- A Boże broń mnie przed psiarzami!

Sąsiadkazerwała się gwałtownie, omalnie wyrrywającwraz ze swetrem dłoni Adasia i Antosia.

Towarzyszący jejkot miauknął przeraźliwie, raptownieprzyciśnięty do piersi swojej pani.

Będąc już przy drzwiach, zawróciła powoli w sposób sugerujący, że dotarło do niejcoś niebywale zastanawiającego.

- Jezu!

- Milena, obserwując aktorskie występy bibliotekarki, jęknęła cicho i pomyślała: Ta kobietana emeryturzerozniesie w proch naszą starą kamienicę!

- Sąsiadko?

- pani Kazimiera zaczęła podchwytiliwie.

- Słucham.

-Czy wy chcecie mnie wyswatać?

- Skądże!

-Bez fałszywegowstydu, przyznawać się!

- Zapewniam panią, że nie.

-Ach.

Emerytowanabibliotekarka sieknęła, zawróciła i usiadłaz powrotem na tym samym kuchennym stołku, którego nieomal nie zmiażdżyła impetemswójjej złości.

Żaden z bliż222

niakównie miał odwagi doniej podejść.

(Prawdopodobniedlatego, że obszukawszy kieszenie, stwierdzili, iż nie mawięcej czego szukać).

Sąsiadka litościwie wypuściła z objęć kota, który korzystając znieoczekiwanej chwili wolności, błyskawicznie wyskoczył przez okno.

- Bo ja,wiecie, myślę, że to wcale nie byłby taki głupipomysł.

-No,nie wiem.

Milena istotnienie wiedziała, co o tym myśleć.

- Nawet dość lubiętego waszego dziadka - wyznałprzyjaźnie.

-Doprawdy?

- Oczywiście, gdyby wasz plan doszedł doskutku, psanależałoby oddać dobrym ludziom.

- rozmarzyła się.

-Zewzględu na Mruczka, naturalnie.

Milena westchnęła ciężko.

- No nie wiem.
- powtórzyła szybko, uświadamiając sobie, że kiedy zaczyna się powtarzać, to znaczy, że sprawy wymykają się jej spod kontroli.

Sąsiadka wbiła badawcze spojrzenie w młodą wdowę.

- Z waszą pomocą, jak mniemam, jakoś ułożę sobie życie na emeryturze.

Chyba chcielibyście w swoim życiu oddać jakąś drobnoprzysługę staruszkom, hę?

Sama myśl o spotkaniu dwojga oryginalnych staruszek skłoniła Milenę Fortunę do śmiechu.

Najchętniej wytłumaczyłaby się, że oddawanie przysług ostatnimi czasy stało się jej drugą naturą, ale ponieważ miała słabość do wszystkich, którzy potrzebowali jej pomocy (naturalnie wbrew wszelkim, grzmiącym o zdrową asertywność, psychologom), obiecała zrobić, co w jej mocy.

- Słuszna decyzja!

- stwierdziła ze śmiertelną powagą sąsiadka.

- Nie ma co siedzieć nad pasztetem i czekać, aż zajęczy.

- oświadczyła tajemniczo, dając jednocześnie do zrozumienia, że na miejscu dziewczyny wzięłaby tę maksymę również do siebie.

223.

Chwilę później, nad słuchując dobiegających z dołuradosnych odgłosów, Milena nabrała obaw, iż pani Kazimiera zbyt poważnie wzięła sobie do serca jej słowa i właśnie przeprowadza się do dziadka Leona.

Pamiętawszy, że żona wojnie i w miłości wszystko jest dozwolone, Milena nabrała w oskrzela nieruchomego sierpniowego powietrza i powtarzała, że każdy, dosłownie każdy mieszkaniec tego miasta, kraju czy planety ma prowadzić do miłości w dowolnie wybrany sposób.

Nie była pewna, czy zapal, z jakim pani Kazimiera zabrała się do budowania swego życia na nowo, jest najwłaściwszym środkiem prowadzącym do celu.

Kilka razy uwierzyła w zbawienną siłę miłości i naturalnie się rozczarowała.

Widok z kuchni przysłaniało jaskrawożółte hasło rządzące datkówną kanonizację Mariana.

Cóż, świat z jej oczekiwań nie okazał się dokładnie tym, który widziała za oknem.

19

Miłość jak grypa dopadła wszystkich.

Czasami niepewna błądziła labiryntem niedomówień, innym razem waliła na oślep.

Miało to naturalnie swoje skutki uboczne.

Pierwszym był fakt, iż Pępek (co, zdaniem niektórych, było do przewidzenia) w końcu rzucił Bładą.

To zapoczątkowało iście sądny dzień.

Tchórzliwy Pępek rozstał się z siostrą Irką przez telefon, wyznając, że wreszcie zrozumiał, czym jest prawdziwa miłość.

Błada omyłkowo wyznanie to wzięła za nieudolną próbę oświadczenia, więc natychmiast dosadnie wytłumaczyła narzeczonemu, co dokładnie myśli o jego sposobie załatwiania spraw. To tylko rozjuszyło Pępka.

Rozsądek podpowiadał mu, żeby nie zadzierać z silną jak taran siostrą kolegi, ale serce dopominało się swoich praw.

Oznajmił, że zakochał się w kimś innym.

224

Pępek miał dużo szczęścia, że nie było go w zasięgu prawego sierpowego Bladej. Mniejsze szczęście dopisało jej rodzinie, na której bez oporów wyładowywała swoją furję. Przewornie ojciec wyniósł się nawet na ten czas do łazienki i nie wyszedł, dopóki córka nie przestała wrzeszczeć.

Największy żal do Pępka Maria Błada żywiła nie ostracone u jej oboku lata, ale oto, że nie dała jej szansy zakończenia ich przechodzonego narzeczeństwa na jej warunkach.

Niemogła mu wybaczyć również tego, jak wiele w ten związek zainwestowała swojego pedagogicznego zapasu.

Z heroizmem godnym rodzowego nazwiska walczyła o jego zainteresowanie, używając do tego wszelkich znanych sobie chwytów.

A znała ich nie mniej niż zawodowi bokserzy.

- To niewdzięcznik!

- Błada zwinęła w rulon ręcznikiem usiłowała trafić psa, jakby ten odpowiedzialny był za odejście narzeczonego.

- Jan Obst: "Kto liczy na wdzięczność, tym samym utracił do niej wszelkie prawo" - zacytowała matka, przyjmując nieprzejednaną, wojowniczą postawę.

Jej wyniosły spokój podzielał na rozjuszoną Maryskę jak kubał zimnej wody.

Usiadła na zarezerwowanym dla matki miejscem w wersalce i z niedowierzaniem kręciła głową.

- Dałam się cholernie zaskoczyć!

Kto by pomyślał!

Ktoby pomyślał!

Irek wzruszył ramionami.

Przewidywał to dawno temu.

Dawno też przewidział swój niewesoły koniec związków Kaśką.

Już wówczas, gdy przez pierwsze dni znajomości ekspedientką droga Irka do pracy prowadziła dokładnie przez sklep pasmanteryjny.

Do sklepu tego nie wchodziła reszta nikt poza nim, więc znudzona jak mops sprzedawczyni przyjmowała go całkiem ciepło.

Ten drobny sukces, rzecz jasna, niewprawiał Irka weuforię.

Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie twardo trzymali się ziemi i kiedy już ostatecznie zakochiwali się, czynili to z lekkim zaangażowaniem i nacałe życie.

Skrepowanie, które przy tym niewy225.

godnym stanie uczuć odczuwali, było zbyt kłopotliwe, żeby przedłużyć zaloty w nieskończoność.

Jedynym rozsądnym wyjściem z sytuacji był szybki ożenek i honorowe pogrzebanie wstydu za głupi zryw serca gdzieś między kuchnią a kozetką, w pokoju sypialnym.

Huczne wesele było najwłaściwszym pożegnaniem okresu burzy i naporu.

Irek dotychczas nie sądził, by kiedykolwiek miał zmierzyć się z tądzienną tradycją.

Poznał w swym życiu wystarczająco dużo kobiet, by przypuszczać, że nigdy się nie ożeni.

Taki stan rzeczy trwał do czasu.

W drodze do biblioteki nadrabiał drogi, żeby uniknąć przypadkowego spotkania z Kaśką.

Zamiast tego szukał namurach śladów poetyckich odpowiedzi Mileny, lecz znajdował je rzadziej, niż tego pragnął.

Włóczył się wówczas po osiedlu, zatapiając w znaną na pamięć pajęczynę ulic.

Irek Blady coraz częściej upewniał się, że gdyby ktoś postronny zabłądził w rewir kilku nieznanym nikomu ulic w niemożliwym wielkim mieście pewnej, prawie prowincjonalnej części Europy, zastałby wszystko dokładnie takie, jakiego się spodziewał.

Czyli nijakie.

Ulicenie były aniczyste, ani brudne, domy ani eleganckie, ani zapuszczone, ludzie ani trzeźwi, ani pijani.

Optymista mógłby odebrać ten stan rzeczy jako najlepszy z możliwych, pesymista jako fatalny.

Polak z natury rzeczy jest ostrożnym pesymistą, a optymiści trafiają się tylko wśród tych, których los zagnał daleko poza granice kraju, by tamokrotnie wytresować w nieludzkim keep smile i zwrotną przesyłką odesłać z powrotem nastare śmiecie.

Tacy jednak nigdy nie zapuszczali się w głąb miasta.

Nie mogli tym samym powiedzieć reszcie świata o poetyckim cudzie, który jak plaga grypy ogarniał coraz tonowe rewiry starego tkackiego molocha.

Był to coś z podniosłej atmosfery Wielkich Świąt, a zarazem klimatu pijackich rozmów o życiu, które toczą się

226

nad ranem w akompaniamencie pobrzękiwania pustych butelek i widma nadciągającego jak gęsta mgła kaca.

Upał skutecznie spowalniał ruchy nieprzyzwyczajonych do ludzi strefy umiarkowanej i zabijał rozsądek narzeczonych wcześniej nie wyartykułowanych pragnień.

Irek Blady na swojej drodze do pracy coraz częściej spotykał Pępka, który od kilku dni towarzyszył mu z godną podziwu systematycznością niemieckiej kolei.

W dniu, kiedy z hukiem rozstał się z jęgorodzoną siostrą, Irek niespodziewał się zobaczyć kumpla.

Tymczasem wystrojony w swój najlepszy dres zdenerwowany Pępek stał o krok od sklepu pasmanteryjnego.

Był milczący, zamyślony i trochę nieswój.

Irk zdziwiło to tym bardziej, że Pępek rzadko milczał, a jeszcze rzadziej myślał.

Gdy natomiast zdecydował się odezwać, zrobił to jeszcze bardziej tajemniczo.

- No, ale wiesz.

To nie bywa takie złe powiedział Pępek, unikając wzroku przyjaciela.

- Co?

- Law.

- Że jak?

-Law, love story, truelove, jak w piosence!

- Niekapuję.

Irkowi zdawało się, że Pępek patrzy wyłącznie na witrynę sklepu pasmanteryjnego.

- Chodzi o to, że chciałbym kiedyś wiedzieć, że znajdziesz kiedyś ktoś, z kim będę chciał się ohajtać, nie będą brzydziły mnie bachory ani takie różne.

Irek niekrył, że niezupełnie rozumie intencje niedoszłego szwagra.

- Chcesz się ożenić?

-Ech!

- zawstydzony Pępek machnął ręką.

-Nie bierzwszystkiego zbyt dosłownie.

To tylko teoria.

Zresztą tłumaczyłem to Maryśce.

- Nie myślałem, że mówiłaś serio.

Po raz pierwszy widział czerwieniącego się kumpla.

227.

Ireneusz Blady wiedział, czerpiąc z mądrości pokoleń, że w miłości nie warto czynić założeń. Każda teza postawiona a priori i tak wcześniej czy później skazana jest na upadek. Nic dziwnego, że bardziej od kobiety na całe życie szukał uciechy w nakilkanocy.

Próbował wytłumaczyć to Pępkiowi na przykładzie Kaśki ze sklepu pasmanteryjnego, ale ten najwidoczniej źle zrozumiał jego intencje, bo, zamiast refleksyjnie i ze współczuciem pokiwać głową, prychnął jak nerwowy stepowy koń:

- Lepiej już nic nie mów, dobrze?

Irek ruchem ramion pokazał, że jest mu wszystko jedno, kiedy za oknem pasmanteriizamajaczyła postać Kaśki.

Wydawała się czymś zaniepokojona, ale gdy Irek machnął w jej kierunku przyjacielsko, szybko odskoczyła odszyby.

Pępek podrapał się po łysej czaszce.

- Stary, nie gniewaj się o swoją siostrę.

Zrozumiałem, że pewne rzeczy niemożną się udać, bo ona mnie tłucze.

- To akurat najmniejsza z jej wad - Irek zaśmiał się.

- Wszystkie blade tłuką tych, których lubią.

Możemy ci z ojcem dać to na piśmie.

- Moja matka też jest tego zdania.

Mówi, że Maryśka ma po prostu talent wychowawczy.

Specyficzny.

- Więc o co chodzi?

- Zamierzał dodać coś jeszcze, lecz przerwał, nie dokończywszy myśli.

Kaśka znów pojawiła się w okniei rozmawiającym mężczyźni na zawołanie stali się bardziej nerwowi.

Naturalnie zupełnie innych powodów.

Pod pretekstem opieki nad psem matki Irek udawał, że musi wrócić do domu.

Nie czuł się z tym specjalnie dobrze ani szczególnie źle.

Ot, kiepski bajerstwo stworzone na potrzebę chwili.

I wszystko przebiegałoby jak co dzień, gdyby szczerść Pępka nie wydała mu się dziwnie podejrzana.

Po kilku krokach Irek Blady, tknięty przeczuciem, że i z jego strony należą się Kaśce słowa prawdy, wrócił do drzwi pasmanterii.

Lecz, odziwo, nie było jej w otwartym

228

sklepie.

Magnetofon natomiast był jakopętany najnowszy taneczny przebój z VIVA Zwei.

- Kaśka?

Nikt nie odpowiadał, a skandujący chórek pańienek wykrzykiwał dwóch mizernych głośniczków, że są bardzo sexy, i kilka innych (zapewne bardzo odkrywczych) stwierdzeń, których Irek z racji swego podstawowego angielskiego nie do końca rozumiał.

- Czy ktoś może to wyłączyć?

Nikt taki się naturalnie nie znalazł.

Aby sięgnąć do radiomagnetofonu, nachylił się nad pudełkami z krawieckimi ozdobami sprzedawierćwiecza.

Pudełka rozchwiały się niebezpiecznie pod ciężarem jej ciała i tylko cudem uniknęły katastrofalnego przepoczwarczenia w pasmanteryjny deszcz.

Przejechał palcem po klawiszach odbłaskowanego niebieskiego tandetnego odtwarzacza, wciskając wszystkie naraz.

Sexy panienki umilkły, wydając siebie ostatni wściekły pisk.

- Dzięki ci.

Panie!

- ucieszył się Irek.

W tym samym momencie doczekał się odpowiedzi.

Nie z góry, lecz z dołu.

- Czego?

- zapytał zaczepnie głos dochodzącymniżej z wysokości Irkowych kolan.

- Kaśka!

To była Kaśka.

Przekonał się o tym, gdy klnąc siarczyściez powodu zepsutego przez Irka romantycznego nastroju, Kaśka wyskoczyła do góry z impetem, stukając się w głowę blat sklepowej lady.

Zaraz za nią spod pasmanteryjnieprzyozdobionej lady pasmanteryjnego sklepiku wyłonił się goła nieozdobny łysy łeb.

Łeb Pępka!

- Hę!

- rozpoczął narzeczony Bladej.

-Hę!

- Hę, hę!

Stękał jak szeszony wieprz.

I...

(Irek oparł się na ladzie, zrzucając różowe suwaki) siedzisz w nieswoim rewirze.

Chłopak rozejrzał się wokoło, starannie unikając ewentualnego zetknięcia się jego wzroku ze spojrzeniem Irka.

229.

- Sklep to teren neutralny!
- Pępek bronił się, jak mógł, choć minę miał nietęgą.
 - Aha - potwierdził z przekąsem Irek.
- Tyle że po drugiej stronie lady.

W odpowiedzi Pępek chrząknął w ulubiony sposób.

Sprawy damsko-męskie można załatwiać na tyleż samosposobów, co nieporozumienia między kumplami: czyli na maksimum dwa.

Ten ponoć lepszy polega na kłapaniu językiem wdychu fałszywych zapewnień o czystości podłych intencji.

Cały cyrk, wedle wskazań durnych podręczników, zakończyć ma braterski uścisk dłoni i parę innych dupereli, do których Irek zaliczał obłudne zapewnienia o niegasnącej przyjaźni.

Niestety, zasadniczą wadą tego sposobu było to, że nigdy nie wypalał.

Irek Błady naiwnie zakładał, iż wszyscy będą dzielnie udawać, że Pępek w sklepie znalazł się zupełnie przypadkiem, a do wejścia podładę skłoniła go nagła nieodparta chęć umycia parkietu.

(W rzeczywistości mógłby równie dobrze zapewniać, że kierowała nim chęć umycia włosów).

Sprawa była, niestety, o wiele bardziej bolesna, a Kaśka postanowiła podać mu ją bez znieczulenia.

- Pępek może stać po każdej stronie tej lady.

Może też leżeć pod nią albo nad nią, wedle ochoty!

- Tak?

- Tak!

Wszelkie złudzenia i ewentualne wątpliwości, czy ładę, czy też siebie miała Kaśka na myśli, rozwiął widok dłoni ekspedientki pasmanteryjnego sklepiku czule gładzącej objaną do tej pory czaszkę przyjaciela.

Ten, zupełnie nieprzejęty krępującą dla mężczyzny sytuacją, pozwalał Kaśce na publiczne pieszczoty pewnej, drugiej co do ważności części ciała.

Wtem Irek, wykazując się niezwykle jak na siebie empatią, zrozumiał, że to, co do tej pory rozważał teoretycznie,

230

stało się nagle bardzo "namacalną" rzeczywistością.

Pępek zakochał się na zabój.

Nie byłoby w tym nic szczególnie złego, gdyby nie fakt, że zakochał się w jego osobistej dziewczynce kosztem jak najbardziej osobistej siostry.

W odróżnieniu od pełnej temperamentu Marysi Bładej nie zamierzał jednak całe jej sprawy traktować aż tak bardzo osobiście, jak na to zasługiwała.

Mimo wszystko nie byłby prawdziwym Bładym, gdyby nie wiedział, że w świecie kobiet i facetów pewne sprawy wymagają natychmiastowej reakcji.

Ireko prostomusią zrobić to, co zrobił.

Zupełnie bezinteresownie dał Pępkowi w czachę.

I choć Pępek najzupełniej rozumiał absolutną konieczność takiego spuentowania historii ich przyjacielskiego czworokąta, wiedział, że trwałe związanie się z kimś z rodziny Bładych mogłoby źle wróżyć przyszłości jego nadwężonego w niemowlęctwie mózgu.

20

O dziewiętnastej piętnaście do kamienicy przy Wróbla 6 wszedł właściciel firmy budowlanej Misiak i Syn, w której pracował Marian Fortuna.

Wszyscy pracownicy, nie wyłączając śp.

Mariana, tak często nazywali go kierownikiem Misiakiem, że nadobrą sprawę zapomniał, jakie imię wpisał w akcie urodzenia.

Rzadko w swoim życiu czuł się akłopotany, ale dziś, kiedy pod śledzącym go spoza uchylonych drzwi baczny wzrokiem pani Kazimiery wchodził po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, czuł się mocną tą dwuznaczną sytuacją zażenowany.

Mężczyzna miał sześćdziesiąt dwa lata i niezbitą przekonanie, że każdy, kto przestępuje próg kobiety po osiemnastej (a zimą, ze względu na krótszy dzień, jeszcze wcześniej), ma zamiar zostać jej kochankiem.

Tak twierdziła jego

231.

pochodząca z Kresów żona, a wcześniej jeszcze matka, a żemiały zawsze setki niepodważalnych argumentów na poparcie tej tezy - on sam musiał uznać jej słusność. Kresowa mądrość najbliższych mu kobiet, choć niejednokrotnie pozwalała mu lepiej oswoić życie, zdecydowanie częściej przeszkadzała, zaciskając się najęgo szyi jak smycz.

Gdy, początkowo jako majster, a po przemianach jako właściciel budowlanej firmy, wracał przed nocą z budowy, zastawał żonę śledzącą życie sąsiadów przez wizjer w drzwiach. Jego czujna połowica wiedziała, kto z kim się spotyka, jakie małżeństwo przeżywa kryzys i kto go wywołał.

Tą nieufną kontrolą objęła również zapracowanego budowlańca, co do minuty sprawdzając, jak spędził czas między magiczną osiemnastą a godziną powrotu do domu.

I nawet teraz, gdy jako mężczyzna w podeszłym wieku przynosił pieniądze wdowie, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ktoś jego szlachetny gest może odebrać jako coś nieprzyzwoitego.

Fakt, że oprócz wdowy w domu była jeszcze jej przyjaciółka Maria Błada, wcale nie odpędził jego obaw.

Nie powinno więc nikogo dziwić, że jedyne, na co zdobył się kierownik, stojąc już w przedpokoju mieszkania Fortunów, to lustrowanie speszonym spojrzeniem wzoru na bardzo czystej wycieraczce.

- Podoba się panu?

- odezwała się w końcu Milena.

- Co?

- Wycieraczka.

Nie znam pana, ale mogę panu odstąpić.

- Nie chcę pani wycieraczki!

- Jak aulga!

- Milena sarkastycznie wydełusta.

- Przywiązałam się do niej.

- Przywiozłam pani pieniądze.

- Okay - Milena rozłożyła ręce.

- Poddaję się.

Muszę przyznać, że cholernie pan nieprzewidywalny.

Kierownik, dla którego wizyta u Mileny była pierwszymi

232

samodzielnymi odwiedzinami kobiety o niestosownej porze, powoli odzyskiwał pewność siebie.

- To prezent, który spółka budowlana Misiak i Syn traktuje jako coś w rodzaju odszkodowania za wypadek pani męża.

Mężczyzna sięgnął po portfel i odliczył plik banknotów.

- Jeśli mnie pan nabiera, to kiepski żart.

- Tak, właśnie - Błada nerwowo przełknęła ślinę, nie puszczać cokolwiek pieniędzy.

- Jeśli nas pan nabiera, to zdecydowanie kiepski żart!

- Nie nabieram pań.

- Widząc zachłanny wzrok Bładej, mężczyzna ufnie cofnął dłoń.

- Te pieniądze przeznaczone są dla pani Fortunowej, wdowy po panu Fortunie.

- I nie przysłał czasem pana ten zdrajca Pępek lub mój brat?

- Błada węszyła podstęp.

- Nie wiem, kto jest pani szanownej bratem ani co jest tym pępkim.

Nie znam też szanownej pani.

Błada wzruszyła ramionami.

- Chyba nie sugeruje pan, że powinniśmy się poznać?

-Nie!

- kierownik wrzasnął nazbytmoże nerwowo.

Obawiał się, że najbardziej przerażający scenariusz wizyty po osiemnastej zaczyna się ziszczać.

- Stop!

- Milena rozsądnie przerwała zmierzającą na niebezpieczną dyskusję.

-Jest pan bardzo miły, ale my doprawdy nie rozumiemy, skąd wziął się ten pomysł.

- Skąd się wziął.

-kierownik zająknął się.

Czuł, że powinien powiedzieć coś wiarygodnego, a jednocześnie na tyle delikatnego, żeby nie urazić uczuć tej

miłej młodej wdowy.

- Firmie Misiak i Syn przyszło do głowy, że tragicznie zmarły brygadzysta Fortuna musiał mieć jakieś marzenia, że szanującemu się kierownictwu wypadałoby je pośmiertnie spełnić.

Przyjaciółki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Bo chyba jakieś miał?

- zapytał z nadzieją.

Milena Fortuna uświadomiła sobie, że jeżeli istotnie Ma233.

rian miał marzenia, to były jedynie ilustracjami do książkiżyczeń i zażeń.
Wyznawałasadę, iżniepowodzenia innych jak przydrożne słupy wyznaczają trakt ku samozadowoleniu.

Walka o byt oraz własną wygodę wypierała wnimszlachetne odruchy serca,zawszeprowadzące do niepotrzebnego roztkliwiania się nad sobą.

Czym innym jednakbyły marzenia,a czym innym pieniądze.

Te drugieprzeliczalne na litry piwa,wina ispirytusu miały wymierną wartość godzin upojnych przyjemności.

Milena ze źle skrywanąradością wyciągnęłałóż po pieniądze.

- W imieniu mojego zmarłego męża i swoim własnym dziękuję panu za wielkoduszność.

- I nie ma pani do mnie pretensji,że takpóźno staramsię wynagrodzićtę niepowetowaną stratę ojca rodziny?

Błada stęknęła,usiłującnie wybuchnąćśmiechem.

- Najmniejszych.

-Ani że odwiedziłem panią o niestosownej porze?

- Słucham?

A, nie, nie, niechpan wpada, kiedy pan tylko chce!

Kierownik znów poczuł się zagrożony.

- Oczywiście, pod warunkiem, że będzie miał pan dla nas tak cudowne wieści - poprawiła się szybko.

-Rozumiem - przedstawiciel firmy Misiak i Syn poczułulgę.

- Bez pieniędzy lepiej się nie zjawiać.

Błada twierdzącopokiwała głową,zagładającMilenie przezramię.

- Dziewięćset, tysiąc, tysiąc osiemset, dwa - głos przyjaciółki w miarę narastania liczebników przechodził w corazwyższe rejestry - dwa i pół, trzy dwieście, cztery?

-Cztery?

- Cztery tysiące złotych!

Donośny jęk radości wstrząsnął podstawami kamienicystojącej od dobrych stu lat przy ulicy Wróbla 6, płosząc gołębie z parapetów iwypędzając z mieszkania jedyną sąsiadkę Mileny Fortuny.

CzujnapaniKazimiera jak komiksowy

234

Batman wpadła przez niedomknięte drzwi wprost na Milenę i Bładą uwieszone na szyi kierownika budowy.

- Czy ten człowiek kogoś napastuje?

- zapytała groźnym głosem.

-Widziałam, jak skradał się ukradkiemposchodach.

- Ratuunku - jęknął słabo mężczyzna.

Milena i Błada, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi napojawienie się sąsiadki,puściły szyję budowlańca z dzikimkrzykiem, rzucając się dla odmiany na siebie nawzajem.

Dziarskapani Kazimiera z impetem dopadła Misiakarozmasowującego właśnie nadszarpnięty przez Bładą kark.

- Coś ma na swoją obronę?

- zapytała.

- Jestem kierownikiem firmy budowlanej Misiak i Syn rozpoczął zbolałym głosem.

-A ja kierowniczką biblioteki!

-pani Kazimiera rozejrzała się z wyższością charakterystyczną dla szefów lubwojskowych wyższych stopniem.

-I wiemy, że bez konkretnych zamiarów mężczyzna nie odwiedza kobiety w porzekolacyjnej.

- Nie jest pani może ze wschodu?

- zapytał z nadzieją.

- A gdybyśmynawet były, to co takiego?

-Bo..

mniejsza o to.

Pani Kazimiera budziła w nim smętną tęsknotę za latamidzieciństwa spędzonego pod surowym wzrokiem matki,lecz za nic na świecie by się jej do tego nie przyznał.

Mimosurowego,męskiegofachu w głębiduszy pozostał wrażliwym, eleganckim mężczyzną spragnionym rozmów z inteligentnymi i samodzielnymi kobietami.

Oprócz nieżyjącejod lat matki i nieciekawej żony nigdy nie spotykał sięz przedstawicielkami pięknej płci.

Nie miał ani kochanki,ani przyjaciółki.

Niepracował z kobietami, a nie licząc sporadycznych kontaktów z urzędniczkami lub żonami klientów,nigdy nawet z nimirnie rozmawiał.

Potok przeznaczonych tylkodo jego uszu słów, który zaraz potem popłynąłz ust kierowniczkibiblioteki, był zupełnie nowym doświadczeniem w jego życiu.

235.

Przebywanie z kobietami po osiemnastej, zawsze surowozabronione, mimo skończonych przez Misiaka sześćdziesięciu lat, wciąż miało słodko-kwaśny posmak zakazanegoowocu.

Chwilę później, gdy dyskretnie opuszczał mieszkanie Mileny Fortuny, nie towarzyszyły mu żadne słowa pożegnania.

Jedynie pani Kazimiera, głośno wykrzykująca swoje poglądy na temat prowadzenia się ludzi z Zachodu, towarzyszyła mu aż do drzwi samochodu.

- I co się tak ciągle uśmiechamy?

- zapytała, zaintrygowana milczeniem mężczyzny.

- Ponieważ najzupełniej się z panią zgadzamy!

- Rzekłszy to, skłonił się grzecznie i szarmancko ucałował zaskoczoną kobietę.

- Panie szanowny?

-bibliotekarka zapukała w szybę jegosamochodu.

- Czy ja pananie denerwuję?

- Nic a nic - wyznał zgodnie z prawdą.

-Bo ktoś mi powiedział, że jestem w stanie wyprowadzić z równowagi najcierpliwszego chłopa.

- Wykluczone!

- zaprzeczył najcierpliwszy z cierpliwych.

-Od czterdziestu lat kieruję ekipą najbardziej denerwujących, leniwych i zapijaczonych murarzy w tym mieście, więc mam jakieś doświadczenie w pracy z ludźmi.

Pani Kazimiera skinęła z uznaniem.

- Co też mówicie!

Niesamowity z was obywatel!

- A mimo to uważam- ciągnął z najbardziej czarującym uśmiechem, do jakiego mógł zmusić swą surową twarz - że jest pani tak urocza, iż przyjechałbym raz jeszcze choćby tylko po to, żeby pani posłuchać.

Bibliotekarka nerwowo zarumieniła się.

- Chyba że o przyzwoitej porze.

-Wykluczone!

Pani Kazimiera z wyrzutem popatrzyła w niebo.

Chętnie pogroziłaby opiekującym się nią aniołom pięścią, ale zamiast tego uśmiechnęła się do dziwnych chmur, utworzonych z kurzu i pyłków drzew.

236

- Ech, świecie, rozpaskudzeni i zabawni jesteście!

- odetchnęła całą objętością płuc.

Paskudny kaszel, który to wywołało, sprowadził ją na ziemię, błyskawicznie przywołując do życia dawną panią Kazimierę.

Kwota w magicznej wysokości nieosiągalnych czterech tysięcy złotych została rozdysponowana w ciągu trzech godzin oraz dziesięciu minut i czterdziestu dwóch sekund. Zrobienie długu tej wysokości zajęło Marianowi Fortunie dokładnie szesnaście rzutów kością do gry, co w przeliczeniu na czas wynosiło: dwadzieścia osiem minut i czterdzieści jeden sekund.

Dawało to Milenie w ogólnym rozrachunku znaczną stratę dwóch godzin oraz czterdziestu dwóch minut i jednej sekundy.

Z tego skrupulatnego obliczenia wynikało, że choć wciąż nie udało się Milenie zdobyć fizycznej przewagi nad zmartwychwstałą przeszłością, dystans, który dzielił ją od wolności, zdania na dzień całkiem widocznie się skracał.

Przedstawiciel firmy Misiak i Syn nigdy nie wyjaśnił, co skłoniło go do nieoczekiwanej darowizny.

Twierdził, że jest zbyt poważnym człowiekiem, aby zdradzać kobietom niepoważne motywacje.

Na wszelki wypadek stanowczo wykluczał swoje powiązania z inwazją rybich objawień i tym podobnych szemranych historii.

Skutki jego wizyty odbiły się szerokim echem w całym domu przy ulicy Wróbla. Dla Mileny Fortuny spotkanie Misiaka miało wymierną wartość czterech tysięcy złotych, a w jej sąsiadkę tchnęło wiarę w sens życia na emeryturze.

Jednym z powodów przyjaźni przypadkowego mężczyzny bibliotekarką był fakt, że dziadek Leona nie docenił zaufania wykazanego przez panią Kazimierę, gotową poświęcić mu czas przeznaczony, jak dotąd, wyłącznie biblioteczni.

tece.

Początkowo Milena potraktowała nietaktowne odrzucenie propozycji świeżo upieczonej emerytki jako przejściową klęskę, lecz nieprzejednana postawa dziadka w sprawie bliższych kontaktów z kobietami zupełnie odarła ją ze

złudzeń.

- Ani ja, ani mojaręba nie sprzedamy tanio wolności -warknął ostrzegawczo, kończąc tym samymchybione swaty.

Milena krótkobolała nad takim stanemrzeczy, słuszniewietrzząc, iż byłby to związek skazany na niepowodzenie.

Przeczuwała, że jedyną kobietą, która zniosłaby towarzystwo ekscentrycznego dziadka, byłaopiekująca się kotamizabawnie ubrana kloszardka,ale ta wielce tajemniczo któregoś dnia zniknęła.

Zabrała ze sobą plik zapisanego papieru,wciśniętego starannie za cztery kolejno nałożone, papuziokolorowe bluzki.

Staruszek bacznie obserwował jąwieczorami, więc jako jedyny człowiek w mieście wiedział, dokądsię udała.

Na ten temat jednak milczał jak grób.

Kiedy pani Kazimieraodkryła,że pracodawca Milenynie tylko jest nieczuły, ale również ma słabość donieprzyzwoitych zachowań rodem z rodzinnejwsi, z ulgą porzuciłaswoje niedawneplany.

Od tej chwili nazywała dziadka starym narkomanem.

Ewidentną porażkę na polu matrymonialno-towarzyskim łagodziłyczęste wizyty szarmanckiego(choć odrobinę surowego)kierownika Misiaka.

Były szefMariana Fortuny chętnie pozwalał się wychowywać bibliotekarce, a ta skwapliwie korzystała z danego sobie przywileju.

Układ prawie idealny.

Mimo wszystkow towarzystwie pani Kazimieryo historii z gadającą rybą i jejwłaścicielu nie wypadało nawetwspominać.

Tegosamego dnia, kiedy bibliotekarka dopatrzyła sięuroków życiana emeryturze, a Irek dopatrzył sięgłowyPępka pod ladą sklepu z pasmanterią, wdowa po najstyn238

niejszym nieboszczyku w mieście poczuła, że niejest już samotna.

Odpisała na niemal wszystkie wiersze, które Irekpuściłw świat, ize zdumieniem odkryła, że chce z nim rozmawiać nie tylko nakartkach papieru.

Z niecierpliwościocekiwaniana to, comogłaby podczas tych rozmów jeszcze odkryć, Milena zupełniestraciła głowę, przez co:

- przestała nagabywać dziadka Leona, by uruchomiłwanę, a potem skorzystał z jej zwykłych funkcji,

-nie wyprasowała dzieciom bielizny,

- pomyliła imiona bliźniaków.

Jej zachowanie było na tyle niecodzienne, że wszyscy,łącznie z nią samą, zaczęlipodejrzewać, że ciało (lub duszę)młodej wdowy musi trawić jakieś niezwykle podstępnechoróbsko.

Ludzie nieznający sięna klinicznych objawachzakochania, naturalnie, o ten stan winili upał.

Nie upał jednak zaszkodził głowie Mileny, ale zapoczątkowane śmiercią Mariana przeżycia ostatniego czasu mocno nadwężyły jej uśpione dotąd serce.

W przenośni i dosłownie.

Kilkakrotnie czuła kołatanie i silne bóle promieniujące do ręki i brzucha.

To budziło strach.

Jej ojciec zmarł na serce w autobusie szmuglującym dresy do Budapesztu, więc podejrzenie dziedziczne podłoża sercowych zaburzeń było bezpodstawne. Kiedy Milena wspominała to zdarzenie, sądziła, że najzabawniejszą w śmierci ojca było to, że aż do samego Budapesztu nikt z czterdziestu towarzyszących mu rodaków jakoś tego faktu nie zauważył.

Nawet węgierski celnik niecodzienny spokój pasażera wziął za skutki całonocnej libacji. Z relacji świadków wynikało, że pokodem leżało pół autokaru, a drugie pół nie było w stanie samodzielnie znaleźć paszportów schowanych przezornie w woreczkach na piersi.

Aż do owego dnia starszek Mileny przeżywał nie takie podróże.

Do tej pory bolała nad stratą ojca, choć upłynęło już pięćdziesiąt lat.

naście lat.

I jak każda zakochana kobieta niepewna uczuć swego wybranka, skora była do refleksji i zmiennych nastrojów.

Milena lubiła śmierć w sztuce.

Najpiękniejsze wątki w malarstwie dotyczyły pochówku.

Słuchała żałobnych mszy równie chętnie jak południowoamerykańskich i singlowych szlagierów.

Natomiast śmierć kogoś bliskiego okarzała się jej z przewróconą kartką książki życia.

Wciąż pamiętasz jej treść, nawiązania do tej strony znajdujesz do samego końca książki, ale należy ona do przeszłości.

Raz przewróconie daje szansę powrotu, ponownego przeczytania.

Nieodwracalność, dosłownie i w przenośni, sprawia, że śmierć tak nas boli i przeraża.

Milena Fortuna dopiero teraz poczuła się na siłach do napisania ostatniego zdania swojego poetyckiego pożegnania z przeszłością.

Wzięła czarny flamaster i w miękkim wnętrzu swojej dłoni wykaliografowała charakterystycznym dla siebie, idealnie prostym pismem:

Zbyt łatwo zapominamy, że zjawisk dokońca odwracalnych tak naprawdę nie ma, to zaś, co za nami, jest jedynie złudzeniem leniwej pamięci.

Podświadomym odruchem wysyłania swoich myśli świat przycisnęła mokrą dłoń do szyby okna, a potem z uczuciem ulgi dokładnie umyła rękę w łazience.

Ten moment wystarczył, żeby przechodząca obok niej kobieta, nie bacząc na swój pośpiech związany z wyjazdem z miasta, przystanąła i spisała odbite na szybie słowa.

- A więc mam już koniec - wsuwając zapiskę za stanik, odezwała się do brzydkiego kota o zrudziałym pysku.

Zwierzę popatrzyło na nią z miłością i pełnym zrozumieniem.

Chwilę potem oboje znikli przy akompaniamencie słabo słyszalnego dźwięku tandetnych dzwoneczków.

240

2-1

Złe przecucia nie opuszczały dziadka Leona, który miał dzisiejszej nocy paskudny sen. Śniło mu się, że w wannie wyschła woda i ryba zdychała z pragnienia.

Nie wierzył w sny, lecz szwankująca pamięć zaburzała cienką linię równowagi pomiędzy jawą i snem.

Teraz siedział przygnębiony na drewnianym stołku w łazience i czule głaskał wciąż jeszcze żywego karpia.

Ocknął się dopiero po obiedzie, gdy Milena opowiadała mu zabawne anegdotki z życia swojego i swojej sąsiadki.

Podobały mu się o wiele bardziej niż powtórki dysput sejmowych, a nawet seriale z kanału Romantica, bez ustanku włączanego w mieszkaniu córki.

- Mam pomysł - powtarzał - mam pomysł.

Później zamknął się na półdnia rybą, rozważając ścisłym głosem jakieś niezwykle istotne kwestie i skutecznie blokując Milenie dostęp do wody, proszkui ścierek.

- Moje dziecko!

- zawołał niespodziewanie z łazienki.

Naturalnie zapomniał wcześniej imienia swojej pracownicy.

- Czy wiesz może, gdzie w tym mieście znajduje się rzeka lub jezioro?

- Wiem, proszę pana.

W "tym mieście" nie ma rzeki ani jeziora.

W tym mieście nie ma żadnej wody.

- To dlaczego nazywa się Łódź?

- Kiepski żart jakiegoś geografa.

Staruszek podrapał się siwą głowę.

- Rzeczywiście, mało zabawny.

Dziadek Leona po raz pierwszy rozważał możliwość zstania się z rybą.

Chciał wrócić jej wolność, wypuszczając do wody, która nigdy nie mogła wyschnąć.

- Tak powinno być, tak powinno być - powtarzał kółko do siebie, gdy został sam na sam ze swoim łazienkowym przyjacielem.

Jego słowa miały niewiele wspólnego z wiarą w przeznaczenie.

czenie, a znacznie więcej z rozpowszechniającą się wokół rezygnacją.

Przez ostatnie kilka dni sprawa kanonizowania Mariana zataczała coraz szersze kręgi, tracąc powoli oblicze niewinnej zabawy na korzyść tragicznej farsy.

Ludzie, którzy wielbili Mariana (zwanego już na wyrost świętym lub rybim Marianem), chętnie wysłuchiwali wszelkich prorocत्व wychodzących z ust cudownego karpia. W przekazywaniu owych prorocत्व uczestniczył przeważnie Leon, którego oryginalny ponarkotyczny bełkot mógł niektórym kojarzyć się z mądrością zlepszego, ważniejszego świata.

Nie robił tego oczywiście bezinteresownie.

Wnuk właściciela słynnej ryby twierdził, że ryba jest chciwa żadna datków w twardej walucie, choć nawet on nie wierzył, że cokolwiek da mu złamanego centa.

Naturalnie nie docenił głupoty ludzkiej, bo już po dwóch dniach zgromadził w swojej kieszeni więcej pieniędzy, niż zarobił przez całe próżniacze życie.

Leon zupełnie nieprzygotowany był na to, iż oprócz pieniędzy zyska także i władzę. Była to głównie władza nad starymi dewotkami zgromadzonymi wokół przyjaciółek matki Mariana oraz w kilku podmiejskich kółkach, lecz mimoto postanowił potraktować ją jako miły prezent od losu.

- Twój wnuk, dziadek, jest wielki jak marszałek Piłsudski - mawiał prężąc dumnie pierś przed lustrem.

- Mój wnuk jest głupi jak marszałkowa kasztanka!

- dopowiadał po cichu dziadek, dziwiąc się, skąd w jego rodzinie wziął się tak pozbawiony samokrytycyzmu osobnik.

Tarodzinna tajemnica, jak wiele innych, nie została dziadkowi wyjaśniona.

Tymczasem wnuk snuł plany przekraczające zasięgiem nie tylko dziadkową wannę, ale i całego mieszkania.

242

Kiedy Leon zwierzył się Irkowi ze swoich planów zmiany świata, niczym komputerowej gry, na "wyższą wersję", ten wyznał kumpłowi wprost, że namiętnie spożywane zielenajwidocznie uszkodziło mu mózg.

Leon mlasnął jak pies, wysuwając język na całą długość.

- Mam po prostu nadwyżkę towaru ją konsumuję.

- W tym akurat przypadku lepiej byś wyszedł, gdybyś miał nadwyżkę rozsądku!

- skomentował Irek.

- Albo chociaż mieścił się w dolnej granicy zdrowia psychicznego - dorzuciła złośliwie Błada, która celowo pojawiała się we wszystkich miejscach, w których można było spotkać Pępka.

Irek nie bez racji podejrzewał, że ma zamiar wzięciem fizyczny odwet.

- Dobra.

Bez kłótni!

Zainterweniował naczas.

W drzwiach zamajaczył Pępek, któremu miłość najwidoczniej nie pomogła zaspokoić innego rodzaju pragnienia.

To, że pokazując się w miejscach publicznych, popełniał błąd, zrozumiał trzy minuty i trzydzieści sześć sekund później, kiedy rozjuszona Maria Błada przystąpiła do natarcia.

Lewe oko Pępka wciąż nosiło ślady ostatniego starcia z Irkiem, los prawego był, niestety, przesądzony.

Bowiem nim eksnarzeczony zdążył zwać z pubu, Marysia jednym trafnym ciosem podratowała swoje wrodzone poczucie sprawiedliwości.

Rozległy się oklaski.

- Jeny, Irek- Leon zagwizdał z uznaniem.

- W życiu niespotkałem podobnej kobiety!

Kiedy dziadek zarządził ewakuację, Leon nie miał okazji wyrazić słów podziwu, bo śniąc o egzotycznych plażach, opalał się na ławce przed blokiem.

Samą myśl o tym, iż rodzony wnuczek nosi się z zamiarem organizowania w jego łazience płatnych audiencji u karpia, przyprowadziła dziadka o paniczne pragnienie przeprowadzki na wieś, z dala od najbliższej rodziny.

Na łonienatury staruszek mógłby

243.

nie tylko hołdować swoim zgoła niemiejskim przyzwyczajeniom, ale bez przeszkód dożyć z karpim kresu swoich dni.

Być może jego plany doczekałyby się realizacji, gdyby nie to, że wieść o pomysle Leona rozniosła się pomieszczeniu.

Gdy usłyszała o nim teściowa Mileny, w jednej chwili zrozumiała, że nie może pozwolić, aby obcy zarabiali na legendzie jej ukochanego syna Marianka.

Natchniona wojowniczym duchem, skrzyknęła swoje popieczniczki i w imię siostry tylko znanej prawdy przystąpiła do szturmowania domu dziadka.

Ona i towarzyszące jej panie zabrały się do działania z energią zdolną rozpętać przynajmniej trzy kolejnej wojny krzyżowe.

Uzbrojone w wędkarską siatkę, ruszyły poschodach domieszkania dziadka Leona. Na każdym półpiętrze zatrzymywały się, żeby podkraść rosnące tu sadzonki niezwykłych, bardzo atrakcyjnych badyli.

Takie same planowały wyhodować na swoich parapetach.

W końcu, znaladowanymi kieszeniami fartuchów, sapiąc niemiłosiernie i wzywając co rusz pomocy wszystkich świętych, dotarły do drzwi dziadka, których ten (swoim zgubnym zwyczajem) zapomniał zamknąć.

Widząc, kto nadciąga, staruszek w odruchu bezwarunkowym postanowił uciekać na balkon.

Trzymając kurczowowiadro z rybą, przyciskał je z całej siły do piersi, a podążająca w ślad za nim rozszalała matka Mariana próbowała wyrwać rybę z jego objęć.

W tym czasie złowrogie damy piki trefl próbowały znokautować dziadka.

- Starzec chce zabić dowód!

- wrzasnęła teściowa Mileny.

- Niszczy dowód - zgodnie poparły matkę towarzyszące jej przyjaciółki.

Do pomocy dziadkowi Leona rzucił się ojciec Irka, który oprócz własnej żony nie bał się nikogo ani niczego.

Zdziarskimi przyjaciółkami teściowej Mileny miał zaś swoje osobiste rachunki do wyrównania.

Nie mógł wejść na półpiętro,

244

więc wywijając laską, krzyczał z dołu, wywołując swoimi wrzaskami zbiegowiskona podwórku.

- Niech pan nie rozpętuje na podwórku widowiska!

krzyknęła matka Mariana, która nade wszystko na świecie liczyła się z opinią sąsiadów.

- Wie pani, kto ja jestem?

- Ojciec zawiesił głos, ale zamiast spodziewanej odpowiedzi usłyszał jedynie wzdrgnięcie prychnięcie.

- Jestem Błady i nikt mi nie będzie rozkazywać!

- Król osiedlasie znalazł!

- odkrzyknęła dama trefl.

- Milcz, jędzo!

- odezwał się dziadek Leona, niespodziewanie popierając kulawego sąsiada.

- I jazda z mojego balkonu!

Przypadek pod blok na ulicy Pawiej przywiódł zabłąkanego kota o rudym pyszczku, a w ślad za nim zgorszona zbiegowiskiem panią Kazimierę.

- Bóg nade mną czuwa - westchnęła z wdzięcznością, wskazując na balkon dziadka Leona.

- Gdyby nie to, stałabym dzisiaj na górze z tamtymi wariatkami.

A, musiciewiedzieć, nie lubię wysokości i.
licznej konkurencji.

Nikt niezwrócił na jej obecność najmniejszej uwagi, wypatrując ciągu dalszego
emocjonującego widowiska.

W tymczasie matka Mariana Fortuny, nawołując o oddanie jej ryby, całym swym ciałem
napierała na zdesperowanego dziadka.

Barbarzyńska agresja wylała się głupotą, gdy opierając się na starej, cienkiej barierce, kobieta
chwyciła za szyję staruszka.

Unieruchomiony, zdobył się na ostateczność.

- Zegnaj!

sapnął, zaciskając oczy i rozluźniając uścisk na wiadrze z karpem.

Jego najlepszy przyjaciel poszybował w dół.

Jeśli, zdaniem niektórych, ryba do tej pory nie mogła mieć wiele wspólnego z Marianem, to
w tym momencie to się zmieniło.

Bowiem po życiu pełnym przyjemności przebyła przed wiekiustym odejściem tę samą drogę z
góry w dół, co kojarzony z nią murarz.

I była to droga ostateczna.

245.

Nikt ze zgromadzonych nie mógł podziwiać finezji, z jaką spadał karp, bo zaraz za nim prościutkim szusem w dół poszybowała matka Mariana razem z przełamaną napół barierką, odbierając rybie całą widownię.

Ładując (ze skutkiem śmiertelnym) na ulicy, pechowo zahaczyła o bibliotekarkę, łamiąc pani Kazimierze obienogi.

- Piękne widowisko!

Tootalny odjazd.

- Leon zawył zachwyty i podał skręta stojącemu po prawicy Błademu seniorowi.

- Wyhodowałem trawę stulecia!

Niech wujek pociągnie, a zobaczy wujekcoś, co się wujkowi w głowie nie mieści!

Wzburzony ojciec Irka wziął wciskanego mu do rąk skręta i z wrażenia włożył go wprost do kieszeni spodni.

Przeżalone przyjaciółki pechowej teściowej uciekły z mieszkania dziadka Leona, tłumacząc wszem i wobec, że zupełnie nie rozumieją, skąd się tam znalazły.

Gdy wszyscy skupili się na ściąganiu zwłok starej Fortunowej z nóg jęczącej bibliotekarki, nikt nie pamiętał o faktycznym sprawcy całego zdarzenia.

Tylko dwie osoby wypatrywały w kilkadziesiąt osobowym ludzkim rozgardiasz karpia. Pierwszą z nich był zachwycony całym widowiskiem Leon, drugą jego przygnębiony dziadek. Z trudem udało im się przekopać przez tłum, lecz karpia nie znaleźli.

- Widzieli gdzieś mojego kota?

- zapytała bibliotekarka, domagając się rozstąpienia tłumu.

W odpowiedzi ktoś wskazał na ziemię.

Pod oburzoną panią Kazimierą leżał tylko rybi łeb, a obok niego lekko skruszony, acz zupełnie nieuszkodzony Mimivel Mruczek.

Tego pamiętnego dnia nie tylko karp dziadka Leona zamilkł na zawsze, a matka Mariana Fortuny godnie podzieliła los swojego ukochanego syna.

Zmieniło się wszystko - a właściwie wszystko wracało do normy.

Ryby zaczęły wycofywać się z miasta i ze snów ludzi.

Temperatura jednej nocy obniżyła się od wadzięcia stopni, zawiął wiatr.

246

"Skąd wzięły się sierpniowe grzechy?"

" - pytali jedni ludzie patrząc w niebo, a inni odpowiadali: "A skąd się biorą grzechy?"

"

Niebo jednak milczało.

Ożywczy deszcz padał już czwarty dzień.

W rozleniwionych ludzi wstąpił nowy duch, ruszali się szybciej, myśleli przejrzyściej i rozsądniej.

Milena Fortuna pochrześcijańskupochowała teściową.

Na jej pogrzeb, z powodu ulewy, nie przybyło zbyt wiele osób, nie licząc rozgoryczonych dam trefl i pik.

Te jednak trzymały się boku, zawstyżone własnym udziałem w tej przedziwnej historii.

Rozmawiały głównie ze sobą, unikając ciekawskich pytań sąsiadów.

Nic dziwnego, że miastu niedane było poznać odpowiedzi, czemu po śmierci ich przyjaciółki nie było nikogo, kto by śmiało podjąć się dzieła kanonizacji Mariana.

Kiedy drogę doprzedszkola zastąpił Milenie z ziajanymi zmoknięty Irek, bliźniacy, bawiąc się w najlepsze, obrzucali błotem złorzeczających im przechodniów.

Po kilku minutach byli tak brudni, że normalnie matka zmusiłaby ich do powrotu do domu.

Dzisiaj jednak uśmiechnęła się promiennie i posyłając całusy umorusanym chłopcom, pomyślała, że może światu wcale nie są tak bardzo potrzebne konserwatorzy porządku, jak początkowo sądziła?

Patrzyła zaraźliwie rozpromienionego Irkai nie mogła oprzeć się, by nie odwzajemnić uśmiechu.

Bliźniacy wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami jak na komendę ruszyli do przedszkola.

- Zobaczyłem cię z okien i przyszedłem sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

- A co ci się mogło od wczoraj zdarzyć?

Milena wciąż się uśmiechała.

Nie wiadomo, jak długo stali tak w strugach wody ipa247.

trzyli na siebie, nim Milena uważnie przyjrzała się stopom Irka.

Jedną miał skarpecie, druga natomiast zupełnie goła.

W ślad za wzrokiem dziewczyny spojrzął w dół.

Irek Błady, choć nie miał pojęcia, jak mogło do tego dojść, miał pewne podejrzenia.

- Chyba się zakochałem.

Nie, ja na pewno się zakochałem - powtórzył z naciskiem, chwytając jej rękę.

Dłoń parzyła ją, promieniując ciepłem aż do głowy, i Milena nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak powinno wyglądać miłość.

- Milena?

- Słuchaj, Irek.

- zaczęła uroczyście i po raz pierwszy w życiu poczuła, że nie musi nic nikomu wyjaśniać.

Padła deszcz, a ona stała i obserwowała swoją drobna dłoń zamkniętą w dużej ręce Irka.

Był dla niej dobrą nowością, obecności której nigdy nie dostrzegała.

Kimś, komu na zawsze przypisana jest równoległa, nigdy nie przecinająca się dróżka do ścieżki jej życiorysu.

Był kimś więcej niż tylko młodszym bratem Bładej.

Po prostu - był.

Irek zbliżył się do jej twarzy tak, że poczuła ciepło jego oddechu.

Otumaniona, nie analizowała już swoich myśli.

Bliskość dobrze znanego mężczyzny uderzała do głowy i zmysłów jak buchnięcie krwi do serca w przypływie adrenaliny.

Jak niespodziewany cios w brzuch.

Kiedy Irek patrzył na Milenę prosto w oczy, nabierała pewności, że jej pokrętna, nieprzewidywalna poszukiwania dobiegły końca.

Zrozumiała, iż to, co przeżywa, to jedyną uwerturą do nieznanego, lepszego etapu istnienia.

A deszcz padał i padał.

22

Złośliwe ryby w strugach deszczu zniknęły powoli z miasta, przedostając się z pożegnaniem rozpętując prawdziwe pandemonium.

Nie licząc matki Mariana, ich najtragiczniejszą ofiarą padł Kalista, tracąc całą firmę.

Urzednicy w Unii Europejskiej usłyszeli w końcu, że miasto mające w nazwie słowo oznaczające łódkę nie jest wielkim środkowo-europejskim portem, za jaki mylnie go wzięto. A ponieważ kancelaryjny papier nie zna ograniczeń logiki i sumienia, w tej samej chwili likwidowali wszelkie dotacje dla przemysłu rybnego w mieście, narzucając jednocześnie embargo na dotychczasowe wyroby "made in Łódź".

Zeszwałcarskim nieomal wyczuciem chwili do kompleksu fabryk "Eleonora Fish" zapukał ślepy na jedno oko komornik na polecenie rządowych żyrantów opieczętował wszystko, na czym dało się postawić stempel.

Z rozpędu chiał do nabytego majątku Kalisty wciągnąć Eleonorę i jej dwa pudła, aleta bez wahania odżegnała się od jakichkolwiek kontaktów z mężem.

W samoobronie, wykorzystując urok osobisty, próbowała nawet uwieść surowego komornika, lecz ten z powodu dużych problemów ze wzrokiem (wspomniany brak oka) nie potrafił należycie docenić urody pierwszej damy rybnego biznesu i oskarżył ją o próbę przekupstwa przy użyciu pasa do pończoch.

Eleonora tłumaczyła się potem długo, iż nie pas do pończoch chciała mu pokazać, ale zupełnie co innego.

Ostatecznie, po całonocnych pertraktacjach, które Eleonora przypłaciła rozstrojem nerwowym i kompletną utratą szacunku do siebie samej, namówiła likwidatora

upadłych przedsiębiorstw, aby odpieczętował jaguara i pięćz piętnastu zalakowanych tirów, a następnie zapakowała do nich

249.

pudła i kilkaset innych, bardzo potrzebnych przedmiotów.

Wsiadła do jaguara i prowadząc za sobą sznurciężarówek, zajeżdżała wprost pod kawalerski apartament Marcella.

Liczyła, iż u boku szarmanckiego reżysera odzyska nadszarpnięty honor i tak podbudowana ruszy do boju w rozdrapywaniu ochłapów z pogorzelniska po majątku męża. Naturalnie, jak to zwykle bywa, przeliczyła się.

Następne pięć minut okazało się bowiem tragiczne dla jej związku z ukochanym, ponieważ Marcello zupełnie nie potrafił docenić okazanego sobie zaufania i nie licząc się z uczuciami eksmilionerki, najpierw wywłócił ze swojej sypialni na wpół rozebraną Ukrainkę (do tej pory przysięgał, że ona tu tylko sprząta), a potem równie niedelikatnie oznajmił, że w przyszłym tygodniu bierze z nią ślub i wyprowadza się na stałe na Ukrainę. Eleonora nie uwierzyła, że pod Kijowem otwierają filmowe eldorado, i straciwszy zimną krew, przywaliła torbą z rodzinnymi pamiątkami wprost w środek uśmiechniętej twarzy Marcella. Ta próba udzielenia nauki skończyła się dość niefortunnie, bo delikatny artysta stracił przytomność oraz górny lewy kiel.

Widząc całe zdarzenie, Ukrainka błyskawicznie nauczyła się języka polskiego, wrzeszcząc wniebogłosy wszystkie znane sobie przekleństwa. Zrobiła przy tym raban tak wielki, że zgromadziła wszystkich sąsiadów, karetkę pogotowia, policję i straż pożarną w pełnej gotowości. Mściwy (i oszczędny) Marcello w rewanżu dopilnował, żeby odpowiednie służby z powrotem zaplombowały samochody Kalistowi, jako dowód napaści, odebrały Eleonorze torebkę.

W tej sytuacji pozbawiona gadżetów piękność poczuła się mocno zagrożona. Grono znakomitych i bogatych znajomych topniało z każdą minutą, dając Eleonorze wyraźne sygnały, iż przezorne żony surowo zabroniły swoim mężom jakichkolwiek kontaktów z eksmilionerką.

Z tego powodu najczęściej musiała rozmawiać z pogardzanymi dotąd przez nią ochroniarzami i sekretarkami.

Wykonała setki telefonów

250

z prośbami, szantażami i pogroźkami, dopóki komornik z powodu niezapłaconych rachunków nie wyłączył jej komórki.

Ostatecznie pozostało jej tylko jedno: w nadziei na pożyczkę od jakiegoś niewtajemniczonego w jej rozpaczliwą sytuację znajomego postanowiła całymi dniami koczować pod galerią z ekskluzywną odzieżą.

Na punkt obserwacyjny inteligentnie wybrała butik Lali.

Odwiedzali go głównie bogaci i dbający o siebie mężczyźni, a tylko takich Eleonor w swoich planach brała pod uwagę.

Niespodziewanie dla wszystkich znudzony sprzedawca ekscentryczna milionerka zapalał do siebie najszczerzej najbardziej bezinteresowną sympatią, na jaką było ich stać. Żadne z nich w całym swoim życiu nie spotkało kogoś, kto by ich autentycznie lubił, więc potraktowali to wydarzenie z taką samą atencją, z jaką traktuje się zrzędzenia losu.

Lala był drugim człowiekiem w mieście, który ani przez moment nie pomyślał, żeby napisać wiersz.

Pierwszym była Eleonora Kalista.

Nikt nie wiedział, czy ten mało istotny fakt, czy może coś innego zbliżyło tych dwoje do siebie, ale po pierwszej godzinie znajomości - padli sobie w ramiona.

Nie mniej pechowy od męża Eleonory okazał się Leśnik.

Zgubiła go pazerność i chęć ubicia szybkiego interesu.

Kiedy więc pewnego wieczoru, jedząc rybę (zapakowaną przez firmę "Eleonora Fish") i słuchając wieczornych wiadomości, dowiedział się o bankructwie firmy Kalisty (w którą, notabene, zainwestował połowę swoich oszczędności), zakrzuszył się z przerażenia.

Leśnik na własną zgubę udławił się ością i po stracie przytomności i złamaniu obojczyka nie mógł odzyskać pełnej sprawności ruchowej.

Na pomoc szczerze nienawidzącej go ekszony naturalnie nie miał coliczyć.

W krótkim acz treściwym liście użyła tylu niecenzuralnych słów i zrobiła tyle błędów ortograficznych, że nawet mało wrażliwy na

konwenanse Leśnik nie zdecydował się go komukolwiek pokazywać.

Ostatecznie i całkiem niespodziewanie troskliwy (lecz wciąż unikający miejsc publicznych) Pępek zadeklarował się za latwież przygwożdżonemu do łóżka Leśnikowi fajną pielęgniarkę.

Sporo musiał się natrudzić, nim znalazł kogoś idealnego do tej wymagającej specjalnych predyspozycji roli.

Gdy w końcu trafił na kiegoś mówiącego po polsku czarnoskórego, mocno owłosionego mężczyznę oryginalnego afrykańskiego wyznania, który już na wstępie przyznał uczciwie, że lubi chłopców, wiedział, że ma przed sobą dokładnie tę osobę, której szuka.

Swoją drogą nikt nie miał wątpliwości, że to ostatnie wyznanie zupełnie Pępka przekonało.

Leśnik początkowo złośliwie pluł na czarnego geja, odmawiając stanowczo przyjmowania z jego rąk zarówno kaczki, jak i posiłków.

Z czasem jednak musiał zrezygnować z tej formy biernego oporu, bo inteligentny pielęgniarka nabrał zwyczaju spożywania przysmaków na oczach wygłodniałego pacjenta. A że robił to zwyczajem dzikich plemion teatralnie, głośno (i ponoć nie zawsze kompletnym stroju), po tygodniu Leśnik jadł mu z ręki.

Bardziej wtajemniczeni mówili, iż dawny ksenofob irasista do tego stopnia zasmakował tolerancji, że postanowił zachować pielęgniarkę na dłużej.

Podobnie tylko z powodu jego umiejętności kulinarnych.

Dziadek Leona nie znalazł sobie towarzyszkina starego i był z tego powodu bardzo zadowolony.

Rodzina próbowała ukoić szarpane ostatnimi wydarzeniami nerwy staruszka i kupić mu inne zwierzątko.

Bezskutecznie.

Odnaczający się, jak dotąd, kiegoś pamięcią dziadek w kwestii puszczenia w niepamięć podstępnej straty przyjaciela okazał się zupełnie nieprzejednany i wszystkie zakupione zwierzęta odnosił z powrotem do sklepu zoologicznego.

Jedyny

252

wyjątek uczynił dla patyczaków, które przypadkowo wyrzucił do kosza na śmieci.

Konieckońców wyjawiał rodzinie swoje największe marzenie, którym była przeprowadzka w rodzinne strony.

Mówi się na osiedlu, że dziadek Leona mieszka teraz na wsi, gdzie całymi dniami rozmawia z żyjącymi w stawie rybami.

Komuś, kto obserwował ludzi z lotu ptaka, mogło się wydawać, że wszystko wróciło na stare miejsce.

Miasto rybnie istniało.

Miesiąc po upalnym sierpniu czas wymazał wspomnienia z umysłów ludzi tak szybko, jak rozmyte przez deszcz napisy zniknęły z murów miasta.

I nawet szum wokół poetyckiego konkursu ucichł bez śladu.

Wszystkim, którzy jeszcze dwa tygodnie temu nie myśleli o niczym innym jak o nagrodzie Kalisty, teraz wydawało się, że padli ofiarą oszustwa lub mistyfikacji.

Jakieś więc byłoby zdziwienie oglądającej telewizję Mileny, kiedy w programie o zdobyczeniu miliona dolarów rozpoznała zbierającą złom starą dziwadzkę.

Choć wyglądała jak utoczona ze złota piramida rozpasanego bogactwa, zdradził ją niezmienny gust oraz upodobanie do chust i błyskotek.

Tyleż teraz nosił wyłącznie te najdroższe: eleganckie od Hermesa i wściekle kolorowe od Versace.

Z doborem krzykliwejbizuterii też nie miała większego problemu.

Kobieta z dumą przyznawała, że swój zwycięski wiersz pod tytułem "Niedzielni poeci" stworzyła, spisując z murów i tablic ogłoszeń fragmenty anonimowej poezji.

Twierdziła też, że nie skończyła sześciu klas szkoły podstawowej, a wyznanie to tylko podbiło jej niemałą telewizyjną popularność.

Ku uciesze gawiedzi dyrygującej nią gospodarza talk-show najnowsza ekscentryczna milionerka wyznała, że dostworzonego przez siebie gdzieś na południu Europy kiczowatego raję zabrała tylko jedną osobę.

Był nią stary, zrudziały kocur o pretensjonalnym imieniu Mimi.

253.

W tym samym czasie, na pokrycie straty osobistego przyjaciela, stara bibliotekarka otrzymała od anonimowego darczyńcy pięć tysięcy dolarów, które z radością przeznaczyła na rehabilitację w ekskluzywnym nadmorskim sanatorium na ukochanej Litwie.

Nieoczekiwaną utratę kotazniosła nadzwyczaj dobrze, chwając sobie ciszę i odzyskaną spokój.

Milennie Fortunie dostały się dwierzeczy.

Pierwszą z nich był stary wózek z pomponami, który bezbłędnie odebrała jako życzenia wolnego i pełnego wrażeń życia.

Postanowiła zachować go na pamiątkę.

Drugą, do podziału z Irkiem - jako honorarium dla współautorów wiersza - równo dwieście tysięcy dolarów.

Co powiedziałyby Tomasz Mann o poezji spiswanej z murów miasta?

Dziś to już naprawdę nie miało znaczenia.

Za tydzień Irek wraz z ukochaną, jako pierwszy w historii Blady, miał opuścić swoje osiedle i wybrać się w swoją podróż życia.

Całe miasto spało już, pogrążając się w błogich marzeniach o jutrze.

Snuludzi splatały się ze sobą i rozplatały w nieuchwytną magię właściwej tylko miastom poetów.

Milena zgasła światło.

Przeszła przez ciemny pokój, wyłączyła pilotem telewizor, spychając jednocześnie pitbull z łóżka.

Pies spojrział przelotnie na towarzyszącego jej mężczyznę i ten gotów był przysiąc, że mały skurczybyk puścił do nich oko.

Pomny fatalnych skutków historii z karpim stanowczo jednak odrzucił tęmyśl jako niedorzeczną.

Irek objął Milenę i przyciągnął ją do siebie.

Chciał jej powiedzieć, iż przez całe życie miał przecucie, że któregoś dnia im się uda.

Zamiast tego westchnął z uśmiechem:

- Jestem cholernym szczęściarzem.

Koniec.